

LIRA
WYDAWNICTWO



Śledztwo od kuchni

czyli

KLASYCZNA POWIEŚĆ
KRYMINALNA

*o wdowie, zakonniczy
i psie*

(z kulinarnym podtekstem)



KAROLINA
MORAWIECKA



KAROLINA
MORAWIECKA



Śledztwo od kuchni

czyli

KLASYCZNA POWIEŚĆ

KRYMINALNA

o wdowie, zakonniczy

i psie

(z kulinarnym podtekstem)

L i R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2019

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2018

© Copyright by Karolina Morawiecka, 2018

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcie na okładce: © Elena Schweitzer/123rf.com

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Marta Kozłowska

Skład: Igor Nowaczyk

Redaktor serii: Alicja Berman

Wydanie elektroniczne 2019

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze






Warszawa 2018

ISBN:978-83-65838-06-3 (EPUB); 978-83-65838-07-0 (MOBI)

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska



www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Dedykacja

ROZDZIAŁ PIERWSZY, w którym Czytelnik znajdzie trupa, pozna najważniejszą wdowę we wsi i jej psa, a podkomisarza Cegłę będzie ogarniało zdumienie

ROZDZIAŁ DRUGI, w którym młodszy aspirant Rafał Batory przechodzi próbę ogniową, a wdowa wysnuwa pierwsze wnioski

ROZDZIAŁ TRZECI o tym, że każdy Sherlock musi mieć swojego Watsona

ROZDZIAŁ CZWARTY pełen retrospekcji, w którym wdowa i zakonnica rozpoczynają śledztwo

ROZDZIAŁ PIĄTY, w którym Rafał Batory przeżywa katusze, a Trufla wychodzi na spacer

ROZDZIAŁ SZÓSTY, w którym Czytelnik jest świadkiem zakupów na skalskim targu, a wdowa po aptekarzu zdobywa nowe informacje

ROZDZIAŁ SIÓDMY, w którym siostra Tomasza poznaje podkomisarza Cegłę i odbywa się uczta detektywów (z parą małżonków przy stole)

ROZDZIAŁ ÓSMY, w którym wdowa i zakonnica rozmawiają z miłą kelnerką, Rafał Batory przydaje się bardziej niż podkomisarz Cegła, a siostra Tomasza daje się ponieść emocjom

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY pełen przerywników, w którym antykwariusz pomaga posprzątać, wdowa i zakonnica snują

domysły, a modlitwy pani Halinki do Świętego Wawrzyńca Diakona i Świętego Karola Boromeusza zostają wysłuchane

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY, w którym wdowa się czesze, pan Edward wyjawia swoje poglądy, a siostra Tomasza dzięki wstawiennictwu Świętej Teresy z Ávili oraz Świętego Barnaby dochodzi do siebie

ROZDZIAŁ JEDENASTY, w którym pani Karolina robi śniadanie, a morderca robi swoje

ROZDZIAŁ DWUNASTY rozpoczynający się przydługą retrospekcją, w którym znajomość kuchni wegańskiej okazuje się przydatna, podobnie jak pomocna okazuje się znajomość twórczości Bolesława Prusa

ROZDZIAŁ TRZYNASTY, w którym śledztwo nabiera tempa

ROZDZIAŁ CZTERNASTY, w którym siostra Tomasza wysnuwa wnioski z rozmów, pani Karolina – z lektury, a lista podejrzanych skraca się do minimum

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY, w którym wdowa po aptekarzu, siostra Tomasza i podkomisarz Cegła zastawiają pułapkę na mordercę z Pieskowej Skały, ten w nią wpada, a tradycyjna przemowa okazuje się niezbędna

A NA ZAKOŃCZENIE ŚLEDZTWA kilka słów wyjaśnień i podziękowań od zginającej się w pas autorki

Przypisy

*Pamięci
mojego Taty, który w genach przekazał mi miłość
do kryminałów,
i siostry Ksawery, bez której siostra Tomaszka
pewnie byłaby nieco inna*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W KTÓRYM CZYTELNIK ZNAJDZIE TRUPA,
POZNA NAJWAŻNIEJSZĄ WDOWĘ WE
WSI I JEJ PSA, A PODKOMISARZA CEGŁĘ
BĘDZIE OGARNIAŁO ZDUMIENIE

Pomimo wrześniego chłodu zamkowy ogród wciąż godnie się prezentował. Równiutko przystrzyżone bukszpany z perspektywy tarasu kawiarni Herbova tworzyły idealne geometryczne formy, wypełnione kolorami kwiatów. Perfekcja jednej z grządek, znajdującej się w centrum kompozycji, zaraz obok kuliście wyrzeźbionego krzewu, została jednak naruszona. Z morza szafalii, niszcząc owoc ciężkiej pracy miejscowego ogrodnika, wystawała bowiem ręka. I noga. Noga była zresztą zgrabna i młoda, a kilka godzin wcześniej – zapewne także jędrna.

Otoczone fioletowym morzem kończyły sterczały spokojnie i godnie, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, aż do godziny dziesiątej pięć, kiedy to na zamkowy podworec wtoczyła się wycieczka integracyjna uczniów krakowskiego gimnazjum, którzy za nic mieli zakaz siadania na murku. Z murku zaś widać było to, co niewidoczne pozostawało z perspektywy brukowanego dziedzińca – zwłoki kelnerki z Herbovej, Anny Bednarz.

Tak mogłaby zaczynać się ta historia. Ale, jak to w życiu bywa,

zaczęła się całkiem inaczej...

Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu, od czasu do czasu kontrolnie spoglądając na drogę, mieszała w garnku aksamitny dyniowy krem, który kolorystycznie korespondował z jej stanem ducha – żółć zalewała ją raz po raz. Myślała o swoim mężu, którego piąta rocznica śmierci właśnie mijała, a z którym wciąż nie mogła się pogodzić. I szlag ją trafiał.

Kiedy w pewien majowy wieczór małżonek znieńacka zaproponował, że zamknie dobrze prosperującą aptekę w podkrakowskiej Skale i przeniosą się do pobliskiej Wielmoży, zgodziła się po chwili wahania i wielkiej awanturze^[1]. W gruncie rzeczy kusił ją perspektywa spokojnego i sielskiego życia emerytów. No i większego ogródka, w którym będzie mogła wreszcie zaprezentować cały arsenał plastikowych krasnali i zwierząt naturalnej wielkości, dotąd niestety w części schowanych w garażu. Poza tym na wsi aptekarz, nawet na emeryturze, to nie byle kto. A już jego żona...! Tak, przeprowadzka na łono natury nie wydawała jej się taka zła. Tymczasem kilka miesięcy po zamieszkaniu w Wielmoży jej mąż, Stanisław, przeniósł się z łona natury na łono... Abrahama. I tego właśnie wybaczyć mu nie mogła. Zawsze bowiem wierzyła, że to ona umrze pierwsza. Oczami wyobraźni widziała swój nagrobek – jasny kamień (marmur lub piaskowiec), okazała figura smutnego anioła tulącego się do tablicy z dużym, wyraźnym nawet dla krótkowidzów napisem:

TU SPOCZYWA
KAROLINA MORAWIECKA
ŻONA APTEKARZA
DUSZA CICHĄ I POKORNĄ

Można by jeszcze dodać coś o podporze społeczności w Skale... Ileż razy pieściła w myślach tę formułkę! Teraz jednak musiała

o tym zapomnieć. (W trakcie budowania mężowskiego pomnika przez chwilę, za karę, chciała nawet zmniejszyć planowaną postać anioła, uświadomiła sobie jednak, że jego skrzydła i ją będą kiedyś obejmować, pozostała więc przy figurze godnych rozmiarów).

Teraz energicznie mieszała zupę, wyładowując swoją frustrację na idealnie gładkiej dyniowej powierzchni. Bo wdowa po aptekarzu – jak lubiła o sobie myśleć, wszak dobrze to brzmi – potrafiła gotować.

O, jakże trudne są arkana sztuki kulinarnej! Jakże trudno jest osiągnąć w nich mistrzostwo! Jak trudno wyróżnić się wśród innych, dla których „kotlety genua” czy „dewolaje” są chlebem powszednim! Ale, dzięki Bogu!, i na to jest sposób. Ale, chwała Panu!, i na tej płaszczyźnie można być lepszym od innych. Karolina Morawiecka dawno zrozumiała, że tylko kuchnia wysublimowana a oryginalna, pachnąca dalekim światem i kusząca Orientem pomoże jej odnieść prawdziwy sukces. Wyróżnić się. Być lepszą. Gdy tylko mogła, oglądała więc kulinarne programy, w których mistrzowie patelni i mistrzynie rondli (miedzianych oczywiście) gotowali cuda. Żegnajcie kopytka! Żegnajcie schabowe! Kiedy jej rówieśnice, śladem swych matek i babek, ćwiczyły się w przygotowywaniu sałatki jarzynowej udekorowanej a to zabawną myszką z połówki jaja na twardo (oczy z ziarenek pieprzu, uszka z cieniuchno krojonych plasterczków rzodkiewki, wąsiki ze szczypiorku), a to finezyjnie wyciętą różyczką z ogórka – ona sięgała po nowe. I tak jak Wojski wrzucał do rosółu perły i monety, aby nadać mu wyjątkowej nuty, tak wdowa po aptekarzu hojną ręką stosowała kumin, kardamon i szafran dla osiągnięcia wyrazistego smaku. Świadoma swojej przewagi, z dumą recytowała przepisy na mniej lub bardziej oryginalne potrawy. Niby to mimochodem zdradzała sąsiadkom planowane menu (łosoś z kaparami, zielone

curry z kafiem, falafel, lasagne i caponata), starając się jednocześnie ukryć wstydlivy fakt: nie umiała piec. O zgrozo! O ile jeszcze w Skale ta niedogodność mogła, jak ufała i co powierzała Panu w wieczornych modlitwach, pozostać niezauważona, o tyle na wsi rytuał pieczenia ciasta na niedzielę był obowiązkowo odprawiany we wszystkich domach. Prawdziwym fetyszem każdej gospodyni jest bowiem zapach, jaki w sobotnie popołudnie unosi się wokół kuchennych okien... sąsiadki. Aromat ten wprawnym nozdrzom zdradza wszystkie sekrety – w jakim stanie emocjonalnym jest kucharka i kogo się spodziewa po niedzielnej sumie. Tak na przykład szarlotka oznacza, że mieszkańcy nie będą mieli gości, wymagający więcej zachodu sernik – na obiad wpadną dzieci, a ekstrakt malinowy i nuta żelatyny sygnalizują dawno niewidziane koleżanki lub nielubianą szwagierkę. Zapach czekolady z kolei zapowiada wizytę teściowej i cichą nadzieję, że orzechy znajdujące się na górze wyrafinowanego brownie tym razem wywołają groźną w skutkach reakcję alergiczną...

Wdowa po aptekarzu starła jeszcze trochę gałki muszkatołowej i wyłączyła gaz pod garnkiem. Zupa była, jak zwykle, idealna. Mleko kokosowe dolane w ostatnim momencie podbiło smak dyni, a nutka chili dodała głębi. Zadowolona z siebie spojrzała przez okno i wreszcie zobaczyła coś, co zapewniło jej zastrzyk adrenaliny i wywołało radosne drżenie palców: Podzamczem, od Herianówki w stronę zamku w Pieskowej Skale, biegł spocony i czerwony na twarzy Edward Stachlak. Sąsiad musiał wzbudzić ogólne zainteresowanie, bo ani nie miał figury maratończyka (wręcz przeciwnie, zbliżał się do kształtu kuli lub raczej czterech kul osadzonych jedna na drugiej, z których najmniejszą była szyja ukryta pod kilkoma warstwami podbródka, największą zaś środkowa połać ciała), ani jego kondycji. Nie miał też tradycyjnego dla tej dyscypliny sportu

obuwia – jego stopy ginęły w wysokich gumiakach. Choć ten akurat fakt nikogo z mieszkańców Wielmoży nie dziwił. Stachlak nosił je od lat. Zniszczoną parę wymieniał na nową, najczęściej identyczną: zielone kalosze na grubych podszewkach z filcowym otokiem na górze. Kilka razy zdarzyło mu się nawet pojawić w nich w kościele, co nie uszło niczyjej uwagi, ale i nie wywołało lawiny nieprzychylnych (ponad miarę) komentarzy – wiadomo, wdowiec, to i nie ma mu kto butów na święto wyszykować.

Czerwony na twarzy emeryt wykrzykiwał coś niewyraźnie, zmuszając panią Karolinę do otwarcia kuchennego okna.

– Co się tam dzieje, panie Edwardzie? Gdzie pan tak biegniesz? Pożar jakiś?

– Trup! Trup na zamku!

Na te słowa wdowa po aptekarzu, tak jak stała, ruszyła do furtki. Niestety nie była pierwsza. Obok Stachlaka zmaterializowała się sąsiadka. Ta nowa. Też Karolina. Z Krakowa. Pani Karolina wciąż nie mogła się zdecydować, czy ją polubić, czy też nie. Z jednej strony – miały to samo imię, co mogłoby być i plusem (solidarność), i minusem (brak oryginalności). Była też sporo młodsza, choć wdowie po aptekarzu nie udało się rozszyfrować, ile miała lat (trzydzieści?, czterdzieści?), co znowu miało swoje zalety (niepodważalny autorytet wyraźnie widocznych sześćdziesięciu pięciu lat wdowy) i wady (wiadomo). Największy problem Morawieckiej stanowiły jednak psy. Nowa miała dwa malutkie, zgrabniutkie kundelki, które co prawda dosyć często ujadły, ale ich uroda podbijała serce przechodniów i sąsiadów, w tym jej własne. Tymczasem ona... Na samo wspomnienie znów szlag ją trafił i pan Edward ze swoim trupem przestali na chwilę się liczyć.

Stanisław Morawiecki, oprócz pracy w aptece, miał jedną pasję – psy. Jednak w Skale pasja ta nie mogła stać się ciałem

(a Wallenrod Belwederem), gdyż, jak wytłumaczyła mu udręczonym tonem żona z miną chrześcijańskiej świętej katowanej przez bezbożników, w małym domku bez ogrodu, a jedynie z niewielkim, acz starannie przystrzyżonym trawnikiem na podjeździe (zajętym w całości przez krasnale i zwierzęta *made in China*), nie ma miejsca na psy. Pies nie może także chodzić ze swym panem do apteki, a wiadomo, że w saloniku z meblościanką na wysoki połysk i kanapą *à la* kolejny Ludwik żadna usierściona łapa postać nie może.

Po przeprowadzce do Wielmoży sytuacja zmieniła się i oto pewnego dnia, bez żadnych konsultacji z poślubioną przed obliczem Boga małżonką, były już aptekarz zjawił się z niespodzianką:

– Karolino – rzekł oficjalnym tonem. – Mam dla ciebie Trufkę.

– Trufle? Ależ nie trzeba było! Wiecznie na coś wydajesz pieniądze! – zagderała, żeby przypadkiem nie rozpuścić Stanisława. Zresztą, choć sumka ze sprzedaży apteki była co najmniej... interesująca, wzorem swych przodków cnotę oszczędności ceniła sobie wysoko. – Przecież wiesz, że nie mogę jeść za dużo czekolady, bo jeszcze utyję. – Mówiąc te słowa pani Karolina figlarnie uderzyła się w nader obfity biust, spoczywający bezpiecznie na stabilnej podporze brzucha, i zaróżowiła ze szczęścia. Nie podejrzewała małżonka o kupno prawdziwych trufli, zbyt przecież drogich dla zwykłych emerytów (o rencistach nie wspominając), musiały to być więc trufle czekoladowe. Też dobre.

Po chwili była już wyraźnie czerwona na twarzy, a szyję zalały jej szkarłatne plamy. Trufka okazała się bowiem psem. I to jakim! Nie, nie był to słodki pudełek miniaturka. Ani jamniczek z merdającym ogonkiem. Ani shitzu zu czy york, któremu można wiązać malutkie kokardki nad oczami. Ani nawet ratlerek o wyłupiastych oczkach i mordce żabuski. Nie! Trufka okazała się

wielką, ponad pięćdziesięciokilogramową suką doga de Bordeaux, którą poprzedni właściciele oddali – jak mówili – z powodu galopującej alergii na sierść psa. Wkrótce jednak wyszło na jaw, że powody mogły być inne... Zapach, jaki wydobywał się z jej pyska, robił wrażenie nawet na tych, którzy pracowali w rzeźni i do niejednego przywykli. Ślina skapująca z wiecznie rozdziawionej mordy (kłopoty z oddychaniem) była dosłownie wszędzie, od sufitu po krzesła, zastygając w prawdziwe stalaktyty. Chrapała jak trzech panów (w Łódce, nie licząc psa). Ale i tak najgorszy był jej charakter. Obrażała się o byle co, patrzyła spod byka i nie reagowała na komendy. Nawet smakołykiem nie udało się jej przekupić czy udobruchać. Po dwóch dniach męczarni pani Karolina postanowiła przeprowadzić śmiertelnie poważną rozmowę z małżonkiem, w której koronny argument brzmiał: „Wybieraj! Albo ty, albo ona^[2]! Z waszą dwójką mieszkać nie będę!”. Stanisław podniósł spuszczonej zazwyczaj głowę (choć, o ile jej pamięć nie myliła, nie patrzył jej wtedy prosto w oczy) i rzekł:

– Oczywiście, moja droga, w każdej chwili możemy ją oddać. Prawdę mówiąc, twoja przyjaciółka, pani Ada Raźny, bardzo chciała wziąć Trufelkę. Zachwyciła się jej wyjątkową urodą i gdybym jej nie ubiegł, na pewno pierwsza by ją przygarnęła. Toż to rasowa dożyca de Bordeaux! Więc jeśli tylko chcesz, zaraz do niej zadzwonię. Zresztą mówiła, że jeśli się rozmyślisz...

Kiedy małżonek przywołał nazwisko największej rywalki, z którą od niepamiętnych lat toczyła zacieklą walkę o palmę pierwszeństwa we wszystkich możliwych dziedzinach, nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zmienić taktykę. Od ataku przeszła więc do natychmiastowej defensywy.

– Kto mówi, że się rozmyślałam? Stanisławie, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Ada Raźny może sobie pomarzyć o takim psie! Oczywiście, że nikomu jej nie oddamy. Ale żeby było jasne: ja

po niej sprzątać nie będę!

No i Trufla została. Wkrótce potem Stanisław zmarł. Przez chwilę nawet świeżo upieczona wdowa chciała pozbyć się suki (z powodu alergii oczywiście), ale na szczęście coś ją tknęło. Nie mogła tego zrobić, bo przecież – co ludzie powiedzą?! A wiadomo, co powiedzą: ledwie zmarł, a już nawet jego psa z domu wyrzuca. Po śmierci pana Trufla została więc przy pani Karolinie jako żywy dowód, że świętej pamięci małżonek nie zasłużył ani na marmurowy nagrobek, ani na figurę anioła liczącą metr sześćdziesiąt. Znosiły się z trudem, ale za to godnie reprezentowały pamięć o zmarłym. *Każdy musi dźwigać swój krzyż* – powtarzała w myślach pani Karolina.

Teraz Trufla leżała pod furtką i tarasowała dojście do ledwie już dyszącego sąsiada.

– Jak to: trup? – spytała nowa.

– Jak to: trup? – spytała równocześnie wdowa po aptekarzu.

– Wycieczka go znalazła. W ogrodzie leży. W szaławii. Policja już jedzie. – Pan Edward wykrztuszał z siebie płuca i kolejne zdania. – Kolega zadzwonił po pomoc, Marian znaczy się. Furgalski. To biegnę na zamek i chciałem ludziom powiedzieć, a tu nikogo w chałupach ni ma. Panie pierwsze som.

– Pan poczeka, podskoczmy razem. – Wdowa po aptekarzu już ścigała fartuch, chroniący jej godne rozmiary przed kroplami dyniowego kremu, i mocowała się z zaślinioną Truflą, która próbowała zlizać z niego niewidoczne gołym okiem aromaty.

– Pani! Dziękuję... Ja już biec ni mom sił. Może zdążymy, zanim ją policja wyciągnie?

– Jaką ją?

– Marian powiedział, że to jakasi kelnerka.

Kilka minut później mknęli białym tico pani Karoliny. We dwójkę, bo nowa stwierdziła, że jej to nie interesuje.

Też mi coś, nie interesuje jej! – prychnęła w duszy wdowa

po aptekarzu, uznając, że jednak nie polubi krakuski. *Wychodzę przy niej na wścibską wiejską babę, a przecież jestem ze Skąły! Jak jej nie interesuje, to jej nic nie powiem! Ciekawe, jak długo wytrzyma* – zaśmiała się w duszy i z piskiem opon wyhamowała na parkingu dla pracowników zamku.

Tu zaś działały się sceny iście dantejskie. W bramie prowadzącej na zamek stał Bartosz Skalski, jeden ze strażników, błądy i roztrzęsiony, palący kolejnego papierosa. Na oko, sądząc po stosie niedopałków wokół jego wypastowanych służbowych butów, kończył paczkę. Na widok nowych gości nie odezwał się ani słowem, tylko trzęsącą się ręką odpalił kolejnego.

Za jego plecami na dziedzińcu miotali się blada nauczycielka z burzą rudych włosów i tęgi brunet z wąsikami, próbując zapanować nad rozwrzeszczaną grupą gimnazjalistów i utrzymać ich w bezpiecznej odległości od nieszczęsnego murku. Kilka dziewczynek zawodziło, trzymając się wzajemnie za dresowe bluzy, cichy grubasek w okularkach dyskretnie puszczał pawia na polerowany kamień, blisko okazałych rabat na prawo od bramy. Chłopcy krzyczeli, dziewczynki piszczały i wzdychały. Wszyscy, oprócz grubaska naturalnie, mieli w rękach telefony. Tylko dwie dziewczynki starały się dodzwonić do rodziców (którzy oczywiście nie odbierali, bo siedzieli w pracy). Pozostali uczniowie próbowali kręcić filmiki lub choćby zrobić zdjęcia ciała, co było o tyle trudne, że szeroki murek całkowicie zasłaniał makabryczne widowisko. W kadrze pojawiali się więc tylko rozdygotana rudowłosa i spocony brunet, oboje z rozczapierzonymi rękami.

– C.S.I. Kryminalne zagadki Wielmoża – ekscytował się pryszczaty.

– Głupi jesteś! C.S.I. Pieskowa Skąła.

– Może lepiej: śmierć na zamku? – Dziewczynki co prawda zawodziły, ale to nie przeszkadzało im brać udziału w dyskusji. –

Albo: tajemniczy zgon?

– Dzieci, tak nie można! Proszę natychmiast odłożyć te telefony! – bezskutecznie apelowała nauczycielka.

– Ale my tylko zdjęcie zrobić chcemy... Tylko jedno!

– Czy wy serca nie macie? Ostatni raz wam zwracam uwagę, potem dzwonię do rodziców. – Brunet odwołał się do ostatecznego argumentu. Poskutkowało.

– No dobra – skapitulowali i natychmiast przenieśli swoje zainteresowania na bardziej ożywiony obiekt. – O, Adaś rzyga! Chłopaki, kręcimy!

Trzy młode dziewczyny w króciutkich spódnicach i fartuszkach z logo Herbovej, opuchnięte od płaczu, tarasowały wejście do restauracji znajdującej się po lewej stronie od bramy.

– Wejścia nie ma. Wypadek był – powiedziała jedna z nich, ta najzgrabniejsza i widać najbardziej przytomna, bo świadoma sytuacji starała się zapanować nad rozmazującym się tuszem do rzęs. Wiadomo, policja będzie, może i dziennikarze – manewrowała więc chusteczką, bo jakoś nie wypadało w obliczu tragedii wyciągać lusterka z kieszeni służbowego fartuszka.

– Czekamy na policję. Już jadą. I to ze samej Skały! – Dodała całkiem normalnym głosem druga.

– Dziewczyny, to swoi. – Niespodziewanie dołączył do nich Marian Furgalski, drugi strażnik. – Dzięki, Edek, że przyjechałeś, bo jakoś tak głupio mi było. Bartosz się całkiem rozkleił, to on przybiegł i ją zobaczył, jak tylko dzieciaki zaczęły pisać. Najpierw nie wiedział, na co patrzy, ale zeszedł na dół, bo ogród przecie zamknięty dla zwiedzających, i rozpoznał, że to Ania Bednarz, jedna z kelnerek. Nawet puls jej pomacał i reanimować próbował... Ale nie żyła. To spytaliśmy się dla pewności dziewczyn z Herbovej, czy Bednarzówna jest w pracy, i nawet złe na nią były, że się dzisiaj nie zjawiła, a wiadomo było od tygodnia, że dzisiaj wycieczka szkolna z Krakowa ma być...

Zadzwoniliśmy na policję i czekamy. No i tak jakoś pomyślałem, że mi porządek utrzymać pomożesz, pracowałeś tu przecież kiedyś... Dzień dobry, pani Karolino – dodał po chwili z galanterią, pierwszy wyciągając rękę. Wiadomo, wdowa po aptekarzu, i to ze Skały, trza się godnie powitać.

– Dzień dobry – przywitała się, a kiedy pan Marian cmokał w końce jej palców, obdarzyła go istic królewskim skinieniem głowy. – Choć w tych okolicznościach... – westchnęła ciężko.

A kiedy już dała wyraz tym jakże trudnym emocjom, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Morawiecka bowiem spośród wielu cech, które wprawiały ją w zadowolenie bądź dumę (nie pozbawiając jej przy tym, oczywiście, wrodzonej skromności i pokory), niezwykle sobie ceniła umiejętność zachowania zimnej krwi. Oraz dar dobrej rady, którą dzieliła się z bliźnimi, czy tego chcieli, czy nie. Teraz miała wreszcie okazję zademonstrowania swoich nieograniczonych możliwości.

– Panie Edku. – Niespodziewanie dla wszystkich Karolina Morawiecka zaczęła dyrygować zebranymi. – Pan stanie w bramie, a najlepiej będzie ją zamknąć, dopóki policja nie przyjedzie. Ten pan Bartosz to za chwilę zemdleje od papierosów, trzeba go gdzieś posadzić. Grupę koniecznie trzeba uciszyć – to mówiąc, posłała miotającym się wciąż nauczycielom karcące spojrzenie, przed którym nawet Trufla poczułaby respekt – i usadzić w jednym miejscu. Moje drogie – zwróciła się teraz do całkiem już przytomnych kelnerek. – Dzieciom na pewno przydałaby się herbata, choć pewnie najlepsza byłaby gorąca czekolada (ach, na skalskiej śmietance trzydziestoprocentowej, kilka kostek gorzkiej i mlecznej czekolady, wzbogacone nutkami kardamonu i cynamonu, gotowane do pełnej gęstości około trzech minut). Trzeba się brać do roboty!

– Proszę państwa. – Wdowa dwa razy klasnęła w ręce. – Wchodzimy do Herbovej, gdzie poczekamy na przyjazd policji.

Dzieci, ma być spokój! Najlepiej po cichutku pomódlcie się – tu zrobiła krótką pauzę, przez chwilę bowiem poczuła się jak święta męczennica na arenie z mającymi ją pożreć dzikimi zwierzętami – za zmarłą...

– No, no. – Stachlak spojrzał z dumą na sąsiadkę. – Pani to wie, jak postępować z ludźmi. Klasa kobitka! – Zerknął raz jeszcze ukradkiem na posagową wdowę. – A biuścik... epicki – rozmarzony obfитоścią kształtów mruknął do kolegi Mariana i zaraz potulnie powędrował w stronę zamkniętej już bramy wjazdowej i roztrzęsionego Bartosza Skalskiego, mijając kolumnę ucichłej nagle młodzieży grzecznie udającej się na taras widokowy Herbovej.

Po wydaniu komend i skoszarowaniu tłumów, czując się co najmniej niczym Napoleon albo i sam Piłsudski na Kasztance, pani Morawiecka rozejrzała się badawczo po pustym już dziedzińcu i żwawo potruchtała w stronę murku. Był stosunkowo niski, sięgał jej nieco powyżej pasa, przede wszystkim zaś – był szeroki. Na tyle, że siedzenie na nim wydawało się bezpieczne... Na tyle, żeby częściowo zakrywać makabryczne znalezisko... Wdowa wychyliła się nieco i spojrzała w dół. Nie było bardzo wysoko, może z pięć metrów. Może sześć.

– Biedactwo leży na wznak, więc na pewno nie skoczyła. Nieszczęśliwy wypadek albo... – Zamyśliła się na moment, raz jeszcze szacując szerokość murku. – ...albo ktoś jej pomógł. Tylko dlaczego? O której zginęła? No i najważniejsze: czemu tutaj?

W zamyśleniu wyprostowała się, wypięła pierś do przodu i poprawiła pasek lekko wrzynającej się w ramię lakierowanej czarnej torebki. Już miała wrócić do gromadzącej się na tarasie widokowym grupy, kiedy dotarło do niej, że brakuje bardzo, ale to bardzo istotnego elementu. Nigdzie nie widać torebki zmarłej!

[3] Może jest mała i przykrywa ją szalwia, bo rzeczywiście jakaś taka gęsta w tym miejscu, dorodna. Trzeba by spytać ogrodnika,

jaki nawóz stosuje... Ale – wdowa po aptekarzu wychyliła się jeszcze bardziej, na ile tylko pozwolił jej biust (i brzuch) – nie, po torebce nie ma ani śladu...

Podejrzane. W najwyższym stopniu podejrzane – wyszeptała sama do siebie Morawiecka i ruszyła w stronę restauracji. Już ona nie miała złudzeń, czy ta nauczycielka potrafi sama zaprowadzić porządek. Pewnie za chwilę trzeba będzie ją cucić.

* * *

Kwadrans później na zamku zjawiała się policja. Podkomisarz Adam Cegła spodziewał się totalnego chaosu. Ludzi wyprowadzonych z równowagi. Histeryzujących kobiet i dzieci – już przy zgłoszeniu przekazano informację, że ciało spostrzegła grupa uczniów z krakowskiego gimnazjum, przebywająca na wycieczce integracyjnej w Pieskowej Skale. Wyobrażał sobie totalnie zdeptane miejsce zbrodni, płacz i lamenty. I sporadyczne wymioty, niweczące wszelkie ślady DNA ewentualnego sprawcy. Tymczasem, ku jego najwyższemu zdumieniu, scenariusz zdarzeń rozgrywał się całkiem inaczej.

Owszem, cuchnący papierosami strażnik znajdujący się przy wejściu, po wylegitymowaniu zidentyfikowany jako Bartosz Skalski, lat 26, mieszkaniec Wielmoży, zameldowany przy ulicy Herianówka 108, był blady i roztrzęsiony. Wyraźnie w szoku, który ograniczał jakikolwiek z nim kontakt. Obok jednak na rozkładanym krzeselku siedział zażywny starszy pan w gumiakach. Ewidentnie podekscytowany zachowywał jasność umysłu.

– Dzień dobry – przywitał się z entuzjazmem. – Wszyscy są na górze, na tarasie Herbovej. Żeby śladów nie zdeptać. Dziewczyna, to jest Anna Bednarz, to jest ta, denatka – tu dumnie wypiął pierś, bo wszak nie każdy zna i używa takiego

specjalistycznego słownictwa – w ogródku leży, o tam, za ten murek trzeba się wychylić i wszystko widać.

– Kim pan jest? – zdumiał się podkomisarz. Nie pierwszy i nie ostatni raz tego dnia.

– Emerytowany strażnik, Edward Stachlak. – Niemal zasalutował, zrywając się z krzeselka. – Mnie tu wezwał do pomocy Marian Furgalski, drugi ze strażników obok tego tu. – Wskazał na rozdygotanego młodzieńca na skraju katatonii. – Co to teraz ze wszystkimi na górze siedzi. Jakies czterdzieści minut temu to było. No tom przyjechał z sąsiadką, tą wdową po aptekarzu, i teraz wejścia i w ogóle wszystkiego pilnuję. – Ponowie dumnie wypiął pierś.

– Jędrak, ty tu zostajesz i spiszesz zeznania – rzucił Cegła do jednego z towarzyszących mu dwóch młodych aspirantów. – Ja idę zobaczyć ciało. Technicy już są?

– Właśnie dojeżdżają, panie podkomisarzu. – Chudy brunet zakończył rozmowę przez komórkę.

– Batory, idziesz za mną na dół. Tylko ostrożnie, ochraniacze załóż, żeby niczego nie zdeptać – pouczył na koniec. – A ty, Jędrak, koc jakiś znajdź dla tego tutaj. Cały się trzęsie, widać w szoku jest.

Leżąca na plecach pośrodku grządki z ogrodową szafwią dziewczyna była młoda i ładna. Otwarte oczy wpatrywały się w górę, w piękne wrześnieowe niebo. Ubrana w kusą spódniczkę oraz obcisły podkoszulek nie miała makijażu. Obok ciała, co podkomisarz Cegła skrzętnie odnotował w myślach, nie było śladu po torebce.

– Dziwne – mruknął pod nosem. – Bardzo dziwne. Ale może torebka została na górze i ktoś ją gdzie odłożył. Jakiś kretyn... Albo, czego przecież nie można wykluczyć, denatka w ogóle nie miała jej przy sobie. Dobra, Batory – zwrócił się do pobladłego policjanta, na którego twarzy wyraźnie widoczne były i strach,

i ekscytacja. – Nic tu po nas. Trzeba czekać na techników. To twój pierwszy raz, tak?

– Tak, panie podkomisarzu – przytaknął wyraźnie poblady Batory. – Dotąd jakoś się nie składało. Sam pan wie, że w prewencji robiłem.

– I dobrze. – Cegła poklepał go po ramieniu. – Im mniej trupów, tym lepiej. Sen będziesz miał spokojniejszy. No dobra, wracamy na górę. Chodźmy teraz do tych tam. – Wskazał ręką na grupę ludzi znajdujących się na tarasie widokowym Herbovej i bezwstydnie wpatrujących się w stróżów prawa przy pracy. – Przy odrobinie szczęścia za parę godzin będziemy wiedzieli, co tu się stało.

Zdumienie podkomisarza byłoby zapewne niepomierne, gdyby wiedział, jak potoczą się losy śledztwa. Jednak w najbliższym czasie coś innego miało go zadziwić. Po raz kolejny tego dnia zresztą.

Kiedy wreszcie podkomisarz Adam Cegła w towarzystwie młodszego aspiranta Rafała Batorego udał się na taras kawiarni, niemal wszyscy zgromadzeni czekali karnie przy stolikach, pijąc herbatę (dzieci) lub kawę (dorośli) i patrząc na – z tej perspektywy widoczne jak na dłoni – zwłoki młodej kobiety burzące perfekcyjny dotąd kształt grządek. Niemal wszyscy, gdyż wdowa po aptekarzu wraz z brunecikiem z wąsem cucili rudą nauczycielkę, która na widok nogi i ręki wystających z szalwii ogrodowej dostała najpierw ataku histerycznego śmiechu, a następnie – zemdląła.

Po raz kolejny tego dnia zdumienie ogarnęło podkomisarza Cegłę, kiedy na jego widok starsza kobieta pochylona nad rudowłosą gwałtownie poderwała się z klęczek i wyprężyła jak struna. Był to widok niezwykły i absolutnie zaskakujący nie tyle ze względu na wiek (*Jakoś tak blisko siedemdziesiątki* – zawyrokował bezdusznie Cegła), co na jej rozmiary. Kobieta była

potężna. Mając niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, musiała ważyć niewiele mniej kilogramów (och, co za okrutna nieścistość! Wdowa miała raptem kilkanaście, no, może kilkadziesiąt kilo nadwagi). Krótkie włosy w kolorze buraczanej czerwieni ułożone miała w loki, ale i tak przywodziły na myśl kask. Lub hełm. Spod fałd drugiego czy trzeciego podbródka (nie bądzmy drobiazgowi) wyłaniała się sporych rozmiarów narośl. Z niej zaś – niczym trzej sławni muszkietierowie, ochoczo broniący króla i cześć kobiecą; niczym biblijni trzej mędrzy ze Wschodu składający pokłon Dzieciątku; niczym mityczne trzy siostry: Aglaja, Eufrozyna i Telaja – sterczały trzy cienkie włoski. Kobieta była skromnie ubrana w czarną spódnicę i różowy golfik z anilany, lekko opięty na brzuchu. Ani jednak pies na widok kota, ani nawet stosunki między kibicami Wisły i Cracovii nie bywają tak napięte, jak napięta była tkanina na jej biuście.

Podkomisarza ogarnęło dziwne uczucie, że gdzieś już ją widział. Że skądś ją znał.

– Ja pana znam z widzenia – oznajmiła mu z godnością daleka kuzynka mitycznej Gracji. – Karolina Morawiecka jestem. Wdowa po aptekarzu. Ze Skały – dodała z naciskiem. – Przyszłam tu razem z panem Edziem Stachlakiem już po odkryciu ciała biednej Ani Bednarz (niech spoczywa w pokoju), do pomocy, ale to już pan na pewno wie, bo pan musiał z nim rozmawiać na samym początku, jeszcze przy bramie. Tu ma pan listę z danymi wszystkich uczniów oraz imiona i numery telefonów ich rodziców. Bo przecież bez ich zgody nie będzie pan przesłuchiwał dzieci, prawda? – Posłała mu uważne spojrzenie i z radością dostrzegając, że policjant osłupiał. Podobnie zresztą, jak i ten młodszy, chudy, stojący kilka kroków za nim. – Nauczyciele niewiele pewnie panu powiedzą, bo zajęci byli odciąganiem uczniów od murku. A ta – wskazała ręką na siedzącą wciąż na podłodze rudowłosą, która najwidoczniej odzyskała już

przytomność ciała, choć wciąż daleko jej było do przytomności umysłu – to w ogóle nic panu nie powie. Polonistka – powiedziała, jakby to tłumaczyło wszystko.

Cegła zebrał się wreszcie w sobie. Wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Co to za jedna? Co to za jakiś koszmarny żart?

– Panie Batory, proszę wstępnie spisać i przesłuchać świadków – rzucił i odwrócił się na pięcie, zostawiając młodszego aspiranta Rafała Batorego na pożarcie lwu. Niech się chłopak uczy.

* * *

Niespełna dwie godziny później, jeszcze kościelny zegar w Sułoszowej nie wybił trzynastej, rozpędzone białe tico jechało Zamkową w stronę Skały. Wdowa po aptekarzu, spisana przez funkcjonariuszy pierwszy raz w życiu, odreagowywała na skrzyni biegów składanie zeznań. Już ona dobrze wiedziała, że śmierć Ani Bednarz nie była wypadkiem. Starszy policjant za nerwowo gdzieś dzwonił, pokrzykiwał nieustannie i kazał swoim ludziom czekać na prokuratora z Krakowa. Pytał wystraszone kelnerki o torebkę zmarłej, pytał strażników i grupę uczniów, sam obszedł wszystkie rabaty. I nic. Jak kamień w wodę. Zbyt to wszystko było chaotyczne jak na niezawinioną śmierć, a przecież nie był młodzikiem. No i ten błysk w oczach... Tak, pani Karolina za dobrze znała to uczucie, kiedy ktoś miał jakiś sekret i chciał zatrzymać go dla siebie. I wiedziała, że jeszcze się taki nie narodził, który zdołałby coś przed nią ukryć.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie Stanisława, który tak żarliwie zapewniał ją o rzuceniu palenia. Zbyt żarliwie. Oczywiście, zaufanie w małżeństwie to ważna rzecz. Bez dwóch zdań. No ale trzeba też pamiętać, że wszystko ma swoje granice, a strzeżonego Pan Bóg strzeże. Tak więc pani Karolina postanowiła przeprowadzić małe śledztwo. Zupełnie

niezobowiązujące. Stanisławowi wydawać się musiało, że wielki z niego spryciarz... Na wszelki wypadek przestał kupować papierosy w Skale i jeździł po nie do Sułoszowej lub do Ojcowa. Nawet, mądrała, palił papierosy w szklanej fifce, bo przeczuł, że żona mogłaby mu kontrolnie powąchać palce... I owszem, powąchała. Ale nie docenił sprytu i inteligencji własnej małżonki, o nie! Tamtego dnia, wiedziona instynktem i potrzebą konkretnych, twardych dowodów, wyszła z domu wcześniej, pod pretekstem wyprawy na targ, kiedy niczego nieświadomy Stanisław jeszcze w piżamie przeglądał dziennik i jadł jajeczniczkę z trzech jajek (zeszklona na maśle cebulka, jajka roztrzepane dopiero na patelni, sól i pieprz obowiązkowo użyte pod sam koniec smażenia, całość posypana drobno posiekanym szczypiorkiem). Klucze do apteki dorobiła już kilka lat wcześniej, na wypadek gdyby kiedyś przyszło mu do głowy zatrudnić jakieś młode praktykantki. Choć była wtedy nieco większa niż teraz (po śmierci aptekarza straciła wszak kilkanaście kilo, zamartwiając się figurą anioła, nieszczęsną Truflą i – oczywiście – cierpiąc z powodu niepowetowanej straty), udało jej się z ułożonych w piramidę pustych opakowań po lekach wybudować prowizoryczną kryjówkę. Musiała co prawda przecierpieć kilka godzin w niewygodnej pozycji, ale czego się nie robi dla dobra śledztwa! Ukrytej na zapleczu apteki za stertą pudeł małżonke wystarczyły raptem trzy godziny, by przyłapać kłamcę na zachłannym wydmuchiwaniu dymu w tylnych drzwiach prowadzących na podwórko. Jakąż miał minę, kiedy na czworakach, masując obolały krzyż, pani Karolina wyłoniła się zza stosu opakowań po lekach na zgagę i przeziębienie! Nawet się zakrztusił! Swoją drogą od tamtego momentu stał się niemal fanatycznym wyznawcą recydingu i najmniejszą nawet tekturkę, karteluszek czy kartonik natychmiast nerwowo wyrzucał do odpowiedniego kontenera. I, oczywiście, naprawdę rzucił

palenie. Tak, przed Karoliną Morawiecką nikt i nic się nie ukryje...

Zadowolona z siebie wdowa z piskiem opon wyhamowała przed Żabką. Skoro Ania Bednarz została zamordowana, policja zacznie szukać zabójcy. Na pewno będzie chodzić po wsi i rozpytywać o denatkę. I pewnie zahaczą o dom wdowy po aptekarzu, która tak wspaniale poradziła sobie na miejscu zbrodni. Trzeba się więc odpowiednio przygotować, umyć okna, przetrzeć porcelanowe figurki, nabłyszczyc bluszcz. I najważniejsze – kupić ciasto.

ROZDZIAŁ DRUGI

W KTÓRYM MŁODSZY ASPIRANT RAFAŁ
BATORY PRZECHODZI PRÓBĘ OGNIOWĄ,
A WDOVA WYSNUWA PIERWSZE WNIOSKI

Wrześniowe niebo dopiero zaczęło szarzeć, a pani Karolina była już w pełnej gotowości. Okna na parterze zostały starannie umyte, podłoga wypastowana i wyfroterowana, lśniły szyby w kredensie i zestaw figurek (a to aniołki, a to tancereczki, znalazło się także kilkanaście słoników i para pastuszków z koszyczkiem i laską, choć bez owieczki). Bluszcz rosnący w salonie w doniczce pod oknem także nabrał intensywniejszych barw po tym, jak jego liście zostały natarte olejem kokosowym (nierafinowanym oczywiście). Przed stojącym na toalecie ślubnym zdjęciem w gustownych ramkach z plastiku stanął mały flakonik ze świeżymi kwiatami.

Z kolei w kuchni stół ugiął się od ciężaru wytrawnych tart (porowa i z krewetkami; do śmietany koniecznie należy dodać serka mascarpone, by zapewnić lekkość i puszystość nadzienia), kanapeczek koktajlowych z kiełbasą, zielonymi oliwkami i orzechami włoskimi (koniecznie na bagietce!) oraz od ciast i ciasteczek z Żabki. Zzajana wdowa przebrała się w swój najlepszy, zarezerwowany na niedziele i śluby (w sezonie letnim) jasnoróżowy kostium i oto teraz, z coraz mniejszą zadyszka,

siedziała przy kuchennym oknie. Obok niej, zwyczajowo zdyszana i zziębnięta, leżała Trufla. Czekwały. Pani na dalszy rozwój wydarzeń, psica – na smakołyki. Ale tego wieczoru tylko jedna z nich się doczekała.

Najpierw pani Karolina kątem oka (niestety obie działki oddzielał wysoki i gęsty żywopłot, który wyraźnie ograniczał bliższe zapoznanie się) zauważyła ruch na trawniku sąsiadki. To ta nowa udawała, że podlewa róże przed domem. Ha! Wdowa od dawna wiedziała, że krakuska bynajmniej nie podlewa kwiatków, nie odróżniała nawet hibiskusa od budlei! Swoją drogą to niesprawiedliwe, że jej kwiaty tak pięknie kwitną... W tej sytuacji Morawieckiej nie pozostało nic innego, jak założyć podomkę na garsonkę i pójść podlać swoje.

– Dzień dobry, pani Karolinko. – Młodsza ewidentnie próbowała jakoś się przyprochleć. – Wie pani, co się działo na zamku? Naprawdę był tam trup?

– Dzień dobry. – Wdowa postanowiła choć na moment pozostać nieugięta. – Pięknie pani kwitną te róże.

– A tak, dziękuję.

Po chwili niezręcznej ciszy w Karolinie Morawieckiej zwyciężyła cnota chrześcijańskiego miłosierdzia.

– Na zamku rzeczywiście był trup. Kelnerki z Herbovej.

– Co też pani mówi? – zdziwiła się nowa. – Naprawdę? Galop pana Stachlaka trochę mnie zastanawiał, ale jakoś nie chciało mi się wierzyć. Serce?

– Serce?

– No, czy na zawał zmarła? Bo przecież nie popełniła samobójstwa z powodu napiwków – nieudolnie próbowała zażartować młodsza pani Karolina.

– Niby jeszcze niczego nie ustalono, ale powiem pani, że według mnie to musiało być morderstwo. – Wdowa zniżyła głos do szeptu. – Morderstwo na zamku w Pieskowej Skale –

zakończyła uroczyście.

Krakuska badawczo przyjrzała się pani Morawieckiej, uśmiechnęła wyrozumiale i wzięła do ręki konewkę.

– No, to się jeszcze okaże. A ja już pójdę do domu, mąż ma wrócić na dziewiętnastą...

– Oczywiście, proszę wracać. Trzeba dbać o męża, póki się go ma. – Wdowa po aptekarzu wygłosiła tę kwestię drżącym tonem męczennicy. O nie, nie ma sensu zaprzyjaźniać się z tą smarkulą. Już ona jej pokaże... – Ja w każdym razie czekam na policję. Myślę, że lada chwila tu będą, żeby przepytować ludzi. Powiem im, żeby kolację zjedli u mnie, bo u pani pewnie jak zwykle...

– Jak zwykle? – zdenerwowała się sąsiadka. – Nie rozumiem, co pani chciała powiedzieć...

– Och – niby-pokojowo rzuciła Morawiecka. – Przecież widzę, że pani nie gotuje za bardzo. Nie ma się co dziwić, że mąż taki chudziutki, jak to wiecznie zajęte... Okna też ostatni raz na Wielkanoc były myte. A przecież już mamy wrzesień. Ale ja się nie wtrącam, broń mnie Panie Boże! I policjantów nakarmię, proszę się nie martwić.

To powiedziawszy, ruszyła z konewką w stronę domu, zadowolona, że utarła tej smarkuli nosa. Zresztą jej mąż naprawdę chudy taki, mizerniutki, a ona tylko leży na kanapie i czyta. Ani się obejrzy, jak znajdzie sobie inną, taką, co ugotuje i posprząta. I po co jej te książki? Wiadomo, książkami nikt się nie naje. Ona sama na przykład od dawna nie przeczytała już ani jednej powieści i w żaden sposób nie czuła, że coś traci. Wystarcza jej „Ziarno Pana” wydawane przez proboszcza Januszka i krzyżówki...

Te rozmyślania przerwał męski głos, dobiegający od strony ulicy:

– Dobry wieczór, policja. Młodszy aspirant Rafał Batory. Pani Karolina Morawiecka, tak? Możemy porozmawiać?

– Dobry wieczór – odrzekła z godnością i posłała stojącej w progu swojego domu sąsiadce tryumfalne spojrzenie. – Oczywiście, zapraszam.

Zdjęła podomkę, wygładziła poły zakietu i ruszyła do furki.

– Pani lepiej zamknie tego... ekhem... pieska. – Policjant lekko zbladł na widok pędzącej w ich stronę Trufli.

– Policjant, a boi się mojej Trufelki? – Zaśmiała się, choć w duszy wcale się nie dziwiła. Rozpędzona suka przypominała raczej opluty bolid. Albo uślinionego dzika. – Już, już, proszę się nie bać. Ona nie gryzie. – To mówiąc, otworzyła bramkę i wpuściła przedstawiciela władzy na podwórkę.

Trufla, rzeczywiście, nie ugryzła. Zmęczona pokonywaniem trzydziestometrowej odległości położyła się blisko plastikowej owieczki, stojącej na centralnej rabacie, i oblepiała trawnik cienkimi nitkami śliny. Odprowadziła czujnym spojrzeniem pańczę i jej gościa, a potem ruszyła za nimi w nadziei, że może jednak coś jej skapnie z panińskiego stołu. Pani Karolina była jednak szybsza i z satysfakcją zamknęła jej drzwi przed nosem.

Przesłuchanie zaczęło się za zamkniętymi drzwiami, tuż za progiem.

– Młody człowieku, gdzie pańskie maniery? Nie uczono pana, że w gościach trzeba zdjąć buty? Nic dziwnego, że świat schodzi na psy, a policja nie cieszy się zbyt dobrą opinią. – Morawiecka mówiła stanowczo, niczym dowódca wojsk lądowych tuż przed atakiem. – O, tu mam kapciuszki, specjalnie dla pana je przygotowałam. Bo wie pan, ja wiedziałam, że się tu ktoś od was pojawi. Dlaczego nie zakłada pan pantofli? W tych skarpetkach to, proszę wybaczyć poufałość, ale mogłabym być pańską babcią, nie wygląda pan zbyt oficjalnie. Krokodylki? Widać kawaler. Robi się dziura na dużym paluchu! Pamięta pan o regularnym przycinaniu paznokci? Tylko nie nad wanną, złotko, nie nad wanną! No i przeciera się na pięcie... Ech, gdybym miała lepszy

wzrok, to bym panu zacerowała...

– Potrzebuję uzyskać od pani odpowiedzi na kilka pytań. – Wytrącony z równowagi Rafał Batory nieudolnie próbował bronić dobrego imienia policji i siebie.

– Przecież nie będziemy rozmawiać w przedpokoju! – W głosie gospodyni słychać było prawdziwe oburzenie. – Nie, proszę pana, w tym domu obowiązują pewne zasady! Proszę dalej, na salony. – I z miną pełną godności poprowadziła rozbrojonego do samych skarpetek młodszego aspiranta w czeluści rzeczonoego salonu.

Posadziła gościa na krześle przy stole (komplet w stylu Ludwika, kupiony w sklepie meblowym w Skale, tani nie był) i na widok wyciągniętego notesu policjanta kategorycznie oznajmiła:

– Proszę chwilkę poczekać. Nie będziemy przecież rozmawiać przy pustym stole. Tak się nie godzi! Wiem, że to nie jest pierwszy dom w Wielmoży, w którym pan zbiera zeznania, ale tu nikt tak dobrze nie gotuje, jak ja. – Tym razem nie bawiła się w fałszywą skromność. – Na pewno dotąd nic dobrego panu nie dali... Więc najpierw coś przekąsimy, potem mogę panu zrobić kawę, choć tak na wieczór to niezdrowo. Słodzi pan?

– Trzy łyżeczki – skapitulował.

– No, no, łakomczuszek! Trzy łyżeczki, a taki chudy! Myślałby kto – szepnęła pod nosem i majestatycznym krokiem ruszyła do kuchni.

Nie mogła przepuścić takiej okazji. Oczywiście, miewała gości, ale to zaledwie sąsiadki lub dalekie kuzynki. Zaraz po przeprowadzce do Wielmoży, no i po nieoczekiwanej śmierci Stanisława (Panie, świeć nad jego duszą) miewała chwile tryumfu jako gospodyni. Już ona dobrze wiedziała, jak wykorzystać w pełni ten moment popularności, kiedy gnani mieszaniną ciekawości i współczucia znajomi i krewni wpadali do niej w odwiedziny. Teraz więc wyciągnęła cały arsenał

znanych jej środków i ustawiła go wokół lekko spiętego mężczyzny. Na widok tart i kanapek, koreczków i roladek, krakersów i deski serów policjant lekko osłupiał.

– Ciasto będzie, ale do herbaty. Kupne, nie zdążyłam dzisiaj upiec, bo tyle się wydarzyło. – Starła się nadać twarzy skromny wygląd, złożyła rączki w małdrzyk, usta w ciup, a spojrzenie posłała w stronę nieba, czy raczej sufitu.

Młodszy aspirant Rafał Batory nie wiedział, od czego zacząć. Więc zaczął po kolei. A ponieważ był zdyscyplinowany, systematycznie opróżniał talerze, talerzyki, kokilki i deski. Gospodyni dzielnie mu towarzyszyła (omijając jednak kanapeczki z kiełbasą, wszak był piątek. Post niby został zniesiony, ale przecież strzeżonego Pan Bóg strzeże i kto wie, co się na Sądzie może okazać). Do samego końca. Do ostatniego okruszka.

– Co może pani powiedzieć o dzisiejszym dniu? I o denatce? Znała ją pani? – najedzony do granic Batory próbował przywołać się do porządku. Było to jednak trudne. Najchętniej położyłby się na kanapie i potrawił w spokoju... Albo chociaż kawy się napił, żeby się jakoś rozbudzić. – To może ja bym jeszcze o tę kawkę poprosił...

Wdowa tylko czekała na ten moment. Przypominała panterę trzymającą w łapach bezbronnego króliczka, kiedy mimochodem spytała:

– Cappuccino? Latte? Espresso? A może gotowaną po turecku? Z syropem z agawy i wodą różaną?

Oslupiały młodszy aspirant rzeczywiście przez chwilę wyglądał jak bezbronny króliczek. A kiedy zasiedli wreszcie oboje przy bogato zdobionym i wciąż suto zastawionym stole (ciasta i ciasteczka z Żabki), pijąc cappuccino (Batory) i espresso (Morawiecka), przesłuchanie poszło już gładko.

– Widzi pan, panie Rafałku, mogę tak do pana mówić? Pewnie się pan zdziwi, ale pan mógłby być moim wnukiem przecież...

Chociaż wiem, że nie wyglądam. No więc, widzi pan, jestem absolutnie przekonana, że to morderstwo. Na pewno wykluczyliście już samobójstwo. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie skakałby z tak w sumie niewielkiej wysokości i nie ryzykowałby inwalidztwa. A już na pewno nie dziewczyna z takimi nogami. No i przecież nikt nie popełniłby samobójstwa w miejscu pracy. Nawet z powodu niskich napiwków, hi hi – ukradła żart sąsiadki. – Nie, to musiało być morderstwo. Widzi pan, na nieszczęśliwy wypadek to też mi nie wygląda... Przez ten murek. Za szeroki jest, żeby z niego ot tak po prostu spaść. No, może gdyby się wychylała... Ale przecież musiała zginąć wieczorem czy raczej w nocy, prawda? Herbova jest otwarta do osiemnastej trzydzieści, zamykają pewnie o dziewiętnastej albo chwilę po, a we wrześniu o tej porze jest już niemal ciemno. Może nie w mieście, bo widzi pan, ja jestem ze Skały, to wiem, ale tu, na wsi? Więc raczej się nie wychylała, żeby coś zobaczyć, bo i tak niczego by nie zobaczyła! Zgadza się?

– Tak, proszę pani. – Młodszy aspirant tylko pokiwał głową. Nie rozumiał, co się dzieje. Przecież to nie było jego pierwsze przesłuchanie! A do tej pory w zasadzie nie udało mu się zadać świadkowi żadnego ze standardowych pytań. I skąd świadek wiedział, że podkomisarz Cegła podejrzewa udział osób trzecich? Nie mogła przecież wiedzieć o śladach na szyi wskazujących być może na próbę zabójstwa. Czy raczej – na udaną próbę, czyli na zabójstwo... Patrzył na panią Morawiecką coraz bardziej oszołomiony i próbował nadążyć za monologiem gospodyni. Nawet po kawie nie było to proste.

– No to mamy do czynienia z morderstwem. Z morderstwem na zamku... – Gospodyni położyła dłonie na brzuchu i bezwiednie zaczęła kręcić kółka kciukami. – Powiem panu, złociutki, że ja to od początku wyczułam. No bo na przykład sprawa tej torebki... Gdyby to był wypadek, powinna leżeć albo

na dziedzińcu, albo na murku, bo wiadomo, panie Rafałku kochany, że jak się torebkę kładzie na ziemi, to pieniądze uciekają. Ja tam nie jestem przesądna, broń Boże!, ale lepiej licha nie kusić. Oczywiście istnieje możliwość – ton jej głosu wskazywał, że nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien brać jej pod uwagę – że jej w tej szatwii nie zauważyłam... Albo że została skradziona... – Uważne spojrzenie rzucone w stronę młodszego aspiranta upewniło ją, że losy torebki kelnerki z Herbovej pozostają nieznane. – Najprawdopodobniej jednak wziął ją zabójca, żeby zatrzeć ślady.

Upiła łyk kawy, bo od tej przemowy lekko jej już zaschło w gardle, a miała jeszcze dużo do powiedzenia. Spojrzała uważnie na gościa. Ten policjant, młody taki, wystraszony, jakby mu się na płacz zbierało. Widać, że nie nadaża. A że Karolina Morawiecka, z czego była nad wyraz dumna, osiągnęła mistrzostwo w cnocie miłosierdzia, postanowiła mu pomóc.

– Wiadomo – spojrzała ze znanstwem w stronę gościa – jakie są najczęstsze przyczyny morderstwa. Zazdrość, nienawiść, pieniądze... Te ostatnie spokojnie możemy wykluczyć. Młoda dziewczyna pracująca w restauracji raczej nie jest bogata, prawda? Na zabójstwo z nienawiści to też, na pewno zgodzi się pan ze mną, nie wygląda. Może była na przykład przyduszana. – Tu spojrzała badawczo na pana Rafałka i z przyjemnością zobaczyła zdumienie na jego twarzy. – Ale nie pobita... Nagły wybuch złości, wściekłości może nawet – tak, ale nie nienawiść. Co więc nam zostaje? – Pytanie padło znienacka i Rafał Batory poczuł się jak krnąbrny uczeń z ostatniej ławki niespodziewanie wyrwany do odpowiedzi. Na szczęście Karolina Morawiecka przeobraziła się teraz w nauczycielkę, która sama sobie odpowiada. – Zazdrość. Tak, to na pewno był motyw.

Spojrzała na rozmówcę, który wciąż przypominał króliczka. Z tym że teraz raczej króliczka hipnotyzowanego przez kobrę.

Miły chłopak – pomyślała – ale jeszcze się do tej pracy nie nadaje. Nawet nie zapisuje i chyba za mną nie nadąży. Ech... Trzeba mi rozmawiać raczej z komisarzem prowadzącym to śledztwo.

– Panie Rafałku złociutki, pan to sobie zanotuje. – Postukała krótkim, acz pulchnym paluszkciem w okładkę służbowego notesu leżącego przed policjantem na obrusie z haftem richelieu. – I sprawdzi dokładnie te kelnerki. Niby płakały, ale na moje oko to raczej po to, żeby nie było zbyt podejrzanie. Jedna to nawet tusz sobie poprawiała. Ta blondynka, zgrabna taka. Wie pan, ja jestem wdową – tu urwała i po dramatycznej pauzie dodała drżącym głosem: – to wiem, że się w obliczu tragedii o tuszu nie myśli. (I było to w zasadzie stwierdzenie zgodne z prawdą. Karolina Morawiecka w trakcie ostatniego pożegnania małżonka nie musiała myśleć o rozmazującym się tuszu do rzęs – specjalnie na pogrzeb zrobiła sobie hennę. W bezpiecznej odległości trzydziestu kilometrów od Wielmoży i Skały oczywiście). Ważne, żeby sprawdzić denatkę, tę... – Wypadło jej nagle z pamięci. – Jak jej tam?

– Annę Bednarz. – Młodszy aspirant na szczęście znał odpowiedź, ale i tak na czole pojawiły mu się krople potu. W zasadzie dziwne, że dopiero teraz...

– Ona chyba nie jest, to znaczy nie była – poprawiła się stosownie do okoliczności – z Wielmoży, prawda? Mieszkam tu raptem od pięciu lat, ale trudno mi wyobrazić sobie, żebym kogokolwiek stąd nie kojarzyła... – Wdowa zawiesiła głos i badawczo przyjrzała się spoconemu mężczyźnie. Z miny Rafała Batorego wywnioskowała, że i on nie mógłby sobie wyobrazić takiej sytuacji. – Morderca pewnie też nie stąd. Napływowy element, ewidentnie! Bo tu, widzi pan, mieszkają sami porządni ludzie. – W tym momencie, dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów, uderzyła się w biust. Głuchemu

odgłosowi towarzyszył szelest wykrochmalonego na sztywno kołnierzyka kościółkowej koszuli.

– Nie, zmarła pochodziła ze Skały – machinalnie potwierdził młodszy aspirant. Chciał do domu, do mamy...

– Tak myślałam, że nie z Wielmoży. Ale ze Skały, mówi pan? Dziwne, tyle lat tam mieszkałam, a jej nie kojarzę. – Na okrągłym obliczu wdowy pojawiło się autentyczne zdumienie. – Tak czy owak – ciągnęła dalej zadowolona – trzeba ją sprawdzić. No wie pan, kochaniutki, czy była uczciwą dziewczyną, czy ktoś miał powody, żeby ją zabić. Na pewno po prześwietleniu tej całej Bednarz znajdzie pan i motyw, i mordercę! – zakończyła tryumfalnie.

Wstała od stołu, żeby pokazać, że już czas się pożegnać. Zbliżała się dwudziesta, zaraz będzie jej ulubiony serial o sandomierskim detektywie. I może nawet na pogodę zdąży.

– Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, to zapraszam. Teraz już chyba wszystko ustaliliśmy, a pan pewnie jeszcze do sąsiadów musi pójść. Do tych obok to nie ma pan po co. Krakusy. Ona to i tak tylko czyta i czyta, a jej mąż w Krakowie jakiś biznes prowadzi. Antykwariat czy coś. Ale gdyby pan jednak musiał, to przynajmniej już pan jest po kolacji, bo tam u nich to nigdy nic nie wiadomo. Weganie... – postraszyła na koniec i gestem królowej Elżbiety wyciągnęła dłoń do aspiranta. – A jak pan, panie Rafałku drogi, jeszcze kiedyś do mnie na kawkę zechce wpaść, to też można – łaskawie dodała na koniec.

* * *

Przystojny ksiądz Mateusz odjechał na swoim rowerze, a wdowa po aptekarzu skończyła ostatni kawałek ciasta.

Wielmoża nie Sandomierz, choć i u nas pięknie i wielu turystów. No i trupa swojego też już mamy – pomyślała

z satysfakcją. – *Teraz jeszcze tylko trzeba złapać mordercę. Cóż, najlepiej sama się tym zajmę, bo ta nasza policja jakaś taka...* Pani Karolina nigdy nie ufała osobom szczuplejszym od siebie. W zasadzie niewielu osobom ufała...

* * *

Tymczasem w Woli Kalinowskiej młodszy aspirant Rafał Batory dochodził do siebie. Wypił już dwa piwa, ale wiedział, że bez wódki się nie obejdzie. Ponad godzinę spędził na Podzamczu, a niczego nie udało mu się dowiedzieć. A jeśli podkomisarz Cegła się zorientuje i każe mu do niej wrócić? Wzdrygnął się na samą myśl o zażywej wdowie i czym prędzej ruszył na zakupy. Na szczęście do sklepu miał blisko. Po drodze przyznał jednak, że pani Karolina dobrze gotuje. I robi całkiem niezłą kawę. Nadspodziewanie niezłą. Gdyby tylko tyle nie mówiła...

* * *

Przez kolejne dni i tygodnie w Wielmoży wrzało. Wdowę po aptekarzu bolały już nogi od wystawania przy furtce i rozmów z niemal wszystkimi mieszkańcami wioski. Wieść o zwłokach znalezionych w przyzamkowym ogrodzie i ważnej roli Karoliny Morawieckiej w pierwszych minutach po odkryciu ciała rozeszła się bowiem błyskawicznie i każdy, kto tylko mógł, spieszył na Podzamcze. Oczywiście nikt nie chciał wyjść na wścibskiego sąsiada. Panie z odległych kolonii szły więc akurat w tę stronę na spacer. Psy, dotychczas trzymane przy domu na długość łańcucha, nagle zaczęły być wyprowadzane na prowizorycznie organizowanych smyczach – także na Podzamcze. Na cichej dotąd ulicy pojawiały się pielgrzymki

babć z wnusiami, które do tej chwili bawiły się grzecznie na podwórkach, a teraz miały zobaczyć zamek i las od strony Podzamcza. Te zaś, których wnuczęta właśnie rozpoczęły naukę w szkole i nie mogły stanowić wymówki, podejmowały rozpaczliwe próby marszu z kijkami do nordic walking. Najbardziej zdesperowane zaczęły biegać. Nawet listonosz zmienił trasę i odtąd jadąc pod każdy z możliwych adresów – przejeżdżał Podzamczem.

Atmosferę ciekawości, napięcia i grozy podkreślała też obecność dziennikarzy. Nie było ich tu może tak wielu, jak w Skale, ale co wytrwali reporterzy pojawili się nie tylko pod zamkiem w Pieskowej Skale, ale i w samej Wielmoży. Dwóch nawet chciało przeprowadzić wywiad z mieszkańcami Podzamcza, ale nie znaleźli żadnego śmiałka. Jeden zapuścił się w poszukiwaniach aż pod dom pani Karoliny, ale odstraszył go widok wielkiego obślinionego, pomarszczonego psa leżącego przy furtce^[4]...

Jednak cały ten tłum, całe to morze informacji nie pomogły w rozwikłaniu zagadki śmierci Anny Bednarz. Policja była bezradna. Oczywiście ustalono kilka faktów. Wynik sekcji zwłok zdawał się potwierdzać to, co podkomisarz Adam Cegła podejrzewał od początku – że dziewczyna została zabita. Przyczyną zgonu były liczne obrażenia wewnętrzne, powstałe na skutek upadku ze znacznej wysokości, w tym pęknięcie czaszki. Jednym słowem Anna Bednarz poniosła śmierć na miejscu, i to tam, w zamkowym ogrodzie. Ciało na pewno nie przenoszono. Najprawdopodobniej ktoś najpierw chwycił kelnerkę za szyję, a potem zepchnął z zamkowego muru. Zgon nastąpił nie później niż dwanaście godzin przed odkryciem zwłok, najprawdopodobniej między dwudziestą drugą a trzecią rano. Ustalono, że pracownicy Herbovej (Alina Stachowiak, Patrycja Rosiak, Zuzanna Soha oraz Anna Bednarz) wyszły

do domów około dziewiętnastej piętnaście. Że kamery na zamkowym dziedzińcu nie działają (zestaw do monitoringu miał być zakupiony z funduszy unijnych, ale dopiero w przyszłym roku, na razie więc wystarczać musiały atrapy; system działał tylko w obrębie komnat zamkowych). Że Bartosz Skalski, pełniący dyżur na bramie, wraz z drugim strażnikiem pamiętnego wieczoru wspólnie oglądali do dwudziestej trzeciej mecz polskiej reprezentacji (Lewandowski nie zawiódł, Kazachstan pomógł odzyskać honor utracony we wcześniejszym spotkaniu z Danią). Że potem, mniej więcej kwadrans po jedenastej, Marian Furgalski wrócił na swoje stanowisko pracy, czyli na zamkowe komnaty. Że żaden z nich niczego nie słyszał. Że Anna Bednarz (lat 23) była panną, ale zaręczyła się kilka miesięcy wcześniej (w czerwcu). I to nie z byle kim, ale z synem właściciela salonu Bień-AGD w Skale (Mateuszem Bieniem, lat 29). Że ślub miał się odbyć latem, bo wiadomo, że zimą i wiosną biorą śluby tylko ci, co muszą...

Jednak wszystkie te informacje wciąż nie pomagały w uzyskaniu odpowiedzi na najważniejsze pytania: jakim cudem kelnerka z Herbovej znalazła się nocą na zamkowym dziedzińcu? Kto ją zabił? I dlaczego?

* * *

Wdowa po aptekarzu nie mogła zasnąć. I nawet nie dlatego, że Trufla chrapała niczym razem wzięci przedstawiciele korporacyjnej wycieczki integracyjnej po ośmiu piwach na łebka. Nie z powodu wałków na głowie, bo choć metalowe i niewygodne, przywykła do snu z głową wysoko wspartą na poduszkach. Przeszkodą nie był nawet nadmiar słodyczy, które jak powszechnie wiadomo, są dobre na stres, ale w zbyt dużych ilościach (a co dopiero w ilościach hurtowych) mogą

wywołać pewne – nazwijmy to – niedogodności... Nie! Karolina Morawiecka nie mogła zasnąć z irytacji, że ktoś zabił dziewczynę z jej rodzinnego miasteczka! I to w jej wsi – ktoś się ośmielił popełnić zbrodnię! A ona, na dodatek, nie wiedziała kto!

Napięta do ostatnich granic wstała z łóżka i ruszyła w stronę kuchni. W swej różowej nocnej koszuli z poliestru, pełnej żabotów i kokardek, przypominała teraz królową Marię Antoninę idącą na szafot. Sięgnęła do lodówki po pudełko ukochanej kremówki i zaczęła przygotowywać czekoladę. Wiadomo, magnez jest najlepszy na mózg. Ona co prawda zawsze była dumna z pracy swoich szarych komórek, ale czasem i najlepsi potrzebują wsparcia.

Pomógł już drugi kubek gęstego napoju, choć możliwe, że i ciastka z orzechami miały w tym swój udział.

Sama poprowadzę śledztwo! Mój Stanisław (świeć, Panie...) zawsze powtarzał, że gdzie diabeł nie może, tam Morawiecką pośle! – ucieszyła się.

A że śledztwo powinno się prowadzić na cztery ręce, a każdy Holmes potrzebuje jakiegoś Watsona, postanowiła, że z samego rana poszuka współnika. Lub, w ostateczności, współpracownicy.

I najwyraźniej było to dobre postanowienie, bo kwadrans później przez uchylone okna do sypialni krakusów doleciały dźwięki podwójnego chrapania. Do odgłosów wydawanych przez Trufkę dołączył charkot przypominający rozklekotaną wiertarkę udarową: Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu, zasnęła wreszcie snem sprawiedliwej.

Kup sobie domek na wsi, mówili. Będziesz miał ciszę i spokój, mówili – pomyślał z goryczą chudy antykwariusz cierpiący na bezsenność i przewrócił się na drugi bok.

ROZDZIAŁ TRZECI

O TYM, ŻE KAŻDY SHERLOCK MUSI MIEĆ SWOJEGO WATSONA

Tak, to był dobry dzień. Doładowana nocną dawką cukru wdowa po aptekarzu obudziła się przejęta i radosna. Nawet na płaczącą się pod nogami Truflę spojrzała z pewną dozą akceptacji. Dziś przecież naprawdę zaangażuje się w śledztwo! Stanie się ręką Prawa, palącym płomieniem Sprawiedliwości. Już ona mu pokaże, temu mordercy, że w jej wsi się nie morduje! To porządna wioska, tu prawie sami katolicy mieszkają! Co najwyżej drobne kradzieże, czasem jakaś awantura, pijacka burda, może kilka siniaków wstydliwie skrywanych pod warstwą pudru... Ale to norma, to wszystko znamy. Nie, tu się zbrodni tolerować nie będzie!

W bojowym nastroju ruszyła do kuchni. Piękny jesienny poranek, piękne plany na przyszłość – trzeba to odpowiednio uczcić. Szakszuka – oto odpowiedź na wszystkie troski i kłopoty. *I to jeszcze z chorizo* – pomyślała i uśmiechnęła się sama do siebie. Tak, to będzie dobry dzień.

Kiedy ucierała kumin w moździerzu, usłyszała jakiś ruch na działce krakusów. Wyjrzała przez okno. To antykwariusz pakował książki do samochodu. Jego bezczelnej żony na szczęście nigdzie nie było widać, więc pani Karolina ochoczo ruszyła

do ogrodu. Stała między czaplą a sarenką.

– Ooo, dzień dobry, panie Jacusiu. – W jej powitaniu słychać było autentyczne zaskoczenie widokiem sąsiada.

– Dzień dobry – wystękał pan Jacuś z wielkim pudłem książek w rękach.

– Pan to zawsze coś dźwiga. Ludzie to w ogóle te książki kupują? – zdziwiła się na głos.

Pan Jacek mieszkał z żoną w Wielmoży już od dwóch lat i dobrze wiedział, że nie musi odpowiadać. Wdowa po prostu potrzebowała się do kogoś odezwać. Uśmiechnął się więc tylko i dalej ładował kartony z książkami do bagażnika starego wysłużonego volvo.

– Widzi pan, ja też dużo w życiu czytałam, oczywiście. I nawet mam sporo książek w bibliotece. – Nie mijała się zbytnio z prawdą: jedną półkę w kredensie, obok porcelanowych figurek, zajmowały dwa albumy o papieżu Janie Pawle, Rodziewiczówna i ładnie ilustrowany przewodnik po Pieskowej Skale. – Oczywiście nie tyle, ile państwo macie u siebie. – Tu pan Jacek nieco się zdziwił, bo o ile wiedział, wdowa nigdy nie była w ich domu^[5]. Jakos się nie złożyło przez te dwa lata... – W każdym razie to okropne, co to się u nas w Wielmoży dzieje. – Uznała, że wystarczy tego zagajania i już może przejść do sedna. – Zaraz będzie pogrzeb świętej pamięci kelnerki, oczywiście wybierają się państwo, nie wypada nie pójść. Swoją drogą, kto to widział, żeby z pogrzebem czekać aż trzy tygodnie! Zmiłowanie Pańskie! Ja rozumiem, że sekcja zwłok w Krakowie, że badania DNA trzeba było zrobić, że na wyniki pewnie się trochę czeka, no ale naprawdę, powinni się z tym całym śledztwem pospieszyć! Zaraz wrzesień minie, a morderca wciąż na wolności. To na pewno nikt stąd, ale przecież sprawę trzeba wyjaśnić. Dla rodziny zmarłej, oczywiście. No ale przede wszystkim dla nas, dla mieszkańców! Trzeba oczyścić dobre imię Wielmoży i zamku! Jeszcze turyści

przestaną przyjeżdżać i co wtedy będzie?!? – dramatycznie zawiesiła głos. – Ja to panu powiem, panie Jacusiu, że ta policja to jakaś taka niemrawa, choć ze Skały. A mnie aż nosi, że dziewczynę z miejscowości, gdzie tyle lat mieszkałam, ktoś wziął i zabił! Pan pamięta, że ja ze Skały jestem, tak? No widzi pan, i że oni jeszcze nie trafili na tego zbrodniarza, to się w głowie nie mieści! Trzeci tydzień mija! Niby mają jakieś podejrzenia, kogoś tam typują, ale przecież nikogo nie aresztowali. Ja to nawet na komendę do nich raz pojechałam, jakoś kilka dni temu, i nic mi nie powiedzieli. – Pani Karolina zatrzęsała się z oburzenia na wspomnienie nieudanej wizyty.

Rzeczywiście, trzy dni wcześniej postanowiła uzyskać informacje u źródła. W czasie pamiętnych odwiedzin młodszy aspirant Rafał Batory nie wzbudził zbyt jej zaufania – wiadomo, chuchro takie i do tego pocił się i czerwienił. Wdowa po aptekarzu miała nawet wrażenie, że wychodził od niej na trzęsących się nogach... Może faktycznie bał się Trufelki, ale to raczej nie przemawiało na jego korzyść. Z drugiej strony jadł, aż mu się uszy trzęsły – uśmiechnęła się na to wspomnienie. Na wszelki wypadek postanowiła trzymać rękę na pulsie i przepytąć samego prowadzącego śledztwo. Od sołtysa wiedziała, że to podkomisarz Adam Cegła, wtedy na zamku się nie przedstawił. A powinien, powinien... Zwłaszcza że, jak się okazało, z jego starszą siostrą, Marysią Cegłówną, chodziły do podstawówki i bardzo się swego czasu przyjaźniły. W takim wypadku nie powinno być problemów z zapoznaniem się z aktami śledztwa.

Pani Karolina, uzbrojona w słoik z bigosem (chili, wiśniówka i dużo suszonych śliwek), z wdziękiem łani o – powiedzmy – niewielkiej nadwadze, weszła na komendę. I srodze się zawiodła. Podkomisarz Cegła był w terenie (choć na pewno nie na zamku w Pieskowej Skale, bo przecież by zauważyła...), a młodszy

aspirant Rafał Batory na jej widok zaczął nerwowo mrugać.

– Dzień dobry, pani Karolino – powiedział drżącym głosem. – Jaka szkoda, że pani tak bez zapowiedzi, bo ja właśnie w pilnej sprawie muszę wyjść. Mamy zgłoszenie o włamaniu do sklepu w Cianowicach, więc sama pani rozumie...

– Och, panie Rafałku, ja tylko tak wpadłam, żeby sprawdzić, jak wam to śledztwo idzie. I co, są jakieś nowe ustalenia? Torebka znaleziona? Te kelnerki pan sprawdził, jak panu mówiłam? A narzeczony ofiary? Bo przecież najczęściej zabójcą jest ktoś z rodziny czy znajomych...

– Pani Karolinko. – Młodszy aspirant wspiął się na wyżyny profesjonalizmu. – Dobro śledztwa nie pozwala mi, no i naprawdę muszę pędzić, żeby nam śladów włamania nie zatarli. Pani kiedyś zadzwoni i może z samym podkomisarzem Cegłą porozmawia? – I po prostu wyszedł! Nie zdążyła nawet wyciągnąć słoika na zachętę!

Z wrażenia wdowa na chwilę skamieniała. A potem opuściła posterunek policji i na wszelki wypadek postanowiła przejechać się do pobliskich Cianowic... Nie ma tam znowu tak wiele sklepów.

Ale Rafałek ewidentnie nie nadawał się do pracy w policji! Musiał coś pokręcić z meldunkiem, bo w Cianowicach do żadnego sklepu nie było włamania. Ani nawet drobnej kradzieży! Przecież to niemożliwe, żeby chciał ją oszukać!

– Panie Jacusiu. – Wdowa otrząsnęła się ze wspomnień. – Przypomniało mi się, że mam słoiczek bigosiku. Już kiedyś taki panu dawałam. Wegański, z chili, jak pan lubi. Pan podejdzie wieczorkiem, to panu dam. A teraz idę dokończyć śniadanie. My tu sobie gadu-gadu, a robota czeka. – To mówiąc, odwróciła się na pięcie i z godnością ruszyła w stronę domu przez trawnik pełen krasnali.

Antykwariusz, przyzwyczajony i do takiej formy dialogu,

i do takich raptownych zakończeń, tylko skinął głową. Wiedział, że nie musi się żegnać – sąsiadka i tak go nie słuchała.

* * *

Wzmocniona śniadaniem i przyjemną pogawędką, uzbrojona w notesik i pióro pani Karolina usadowiła się do porannej kawy na ławeczce przed domem. Było to jej ulubione miejsce i – absolutnie przypadkowo – znakomity punkt obserwacyjny. Gdyby zatem cokolwiek się działo, mogła trzymać rękę na pulsie. Uspokojona tym faktem, zaczęła intensywnie zastanawiać się nad wyborem ewentualnego pomocnika. Bez wątpienia przyda jej się ktoś, z kim będzie mogła dzielić się spostrzeżeniami, ustalać fakty, sprawdzać alibi podejrzanych. Ale czy powinna zaufać mężczyźnie? Czy mężczyzna się do tego nada? Zaczęła notować.

Pierwszy kandydat, który automatycznie przyszedł jej do głowy, to emerytowany strażnik Edward Stachlak. W końcu to od niego wszystko się zaczęło. Ma sporą wiedzę o zamku, świetnie zna topografię miejsca zbrodni, ale... Pomimo najszerszych chęci wdowa jakoś nie mogła przekonać się do sąsiada, który wiecznie chodzi w gumiakach. Trzeba będzie przecież złożyć kilka niezapowiedzianych wizyt, przejść się do innych kolonii, ot tak, z Truflą na spacer... Nie, Stachlaka należy trzymać w odwodzie, ale na pomocnika słynnej w przyszłości pani detektyw to on się absolutnie nie nadaje!

Pan Jacuś mieszka obok, można z nim porozmawiać, choć, biedaczek, jakiś taki nieśmiały i małomówny. Ale wiecznie zajęty, no i ta żona... Nie dość, że chuda, to jeszcze bezczelna. Sąsiadki pani Karolina w ogóle nie brała pod uwagę. Ostatecznie skreśliła z listy i antykwariusza.

Przez chwilę zawahała się przy Rafale Batorym. Z jednej strony ewidentnie nie nadążał za jej dedukcją, jakiś taki nerwowo się

wydawał. I nie do końca ogarniał swoją pracę, pomylił Cianowice z... no właśnie, z czym? Z drugiej był policjantem i miał dostęp do wszystkich materiałów. Ale czy przy stróżu prawa ludzie będą chcieli mówić? No cóż... Jednak, co może okazać się ważne, mieszkał w Skale, skąd pochodziła ofiara i gdzie wciąż mieszka jej narzeczony. Zaraz, zaraz – w głowie wdowy zaświtała myśl – przecież matka tego całego Batorego jest sąsiadką pani Krysi, co to pracuje w mięsny na rynku w Skale... Trzeba odświeżyć tę znajomość i przez panią Batory wywrzeć wpływ na syna. Dzięki pomocy Morawieckiej młodszy aspirant będzie miał szansę wypłynąć na głębokie wody prawdziwego śledztwa i stać się policjantem pełną gębą. Może nawet awansuje? Zdecydowanie nie należy go skreślać! Pomimo przeważającej liczby minusów postawiła więc przy panu Rafale znak zapytania. Trzeba dać chłopakowi szansę!

Wszystko to jednak uświadomiło pani Karolinie smutną prawdę: nie ma nikogo, kto dorównałby jej intelektem.

By podnieść się na duchu, postanowiła nieco się posilić. A po skromnym posiłku planowała przegląd garderoby. Następnego dnia w Skale miał się wreszcie odbyć pogrzeb Ani Bednarz. Wiadomo, zejdzie się całe miasteczko, zjadą niemal wszyscy z Wielmoży. A że to morderstwo, to i prasa jakaś będzie – z Wolbromia, Krakowa, pewnie i ze stolicy? I może – serce wdowy po aptekarzu zabiło szybciej, a na twarzy pojawił się rumieniec – i może nawet pojawi się telewizja...

* * *

Dziennikarze niestety zawiedli. Za to już msza pogrzebowa spełniła wszystkie oczekiwania wdowy po aptekarzu. Było uroczyście i wzruszająco. Jasna trumna przybrana wieńcem z białych róż. Rozpaczający obok przystojny narzeczony

w świetnie skrojonym garniturze (nawet niewprawne oko rozpoznałoby, że tani nie był). Chór z samej Sułoszowej. Morze kwiatów. Aż trzech księży koncelebrujących mszę – proboszczowie ze Skały, z Sułoszowej i z Wielmoży – ale kazanie nie za długie, żeby nie zmęczyć pogrążonych w żałobie. Burmistrz, sołtys i wójt – niczym trzech tenorów – reprezentujący państwo polskie. Ubrany w mundur podkomisarz Adam Cegła (ciekawe, gdzie pan Rafałek? Dyżur ma?). I tłum żałobników, a wśród nich, co z przyjemnością zauważyła pani Karolina, nader liczna reprezentacja Wielmoży. Nawet Pietrasowie, choć mieszkali na końcu wsi, zjawili się całą rodziną. Jednym słowem – goście dopisali. A wśród nich niewątpliwie był morderca – co do tego pani Karolina nie miała żadnych wątpliwości.

Kiedy więc czarny orszak ruszył w stronę cmentarza, zajęła skromnie miejsce z tyłu. Bo to i wypada, kiedy w zasadzie nie zna się zmarłego, i wygodnie. Wiadomo, im dalej od trumny i rozpaczającej rodziny, tym lżejsza atmosfera i ciekawsze rozmowy. Starając się za wszelką cenę wyglądać jednocześnie i dostojnie, i na pogrążoną w głębokiej rozpacz, wdowa nadstawiała ucha i zachowywała czujność.

Ponieważ ze skalskiego kościoła na cmentarz jest stosunkowo daleko – trzeba przejść jakieś pięćset metrów – usłyszała dużo. I przepis na sałatkę z pieczoną cieciorą (ważne, zapamiętać!^[6]). I historię jakiejś kuzynki, którą okradli w Krakowie. I o synu, co to chce z dziewczyną zamieszkać, a nawet już mieszka (wdowa przyjrzała się uważnie, kto tak dziecko na bezbożnika wychował). O odszkodowaniu za zalane mieszkanie, co to go wypłacić nie chcą. I, oczywiście, jaka to straszna tragedia się stała.

Jednak nikt nie wydał się wdowie wystarczająco podejrzany. Nawet Mateusz Bień w swej rozpacz był absolutnie wiarygodny. Kelnerki trzymały się razem, zaczerwienione od płaczu (choć nie spuchnięte, zanotowała w pamięci

Morawiecka po gruntownej obserwacji). Skalski i Furgalski szli bladzi obok Edwarda Stachlaka, który co prawda nie był w stanie dopiąć garnituru, ale za to zamienił gumiakki na kościółkowe buty. Świeciły się teraz jak lustra i odbijały promienie wrześniejszego słońca. Pan Bartoszek, biedactwo, jakiś roztrzęsiony się wydawał, ale może dlatego, że nawet na samiutkim końcu grupy żałobników nie wypadało mu zapalić. No i wiadomo, że kiedyś polonistykę studiował, a taki to wrażliwy być musi.

* * *

Stojąc nad zasypanym już grobem Ani Bednarz (niech jej ziemia lekką będzie) i słuchając przemówień kolejnego z trzech tenorów, wdowa odczuwała wyraźny dyskomfort. Faktem jest, że reprezentanci władzy nie byli najlepszymi oratorami, ale mieli już wprawę w publicznych wystąpieniach i wiedzieli, że nie można za długo. Więc to nie to. Lakierowane trzewiki okazały się jednak i owszem, lekko przyciasne, ale to nie obtarte pięty były źródłem tego dziwnego niepokoju (jeszcze w domu zapobiegawczo obkleiła pięty plastrami). Więc co?

Ktoś obserwował ją już od dłuższej chwili. Dostrzegał ukradkowo rzucone spojrzenia. Wyczuwał zmianę tempa kroków, kiedy chciała lepiej usłyszeć czyjąś rozmowę. Ktoś ją śledził!

Wdowa po aptekarzu uważnie rozejrzała się wokół i poczuła utkwiony w sobie ciekawski wzrok. Oczu jednak nie zobaczyła, gdyż kryły się w mroku... kornetu.

Po chwili szczupła wysoka sylwetka zakonnicy znalazła się tuż obok pani Karoliny.

– Szczęść Boże, myślę, że powinniśmy porozmawiać. Może zaczeka pani na mnie przy wyjściu z cmentarza? Po uroczystości oczywiście.

– Szczęść Boże. – Wdowa nie dała po sobie poznać zaciekawienia. – Dobrze, proszę na mnie zaczekać – zezwoliła łaskawie. W końcu trzeba znać swoją wartość. Zakonnica, nie zakonnica, ona na młodszych czekać nie będzie!

To powiedziawszy, przechyliła głowę na bok, a ręce złożyła jak do modlitwy, na piersi. W ten sposób sylwetka wydawała się pogrążona w zadumie i modlitwie, a spoczywające na biuście stawy mogły odpocząć.

Karolina Morawiecka, cała na czarno, w błyszczących trzewikach i skromnej garsonce, była teraz ucieleśnieniem idealnego żałobnika. Jednak kiedy jej ciało zdawało się w całości pogrążone w zadumie nad tragiczną śmiercią młodej dziewczyny, nad brutalnie zerwanym szczęściem narzeczonych, nad złem, które czai się na świecie, w głowie toczyła się istna bitwa. (Niczym był przy tym pojedynek Achillesa z boskim Hektorem! Bładły przy niej nawet potyczki tylnej straży Karola Wielkiego z niewiernymi Saracenami!) Kim jest ta przypominająca bociana zakonnica? Czego może chcieć od Bogu ducha winnej wdowy? I przede wszystkim dlaczego ona znała Karolinę Morawiecką, a Karolina Morawiecka nie znała jej?!

* * *

Olśnienie przyszło nagle.

Działo się to już po przeprowadzce do Wielmoży, tuż po śmierci Stanisława (niech spoczywa w pokoju), i dlatego do pani Karoliny doszły tylko pogłoski. A że nie chodziło o ciężę małoletniej, skandal ze zdradą w tle czy inne zgorszenie, tylko o zakonnice przeniesioną z Krakowa do Skały, nie drażyła za bardzo, zajęta pogrążaniem się w żałobie.

Teraz ze wszystkich sił starała się sobie przypomnieć zasłyszane pięć lat wcześniej plotki. Od tego intelektualnego wysiłku

na twarz wyszedł jej rumieniec – ale to może i dobrze, na pogrzebie należy ujawnić jakieś emocje... Niestety na myśl przychodziły jej tylko strzępki informacji. Że to przeniesienie to nagroda była. Że od biskupa. Że siostra zakonna niezbyt chyba zadowolona... Teraz dopiero wdowa po aptekarzu zrozumiała, jak wielki zrobiła błąd, nie interesując się tą sprawą w odpowiednim momencie! Jak przeniesienie z Krakowa do Skały może być nagrodą?! Chyba tylko cudem... Nie, tu ukryta jest jakaś zagadka! Może nawet skandal... Rozmarzyła się na chwilę. Ale zaraz – przestraszyła się nagle i, kto wie, może nawet włosy stanęłyby jej dęba, gdyby nie ujarzmiła ich przed uroczystością potrójną dawką lakieru – czego od niej, ucieleśnienia cnót wszelakich, może chcieć ta osoba?

Na szczęście pogrzeb dobiegł właśnie końca i tłum żałobników, starając się zachować tempo odpowiednie do sytuacji, ruszył w stronę podstawionych przy drodze autokarów. Wiadomo, stypa. Proboszcz Januszek z Wielmoży co prawda poinformował zawczasu swoich wiernych, że skromna uroczystość zorganizowana będzie tylko dla krewnych i znajomych, mimo to wdowa nie traciła nadziei.

Tym razem jednak cudu nie było.

Starając się nie okazywać zazdrości, Karolina Morawiecka oderwała wzrok od ostatniego odjeżdżającego autokaru i ruszyła w stronę wyjścia. Przy bramie sterczała już koścista siostra zakonna.

– Szczęść Boże. – Wyciągnęła w kierunku wdowy chudą dłoń. – Na pewno zastanawia się pani, czemu chcę z panią rozmawiać.

– Szczęść Boże. – Pani Karolina na wszelki wypadek postanowiła zachować dystans.

– Jestem siostra Tomasza.

– Jakiego Tomasza? – zdziwiła się Morawiecka.

Zakonnica sapnęła. Wdowie przez chwilę wydawało się nawet,

że w tym dźwięku kryła się jakby... irytacja? Złość? Nie, to przecież niemożliwe...

Tymczasem siostra Tomasza walczyła ze sobą. Już od dwudziestu lat nosiła to imię i wciąż słyszała takie właśnie pytania. Nawet się zbytnio nie dziwiła zdziwieniu innych. Kto w ogóle wymyśla te imiona?! Jednak powołanie do Bożego dzieła zobowiązuje, więc z pokorą starała się znosić i tę niedogodność. A przynajmniej – zwalczać irytację. Wzięła oddech, zaapelowała do Pana o pomoc i siłę i z uśmiechem powiedziała:

– Siostra Tomasza, takie imię nadał mi biskup.

– Och, no tak – zreflektowała się wdowa. – Słyszałam o siostrze. Przeniesienie z Krakowa do Skały. W „nagrodę” – powiedziała z naciskiem i posłała badawcze spojrzenie kościstej rozmówczyni.

– Chwała Panu! – wykrzyknęła zakonnica. – Nie myliłam się co do pani! Pani jest tutejszą panną Marple!

– Panną Marpyl? Nie, to jakaś pomyłka. Nie jestem panną, tylko wdową – sprostowała z dumą. – Nazywam się Morawiecka. Karolina Morawiecka.

Kornet wciąż rzucał cień na twarz, która teraz rozciągnęła się w uśmiechu.

– Tak, oczywiście. Zapamiętam. Myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc.

– Nie jestem pewna, czy dobrze siostrę rozumiem... – Wdowa zaczęła odczuwać coraz większy niepokój. Zakonnica, jak to zakonnica, niby wyglądała niewinnie, ale jej szarozielone oczy niebezpiecznie błyszczały.

– Trzeba znaleźć zabójcę tej biednej dziewczyny. Policja pracuje w swoim tempie i, nie wątpię, robi, co może. Ale czy nie uważa pani, że możemy ją troszkę... wesprzeć? Z Bożą pomocą, oczywiście!

Teraz wdowa wyciągnęła rękę.

– Jesteśmy umówione. Spotkanie jutro po rannej mszy.

* * *

Siostra Tomasza stała przy cmentarnej bramie i spoglądała na oddalającą się okrągłą postać wdowy. Dojrzała, jak – już za budynkiem straży pożarnej – pani Karolina dołączyła do grupki ubranych na czarno mieszkańców Wielmoży. Jak wzięła pod rękę pana, który nawet z tej odległości przypominał cztery kule nałożone jedna na drugą. Jak mówiła coś do młodego mężczyzny nerwowo palącego papierosa. I jak z niechęcią skinęła głową w stronę szczupłej kobiety, trzymającej za rękę również szczupłego mężczyznę.

– Będziemy razem wyglądać jak Don Kichot i Sancho Pansa. – Uśmiechnęła się sama do siebie. – Ale cóż... Pięć lat na skalskiej plebanii to wciąż za mało, żebym z rozwikłaniem tej zagadki poradziła sobie całkiem sama, a Pieskowej Skały nie znam w ogóle. Pani Morawiecka wygląda mi na osobę, która wie wszystko o wszystkich. Bez takich informacji trudno mi będzie połapać się w gąszczu międzyludzkich zależności, a tego typu wiedza jest przy śledztwie niezbędna. Do tego mieszka w Wielmoży... Przyda mi się jej zmysł obserwacji i jej znajomości. W końcu każdy Sherlock potrzebuje swojego Watsona...

ROZDZIAŁ CZWARTY

PEŁEN RETROSPEKCJI, W KTÓRYM WDOWA I ZAKONNICA ROZPOCZYNAJĄ ŚLEDZTWO

Wczorajszy wieczór upłynął pani Karolinie szalenie pracowicie. Mocząc nogi w miednicy (plastry okazały się jednak niewystarczające), wykonała szereg telefonów. Obdzwoniła pół Wielmoży. Na pierwszy ogień poszła Ada Rażny. Później telefonowała do innych dawno niewidzianych sąsiadek ze Skały. Do nielubianej kuzynki z Krakowa. I do żony organisty, Agaty Gałkowej. Dzięki nim teraz, jadąc do Skały na spotkanie z siostrą Tomaszą, znała już historię zakonnicy w najmniejszych nawet szczegółach. I zyskała pewność, że razem uda im się złapać mordercę z Pieskowej Skały.

Może i jest chuda – rozmyślała – może i przypomina czapłę, ale ma żyłkę detektywa i dryg do rozwiązywania zagadek. A mnie potrzebny jest ktoś do pomocy. W końcu każdy Sherlock potrzebuje swojego Watsona...

Co do tego ostatniego pani Karolina nie miała wątpliwości. Może i nie czytała powieści sir Arthura Conan Doyle'a, ale po co miałyby, skoro i film był ciekawy, i serial?

* * *

Sześć lat wcześniej w jednym z krakowskich klasztorów

rozegrał się dramat. Nikt już nie pamięta, w jakim celu siostra przełożona Ryszarda posłała dwie zakonnice na strych. Te wróciły struchlałe, blade na twarzach i ledwo żywe z wrażenia.

Pośród pudeł i kufków, przechowywanych od stuleci przez kolejne pokolenia dziewcząt i kobiet powołanych do służby Panu, leżało ciało. A dokładniej – dwanaście ciał. Zwłoki różnej wielkości owinięte były w stare szmaty i worki. Oblepione pajęczynami, zakurzone. Widać klasztorne powietrze im służyło, bo mimo upływu lat – nikt bowiem nie przypuszczał, by były to świeże ciała – nie śmierdziały. Cud...

Kiedy siostra Ryszarda wysłuchiwała zawodzących zakonnic i z bezpiecznego dystansu obejrzała znalezisko, długo i gorliwie modliła się o dar łaski. Cóż bowiem należało zrobić w takiej sytuacji? Czy zgłoszenie sprawy na policję nie przyniesie zgorznienia? Zmarłym to życia nie wróci, a śledztwo niewątpliwie wywołać może skandal. Pojawią się plotki... Przypuszczenia... Wątpliwości... No i policjanci... w żeńskim klasztorze...

Na wszelki wypadek kazała więc siostra Ryszarda zamknąć drzwi na strych i zapomnieć o sprawie. Jedynie w codziennych modlitwach pojawiła się nowa tajemnicza intencja – za dusze dwunastu zmarłych.

Nie minęły jednak dwa tygodnie, kiedy jedna z zakonnic, siostra Tomaszka, postanowiła z bliska przyjrzeć się sprawie. Bez pozwolenia. A po przyjrzeniu się z bliska dwunastu ciałom oznajmiła siostrze przełożonej, że na strychu znajdują się figury apostołów. Drewniane. Najprawdopodobniej ukryte na strychu jeszcze przed wojną, żeby ich Niemcy nie zniszczyli.

Siostra Ryszarda odczuła prawdziwą ulgę. Skandal zażegnany! Opowiedziała dykteryjkę biskupowi podczas jakiegoś spotkania. Biskup zaś odczuł niepokój.

Co bowiem, prawda, skłoniło zakonnicę do złamania nakazu? Czy aby na pewno chęć niesienia sprawiedliwości? A może

jednak, prawda, grzech ciekawości? Wścibstwo i nieposłuszeństwo trzeba zaś wyplenić... Tylko jak tu, prawda, ukarać siostrę Tomaszę, skoro dzięki niej zagadka została wyjaśniona, a widmo skandalu oddalone? Skoro złamała zakaz w imię dobra całego zgromadzenia i spokoju siostry przełożonej? Trzeba by, prawda, ukarać i nagrodzić jednocześnie...

Ani pani Karolina, ani nikt z jej świetnie poinformowanych źródeł nie wiedział o rozmowie, która rozegrała się w zaciszu gabinetu księdza biskupa.

Już na odchodnym, zadowolona z okazanego jej zrozumienia, siostra Ryszarda postanowiła zrzucić kamień z serca.

– Siostra Tomaszka to nie jest zła zakonnica, proszę księdza biskupa, choć ma trudny charakter. Naprawdę nie jest zła! A to nieposłuszeństwo, ta ciekawość to może stąd, że siostra Tomaszka jest feministką...

O zgrozo!

Biskup zamarł na chwilę, po czym z rozmysłem orzekł:

– Oczywiście, w Kościele Bożym jest miejsce dla kobiet, oczywiście! I przyznajemy przecież, prawda, kobietom wiele praw... Na przykład prawo do szacunku. Albo prawo do realizowania, prawda, swojego powołania. Do bycia żoną i matką, prawda. Do realizowania swojego charyzmatu. A nawet, prawda, przyznajemy kobietom prawo do bycia samotnymi. Jeśli, prawda, nie kryje się za tym nic – tu odchrząknął znacząco – zdroźnego.

Zaległa cisza, niezbędna, aby mądrość tego przesłania w pełni zdążyła wybrzmieć. Po chwili biskup zmienił ton.

– Przecież Bóg stworzył Ewę po Adamie, jako doskonalsze dzieło, prawda. – W tak poważnej chwili próbował nawet zażartować na znak swojej otwartości i tolerancji. – No ale wszystko musi mieć swoje miejsce, prawda... Tak, muszą być jakieś granice, prawda... Trzeba roztropnie działać, aby nie

zniszczyć dzieła Bożego, prawda...

Tym sposobem w Skale pojawiła się nowa zakonnica, wysłana z Krakowa do pomocy pani Małgorzacie, gospodyni starego proboszcza.

* * *

Zaraz po zakończeniu mszy w ławce obok rozśpiewanej pani Karoliny zmaterializowała się siostra Tomasza. Nie było to dobre posunięcie. Wdowa po aptekarzu, święcie przekonana, że kto śpiewa w kościele, podwójnie się modli, śpiewała całą sobą. Przy takim pudle rezonansowym, jakim dysponowała, należało się spodziewać donośnych dźwięków. Jednak pani Morawiecka swój głos modulowała tak, aby brzmiał dostojnie i świątobliwie. W efekcie zawodziła cieniutko i drżąco. W zasadzie nie myliła tekstu. I (oddajmy jej sprawiedliwość) raz udało jej się trafić w dźwięk.

Po trzeciej zwrotce wdowa uznała, że oddała już Bogu, co boskie, i teraz wspólnie z zakonnicą mogą spokojnie oddać się zupełnie ziemskim sprawom.

– Szczęść Boże – przywitała się siostra Tomasza po wyjściu na kościelny dziedziniec.

Wdowa po aptekarzu była w wyjątkowo bojowym nastroju i nie chciała tracić czasu na kurtuazyjne rozmowy. Ujęła więc zakonnicę za szpiczasty łokieć i pociągnęła w stronę stojącego na parkingu białego tico.

– Szczęść Boże, siostrzo. Jedziemy do mnie. Tu nie ma gdzie swobodnie i bez świadków porozmawiać, a nam potrzebne jest miejsce, w którym możemy w spokoju ustalić fakty. Czas wziąć się do roboty! Bez obaw, odwiozę siostrę z powrotem. I nakarmię, bo coś siostrzyczka za chuda – dodała, spoglądając krytycznie na współniczkę.

Otworzyła drzwi samochodu.

– W czasie jazdy z kierowcą się nie rozmawia – uprzedziła.

Siostra Tomasza przyjęła tę instrukcję z pełnym zrozumieniem. Ledwie zjechały ze skalskiego rynku i ruszyły drogą 794 w kierunku na Wolbrom, była naprawdę wdzięczna za tę przymusową ciszę. Pani Karolina prowadziła bowiem bardzo dynamicznie. Może nawet – zwłaszcza na zakrętach – zbyt dynamicznie. Całe więc dziesięć minut jazdy ze Skały do Wielmoży zakonnica poświęciła na akty strzeliste i rozpaczliwe modlitwy do świętego Krzysztofa. Widać pomogły, bo dojechały całe. I zdrowe.

* * *

W czasie tego spotkania wdowa po aptekarzu dwa razy przekonała się, że trafnie wybrała swojego Watsona (nie miała wszak żadnych wątpliwości, że to ona wyłowiała z tłumy współniczkę, nie odwrotnie). Pierwszy sprawdzian siostra Tomasza pozytywnie przeszła już przy furtce.

Przy bramie, jak przystało na psa obronno-stróżującego, odpoczywała Trufla. Na widok tego bezkresnego cielską, pomarszczonego i – tradycyjnie już – obślinionego, twarz siostry rozanieliła się.

– Cóż to za piękny pies! – zawołała w zachwycie.

I, co do tego nawet podejrzliwa wdowa nie miała wątpliwości, był to autentyczny zachwyty.

Dotąd pani Karolina słyszała go tylko raz – w głosie Stanisława (niech spoczywa w pokoju). Wszyscy dobrze wychowani znajomi, wszyscy dobrze wychowani bliźsi i dalsi krewni, oczywiście próbowali ten zachwyty odgrywać. „Śliczna sunia” – mówili. „Jaki śliczny piesio” – dodawali. Byli nawet i tacy śmiałkowie, którzy udawali, że nie przeszkadza im zabójczy

oddech i zostawiająca ślady na ubraniu ślina. Jednak ani pośród znajomych, ani pośród krewnych państwa Morawieckich nie było uzdolnionych aktorów. Fałsz w ich głosach i na ich twarzach był aż nazbyt widoczny, choć – w dowód wdzięczności za podejmowane próby – niezauważany przez właścicieli Trufli.

I oto nagle na Podzamczu pojawiła się osoba, która dostrzegła w posapującej dożycy de Bordeaux coś, co dotąd widział jedynie świętej pamięci aptekarz. Na dowód szczerości (choć przecież nikt zakonnicy o – nawet kurtuazyjne – kłamstwo nie podejrzewał) siostra Tomasz dała nie tylko obwąchać (i lekko uślinić) swój habit, ale i polizać twarz. I kornet.

Suka była w siódmym niebie.

Siostra Tomasz dołączyła tam, gdy tylko weszły do kuchni.

Jeszcze przed wyruszeniem na poranną mszę pani Karolina poczyniła pewne przygotowania. Stół zastawiony do śniadania dźwigał więc koszyk z pieczywem (chleb pszenno-żytni na zakwasie i pszenna bagietka, wypiekane przez gospodynię oczywiście), domowe humusy (tradycyjny i z kolendrą), miseczki z kabanosami, salaterki z sałatą (kapary, zielone oliwki, oryginalna grecka feta, pomidory, roszponka i rukola, jeszcze z ogródka, a wszystko polane olejem lnianym i posypane uprażonymi ziarnami słonecznika i sezamu), domowe konfitury (ze śliwki i z rabarbaru), kozi ser (od sąsiada). W piekarniku, na wszelki wypadek przykryta kołderką z folii aluminiowej, grzała się frittata ze szpinakiem, papryką i ziemniakami.

– Chwała Panu na wysokościach! – wyszeptała, drżąc z emocji siostra Tomasz. – Chwała Panu!

A kiedy już skosztowała wszystkich, ale to wszystkich smakowitości, kiedy z wdzięcznością przyjęła kubek czarnej jak smoła kawy (gotowanej z ziarnami kardamonu i połówką laski cynamonu, słodzoną syropem z agawy), wyjawiała pełnym wzruszenia głosem:

– Wie pani, pani Karolino, proboszcz Walery ze Skały to anioł, nie człowiek. Ale uparł się uprawiać ascezę.

Słowo to, choć groźnie brzmiało, nie było znane pani Morawieckiej. Na szczęście jednak, nim zdążyła się zgorszyć (tak na wszelki wypadek, w końcu strzeżonego Pan Bóg strzeże), definicja ujawniła się sama. Siostra Tomasz, po krótkiej chwili ciszy, kontynuowała, choć głos wyraźnie zaczął jej się łamać.

– Je tylko makaron na mleku lub grzanki na śniadanie i kaszę z kiszonkami w południe. I tylko w niedzielę, dla uczczenia dnia Pańskiego, do kaszy jest jajko...

Wdowie z przerażenia ścięła się krew w żyłach i ścisnęło serce. Jak tak można... Tak nie doceniać Bożych darów. Spojrzała ze współczuciem na zakonnice, w geście solidarności chwyciła ją za rękę i uroczyście obiecała:

– Będę dla nas zawsze przygotowywać takie skromne co nieco. Tylko nie mam pewności, czy z ciastem zdążę, bo na pieczenie trzeba więcej czasu.

(I nie było to kłamstwo! Brak umiejętności, owszem, stanowił tu pewną przeszkodę, jednak niczym była ona w porównaniu do braku czasu. Wszak kiedy się nie ma czasu, nie można nawet podjąć stosownych prób...)

A w duchu pomyślała, że choć Tomasz jest chuda, można jej zaufać. Wszak to nie jej wina, że gospodyni na plebanii gotuje dla... ascety.

* * *

Kiedy opadły już emocje spowodowane wspólnym śniadaniem, siostra Tomasz przemówiła.

– Pani Karolino, obie uważamy, że na zamku w Pieskowej Skale miało miejsce morderstwo. To zabójstwo nieszczęsnej Anny Bednarz bardzo mną wstrząsnęło. Może dlatego, że przez ostatnie

pięć lat, odkąd decyzją księdza biskupa zamieszkałam w Skale, bardzo się zżyłam z tamtejszą społecznością. Ale głównie dlatego, jak sadzę, że to przejaw prawdziwego zła. Zgorszenia dla świata. A zło musi być ukarane i napiętnowane. Dlatego pomyślałam sobie, że z Bożą pomocą... – tu zamilkła, robiąc przerwę na krótki akt strzelisty – ...że z Bożą pomocą uda się nam złapać mordercę. Oczywiście od tego jest policja i nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że podkomisarz i jego ludzie są bardzo w sprawę zaangażowani. I kompetentni. Ale nie wątpię też, że Pan obdarzył mnie talentem, a ja nie mam zamiaru go teraz marnować. (*Ani nigdy* – dodała w duchu).

Wdowa jak zaczarowana patrzyła na zakonnice. Oto ktoś dorównuje jej nie tylko apetytem, ale i długością monologów! Co prawda królowa jest tylko jedna (bądźmy skromni, ale też znajmy swoją wartość – lubiła powtarzać Karolina Morawiecka), ale nawet królowa potrzebuje kogoś, kto ją zrozumie.

Siostra Tomasza powoli przechodziła do sedna.

– Czuję, że ja i pani możemy razem pomóc policji. Przeprowadzić własne, niezależne śledztwo, a ewentualne wnioski przekazać podkomisarzowi Cegle. Na pogrzebie tej biednej duszyczki obserwowałam panią uważnie. Widziałam pani czujność. I rozumiałam, że tak jak ja, pani także szukała mordercy pomiędzy żałobnikami. – Tu zakonnica posłała wdowie porozumiewawcze spojrzenie i zakończyła skromnie: – Z Bożą pomocą ja i pani znajdziemy go i oddamy w ręce sprawiedliwości.

– Och, szukałam współniczki i rzeczywiście przyszła mi siostra do głowy ze względu na pamiętną sprawę. – Wzbogacona o świeżo zdobytą wiedzę na temat siostry Tomaszy Karolina Morawiecka posłała gościowi znaczące spojrzenie i delikatnie skinęła głową na znak uznania. Delikatnie, gdyż przy tak wyraźnie zarysowanym drugim podbródku bardziej stanowcze

gesty były w zasadzie niemożliwe. – Odkąd przybyłam na miejsce zbrodni, niecałe czterdzieści minut po odkryciu ciała – tu dumnie wypięła bujną pierś, a golfik z anilany zwycięsko przeszedł kolejną próbę bojową – powzięłam postanowienie, że odnajdę tego zbrodniarza. Wciąż nie rozumiem, dlaczego ktoś postanowił uśmiercić Bednarzównę, choć najbardziej prawdopodobnym motywem wydaje mi się zazdrość...

– Ależ i ja o tym myślałam! Z tego, co wiem, obrażenia ofiary mogą wskazywać na wybuch wściekłości. Ktoś stracił cierpliwość i po prostu zepchnął ją z murku. Zazdrość wydaje się tu najbardziej pasować...

– Trzeba znaleźć odpowiedź na pytanie – wdowa ani na moment nie zamierzała grać drugich skrzypiec w tej orkiestrze – czemu Anna Bednarz przyszła w nocy na zamek...

– I z kim się miała zobaczyć. – W charakterze siostry Tomaszki nie leżało pozostawanie w tyle. – I w jakim celu.

– Raczej nie była to randka. Słyszałam od sąsiadów ze Skały, że ten jej narzeczony, Mateusz Bień, ma alibi na noc zabójstwa.

– Czy to pewne informacje? Na pewno możemy go wykluczyć?

– Skoro Ada Rażny mówi, że alibi jest sprawdzone, to znaczy, że tak jest. W tej kwestii możemy jej całkowicie zaufać. – W przeciwieństwie do kwestii przepisów na keks, w których wszystko jest „na oko” – dodała w duchu, z odrobiną żalu, wdowa po aptekarzu.

– Czyli przynajmniej jedną osobę możemy skreślić z listy podejrzanych.

– Nie daje mi spokoju sprawa torebki. Z tego, co wiem – „a wiem wszystko”, zdawała się mówić mina pani Karoliny – wciąż jej nie znaleziono. Nie było jej na miejscu zbrodni.

– Och, to rzeczywiście dziwne – zainteresowała się zakonnica. Do tej pory, z wiadomych powodów, nie przykładła wielkiej wagi do kwestii damskich akcesoriów. Jej habit miał spore

kieszenie.

– Zastanawia mnie też, jak udało jej się wejść na zamkowy dziedziniec niepostrzeżenie...

– Pewnie wtedy, kiedy strażnicy oglądali mecz. – Siostra Tomaszka doskonale orientowała się w świeckich przyjemnościach.

– Pewnie tak – zgodziła się wdowa. Czuła jednak, że coś ważnego jej umyka.

– Och, mam poczucie, że coś ważnego nam umyka – podzieliła się swoim niepokojem zakonnica. – Bóg da, to zrozumiemy co.

– Oczywiście – gorliwe przytaknęła pani Karolina, do której powoli zaczęło docierać, że w pojedynku na świętość ma marne szanse z osobą konsekrowaną... Trochę ją to wybiło z formy, na moment więc umilkła.

Siostra Tomaszka zbyt ceniła dzieła Boże, żeby nie wykorzystać takiej okazji.

– Myślę, że powinniśmy pójść tropem zazdrości – powiedziała. – Trzeba by może zacząć od sprawdzenia tych trzech kelnerek. Czy mają alibi?

Wdowa z przykrością uświadomiła sobie, że nie zapytała byłej sąsiadki, Ady Rażny, o kelnerki. A przecież nawet zwracała na nie uwagę panu Rafałkowi! Przecież mówiła, że trzeba im się przyjrzeć! Pracownicy Herbovej od samiuśkiego początku wydawały jej się podejrzanę... Wszystkie trzy! Na wszelki wypadek obiecała sobie, że czekolada będzie odtąd na stałe, a nie tylko od święta, obecna w jej menu. Wiadomo, magnez.

Siostra Tomaszka była zbyt uważną obserwatorką, by nie dostrzec zmian, jakie zaszły w pani Morawieckiej.

I tak całkiem niezłe sobie poradziła z rolą pomocnicy – pomyślała o gospodyni. – Jak na pierwszy raz okazała się całkiem... stymulująca. Po takim wysiłku intelektualnym pewnie jest wykończona. Trzeba się zbierać. Jeszcze tylko trzeba się dowiedzieć, co do tej pory udało się ustalić podkomisarzowi Cegle

i jego ludziom.

– I jeszcze tylko. – Pocieszona myślą o regularnych dawkach magnezu wdowa po aptekarzu odzyskiwała wigor. – Trzeba ustalić, co do tej pory odkryła policja. Zajmę się tym. Zadzwonię, gdzie trzeba, i postaram się zorganizować jakieś małe spotkanie. Może nawet z samym podkomisarzem, bo ten Rafałek Batory, wie siostra, ten młodszy aspirant, jakiś dziwny mi się wydaje. Jak przyszedł mnie przesłuchać w tamten piątek, kiedy zaleziono ciało, to tylko wzdychał i pocił się. I ani jednego pytania nie zadał... Choć muszę dodać na jego korzyść, że umie docenić... – przyzwyczajona do skromności pani Karolina doskonale wiedziała, jakiego powinna użyć słowa, dla większego efektu zdecydowała się jednak zrobić pauzę – ...że umie docenić skromny, przyzwoity posiłek.

– Och, proszę wobec tego rozważyć, czy pan Rafał nam się przyda, i jak już pani zadecyduje, tak będzie. A teraz, w imię Boże, ruszajmy do Skały, bo się tam proboszcz Walery już pewnie denerwuje. Jeszcze chwila, a południe będzie. I bardzo dziękuję za – mimo dobrych chęci nie umiała się powstrzymać – skromny poczęstunek...

* * *

Maria Kowalikowa z domu Cegła ze zrozumieniem wsłuchiwała się w to, co w nieodległej Wielmoży Karolina Morawiecka wykrzykiwała do słuchawki (wdowa po aptekarzu zawsze krzyczała do telefonu, żeby mieć absolutną pewność, że rozmówca ją usłyszy).

– Nie, kolacja będzie lepsza – rzuciła enigmatycznie. – Mniej oficjalna niż obiad. Oczywiście, że możesz na mnie liczyć. Z chęcią ci pomogę. Wreszcie przyszedł czas na spłatę długów – zaśmiała się. – Buziaczki, papapa – zakończyła rozmowę.

Doskonale pamiętała, jak pięćdziesiąt siedem lat wcześniej (kiedy ten czas minął?) Karolina pomogła jej...

Było to jakieś siedem lat po śmierci Stalina. W paczce z darami z Zachodu, która przyszła do rodziców od jakiejś dalekiej ciotki czy kuzynki, znalazła śliczne kapciuszki. Granatowy zamsz z żółtymi wstawkami. Na gumowej podeszwie. Pachnące nowością i innym światem. Niezwykle. I ona, głupia, wzięła te buciki do szkoły, na zmianę. Kiedy przyszła lekcja gimnastyki, zostawiła je w szatni, w granatowym worku z wyszytym babciną ręką napisem „Marysia”, głęboko ukryte pod stertą ubrań – musiała przecież ćwiczyć w tenisówkach. Ale po wuefie worek był pusty. Rozpaczy nie było końca. Nie było też zamszowych pantofelków. Zapadły się pod ziemię.

Karolinka, już wtedy pyzata i wścibska, obiecała solennie, że pomoże koleżance z ławki. I dotrzymała słowa.

Wiedziała, że złodziej nie ośmieli się założyć butów w szkole. Pantofelki nie nadawały się także do chodzenia po ulicy. Przywłaszczycielowi pozostawało więc tylko cieszenie się nimi w tajemnicy, w zaciszu bezpiecznych czterech ścian. W niedzielę, pod pretekstem odpisania zadania z matematyki, wsiadła na rower i objechała wszystkie domy kolegów i koleżanek z klasy. Wizyta w aż siedemnastu gospodarstwach, także w miejscowościach obok Skały, zajęła jej cały dzień. I przyniosła – oprócz obolałych stóp i pupy – efekt w postaci odnalezionych kapci.

Choć od tamtego czasu Karolinka stała się panią Karoliną, a chuda Marysia Cegłówna panią Marią Kowalikową, wdzięczność pozostawała niezmienna. Dlatego teraz wzięła telefon do ręki i z pamięci wykręciła numer brata.

– Adaś – rzuciła kategorycznie do słuchawki. – W niedzielę idziemy razem na kolację do Wielmoży. Bez dyskusji. Umówiłam nas na osiemnąstą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W KTÓRYM RAFAŁ BATORY PRZEŻYWA

KATUSZE, A TRUFLA WYCHODZI NA SPACER

W kościele w Skale pierwszopiątkową mszę odprawiał wikary. Był tu całkiem nowy, zaledwie od miesiąca. Nikt nie wiedział, jak to się stało, że podpadł organiście. Może ksiądz Szymon zwrócił mu nieopatrznie uwagę na mylenie tekstów? Albo na inne brzmienie oryginalnej linii melodycznej? A może po prostu w swej naiwności myślał, że to on ma być prawą ręką proboszcza Walerego, skoro został mu przez biskupa przydzielony do pomocy? Nikt, nawet siostra Tomasza, nie wiedział, co leżało u podłoża konfliktu. Konfliktu, który, wstyd powiedzieć!, nieustannie narastał. Chociaż wikary wielokrotnie próbował go zażegnać, chociaż przeproszał i prosił o wybaczenie, Zygmunt Murasek nie odpuszczał. *Może to i mało chrześcijańskie* – myślał. – *Ale na pewno wychowawcze.*

I oto wojna pomiędzy księdzem Szymonem a organistą trwała w najlepsze. Młody wikary już trzy razy próbował rozpocząć mszę, już nawet zaczynał „W imię Ojca...”, ale organista wciąż grał. Piątą już zwrotkę (w zapasie miał jeszcze dwie). Wierni śpiewali, wszak kto w kościele śpiewa, dwa razy się modli, choć byli i tacy, którzy niecierpliwie odwracali się w stronę chóru, gdzie znajdował się pan Murasek. Pierwszopiątkowa msza

powinna być krótka, bez kazania i bez śpiewów. Przecież niektórzy są jeszcze bez śniadania. Niektórzy do pracy się spieszą, a jak to tak wyjść przed zakończeniem, bez błogosławieństwa.

Ksiądz Szymon, który do tej pory stał w bezpiecznej odległości od mikrofonu i tylko poruszał ustami, bo dobrze wiedział, że Pan nie dał mu szczególnego głosu (o słuchu nie wspominając), wreszcie postanowił zacząć śpiewać wraz z zebranymi. Jednak wystarczyło, by zaintonował do mikrofonu szóstą już zwrotkę. Pan Zygmunt natychmiast przerwał grę i pozwolił, by nieudolny śpiew *a capella* zamarł po pierwszych słowach strofy. Msza wreszcie się rozpoczęła. *Jeden zero dla wikarego* – zdążyła pomyśleć siostra Tomasa (i natychmiast skarciła się za tę uwagę), po czym wraz z wiernymi pograżyła się w modlitwie.

Po mszy miała na chwilę spotkać się z wdową po aptekarzu, by podzielić się przemyśleniami. Ponieważ jednak dziś pani Karolina nie uczestniczyła w nabożeństwie („Nie mam nic na sumieniu, więc do spowiedzi iść nie muszę” – z godnością poinformowała zakonnicę jeszcze podczas wczorajszego spotkania w Wielmoży), umówiły się dopiero na dziewiątą. Siostra Tomasa miała zatem jeszcze dwadzieścia minut, zanim wspólnie wypiją herbatkę na plebanii. (Przytomnie ostrzegła wdowę, że proboszcz Walery pije tylko kawę zbożową, a dla gości ma jakąś, przedwojenną chyba jeszcze, neskę). W ciszy pustej już świątyni postanowiła poprosić Pana o pomoc dla siebie i pani Karoliny przy rozwiązywaniu zagadki. I o błogosławieństwo dla policjantów.

Modlitwy widać przyniosły efekt, bo kiedy stojąc przed kościołem wyglądała białego tico i jego właścicielki, wiedziała już, komu powinny się szczególnie przyjrzeć. Z Bożą pomocą oczywiście.

Gdy tylko usiadły przy kuchennym stole nakrytym porządną (choć wyblakłą) ceratą, pani Karolina wyciągnęła z przepastnej torby puszkę wykwintnej angielskiej herbaty. I małe zawiniątko. Nie była pewna, co pija ksiądz asceta, postanowiła być więc jak biblijna panna roztropna i zadbać o odpowiednią jakość naparu. Zwłaszcza że i ona miała go skosztować.

– To w prezencie dla księdza Walerego, księdza Szymona i siostry. Nie wypada przychodzić w gości z pustymi rękami. A że dzisiaj pierwszy piątek i siostra pewnie pości jak my wszyscy... – Tu świetnie już opracowanym gestem wdowa wzniosła oczy do nieba, ręce złożyła na sercu (ukrytym głęboko pod rozległym biustem), wydając jednocześnie z siebie westchnienie pełne pokory. – Mam dla siostry skromną kanapeczkę... To grillowana domowa ciabatta, posmarowana czosnkiem, z jednym plastrem pomidora. Bazylii już nie dawałam, z racji pierwszego piątku. Bo to jednak umiar zachować trzeba.

– Bóg zapłać – zdołała wykrztusić zakonnica. Przejęło ją wzruszenie, a aromat zaatakował nozdrza. Na znak pokory postanowiła nie jeść kanapki od razu, tylko poczekać jakieś pięć minut.

Wytrzymała.

A kiedy tak czekała, pani Karolina roztropnie skorzystała z sytuacji i zaczęła przemawiać.

– Wciąż nie daje mi spokoju myśl, że nie zwracamy uwagi na coś bardzo oczywistego. I ważnego. Nie wiem, czy siostrzyczka się ze mną zgodzi? (Nawet jeśli tak było, wdowa nie dała jej szansy na odpowiedź). Na pewno trzeba się przyjrzeć tym kelnereczkom. Wszystkie mieszkają w Wielmoży, jeszcze dzisiaj się do nich przejdę i zobaczę co i jak. Pewnie nie o wszystkich, to

jest – nie ze wszystkimi dzisiaj porozmawiam, bo przecież Wielmoża to duża wieś (do byle dziury bym się nie przeniosła!) i z jednej kolonii do drugiej bywa daleko. No ale biorę to na siebie. Na niedzielę na osiemnastą zaprosiłam podkomisarza Cegłę. Przyjdzie na pewno, choć nie wiem, ile mi się uda z niego wyciągnąć. Dlatego bardzo proszę, żeby siostra też przyszła – nie ma to jak autorytet kościelny. Poza tym wiadomo, że co dwie głowy, to nie jedna^[7]. Muszę też wyznać – tu nachyliła się do rozmówczyni i zniżyła głos, bo o takich sprawach na plebanii mówić po prostu nie wypada, a już na pewno nie głośno – że inaczej to mi trochę wstyd. W końcu ja wdowa.. I chociaż starsza jestem od niego nieco, to jednak nie wyglądam. – Pani Karolina uśmiechnęła się skromnie, tym razem wzrok kierując na ceratę, ale nie osiągnęła zamierzonego efektu, bo odruchowo poprawiła usztywnione lakierem mahoniowe loki. – Nie chcę, żeby mnie ludzie na języki wzięli. Wie siostra, na jakim świecie żyjemy, prawda? Nic się przed ludźmi nie ukryje – westchnęła ciężko. – Choć w sumie to może i dobrze... Oczywiście pan podkomisarz nie przyjdzie sam. Nie narażałabym siostrzyczki na złe języki! Absolutnie! Przyjdzie z siostrą, Marysią Kowalikową, co to z nią jeszcze do podstawówki chodziłam, a ona z mężem będzie. – Tym razem westchnienie sugerowało, że los nie dla wszystkich bywa równie sprawiedliwy, niezbadane są wyroki Boskie i ona, na ten przykład, musi sama dźwigać krzyż wdowieństwa. Ale się nie skarży. O nie...

– Bardzo chętnie dołączę. – Posilona postną kanapką zakonnica zgrabnie wykorzystwała moment refleksji pani Karoliny. – Dziękuję. Ja też miałam takie poczucie, że coś nam umyka. I nawet dzisiaj w kościele, po mszy zaraz mnie tknęło, że nic nie wiemy o tych strażnikach. A przecież mieli sposobność. Policja ich pewnie sprawdziła, ale...

– Ale możemy jeszcze, tak na wszelki wypadek, im się

przyjrzeć. – Wdowa po aptekarzu nawet w pierwszy piątek nie chciała za długo pozostawać w cieniu. Poza tym też nie rozumiała, jak mogła jej umknąć taka oczywistość! – Pan Marianek Furgalski to mi się wydaje absolutnie poza podejrzeniami. Po co starszy człowiek, kilka lat przed emeryturą, miałby kogoś zabijać? I to jeszcze w miejscu pracy... Ale ma siostra rację, jeśli miał motyw, na pewno znalazłby sposobność. Pan Bartoszek, co to ją pierwszy rozpoznał, też jest raczej poza podejrzeniami. Tak wzdychał, taki był roztrzęsiony i błądy... A poza tym to romantyk, polonistykę ponoć kiedyś w Krakowie studiował. I to na ujocie! Jak taki miałby zabić? Chociaż rzeczywiście, to co najmniej dziwne, że Ania Bednarz znalazła się w nocy na zamkowym podworcu, a żaden ze strażników jej nie zauważył... Pić nie pili. – Postanowiła ubiec zakonnicę, która już otwierała usta, żeby coś od siebie dodać. – To by się przed ludźmi nie ukryło. Wiem z całą pewnością, że policja wzięła ich na komisariat na zeznania i badania z krwi im robiła. Co najwyżej spali...

– Zaraz po meczu? – zdziwiła się siostra Tomasza. Na plebanii, oczywiście, telewizji nikt nie oglądał, ale ona miała braci. I dobrą pamięć.

– ...ale po meczu to raczej niemożliwe. – W tym samym czasie wdowa dokończyła swą myśl. Zbyt dobrze pamiętała emocje Stanisława, który przed ekranem telewizora najpierw komentował każdy ruch piłkarzy, każdą decyzję sędziego, a potem długo po zakończonym meczu mówił, co należało zmienić w prowadzeniu drużyny i jak on by zagrał. – Nie, nawet, jeśli wrócili każdy na swoje stanowisko, raczej za szybko nie zasnęli. Pomarzyć każdy lubi.

– Zatem trzeba się dokładnie przyjrzeć kelnerkom i strażnikom.
– Siostra Tomasza w myśli układała plan na najbliższe dni.

– Widzimy się w niedzielę u mnie. O osiemnastej. – Karolina

Morawiecka z godnością cesarzowej podniosła się z kuchennego taboretu. – Do kościoła pójde do mnie, do Wielmoży, bo jeszcze proboszcz Januszek zacznie się denerwować, że coś mi się stało. – Ani przez moment nie wątpiła, że jej nieobecność na mszy może go zaniepokoić (o zaniepokojeniu sąsiadów wolała taktownie nie wspominać). – Przyjechać po siostrę nie mogę, bo kolacja sama się nie zrobi, ale bussem można podjechać. Albo i okazją nawet.

– Oczywiście, poradzę sobie. – Siostra Tomasza nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. – Może wikary pożycz mi swoje auto. W ostateczności ksiądz Walery ma rower...

O tym, że być może poprosi o podwiezienie podkomisarza Cegłę, nie wspomniała. Intuicyjnie czuła, że wdowa po aptekarzu może nie być z tego faktu zbyt zadowolona. A przepuścić taką okazję do rozmowy z policjantem to przecież byłby grzech!

– Rowerem może być trudno, ale jak już siostra uważa... – Pani Karolina była już myślami w masarni. Menu na niedzielną kolację zaczęło się powoli klarować.

* * *

Młodszy aspirant Rafał Batory kilka lat wcześniej odziedziczył dom po dziadkach. W zasadzie było to całe gospodarstwo, prawie hektar ziemi w Woli Kalinowskiej, ale ze względu na bliskość Ojcowa szybko udało się je sprzedać amatorom życia na wsi. W ten sposób młody policjant mógł wyremontować chałupę i wyprowadzić się od rodziców. I wieść przyjemne kawalerskie życie.

Ponieważ pracował w Skale, niemal codziennie zdarzało mu się wpaść po pracy do rodzinnego domu na obiad lub ciepłą kolację. Zwłaszcza że ów stał jakieś sto metrów od komendy. Jeśli Batory zaczynał dyżur później, starał się rano wypić z mamą kawkę (i niezobowiązująco przegryźć kanapkę). A już stałe miejsce

w jego grafiku stanowiły weekendowe wizyty u rodziców, kiedy dostawał słoiki z jedzeniem na cały tydzień. Do tej pory taki układ wydawał się idealny. Rodzice nie wtrącali się w sprawę jedynaka, bo nie mieli jak. W czasie posiłków awantur robić przecież nie wypada. Zresztą wiadomo, że do awantury potrzebny jest pretekst, zaś zmęczony ciężką pracą (lub jej perspektywą) syn najczęściej nie odpowiadał na żadne pytania. A już zwłaszcza na pytania natury osobistej, które oboje jego rodzice mieli wypisane na twarzy i które zadawali na głos, gdy tylko synek wychodził. Pytania te dotyczyły możliwego terminu zmiany stanu cywilnego i istnienia ewentualnej kandydatki, która pomogłaby ten stan zmienić. Anna Batory wiedzona niepokojem o syna dała już nawet trzy razy na mszę w skalskim kościele, ale bojąc się reakcji Rafałka (i sąsiadów), pozostała przy zdawkowym określeniu „w pewnej intencji” – i teraz dodatkowo męczyła ją niepewność, czy dobry Bóg będzie pamiętał, o co dokładnie prosiła.

– Już mu dwudziesty ósmy rok idzie, a żadnej panny do domu nie przyprowadza – martwiła się.

– Co to za chłop, co dziewczyny żadnej jeszcze se nie znalazł – denerwował się ojciec Stefan Batory.

Niepokoje rodziców dodatkowo potęgowała świadomość, że niewątpliwie to samo pytanie zadają sobie krewni. I sąsiedzi.

Pani Krysia, najbliższa sąsiadka Batorych, pracująca w mięsny na samym rynku, nie tylko wiedziała o rozterkach pani Anny i pana Stefana, ale lubiła się też nimi podzielić z innymi. Oczywiście w absolutnej tajemnicy. Tylko ze stałymi klientami. I tylko z tymi, którym ufała. Albo po prostu z tymi, którzy właśnie zjawili się w masarni.

Kiedy więc wdowa po aptekarzu pojawiła się w sklepiku tylko na chwileczkę, zobaczyć, czy dowieźli lisiecką i po te małe kabanosiki, takie podsuszane, pyszne, temat pana Rafałka sam

wypłynął.

– Mój ty Boże, że też wciąż nie złapali tego mordercy – westchnęła pani Karolina i na znak szukania pomocników w niebiosach spojrzała w sufit.

Zobaczyła żarówkę smętnie dyndającą na sznurku i kilka much, które krążyły wokół niej, w bezpiecznej odległości od emitującej fioletowe światło lampy UV. Przeniosła wzrok z powrotem na sprzedawczynię.

– Choć, oczywiście, policja dwoi się i troi – kontynuowała. – Ten cały podkomisarz Cegła...

– Rozwiedziony – powiedziała ze zgrozą pani Krysia. – Jedna córka. W Krakowie mieszka. Studiuje.

– Patrz pani, nie wiedziałam. Myślałam, że to kawaler. A przecież z jego siostrą do klasy chodziłam. – Zdumienie pani Karoliny było autentyczne. Dotąd była przekonana, że co jak co, ale rozwód w Skale nie umknąłby jej.

– Co też pani mówi? – Dla odmiany zdziwiła się ekspedientka. – My tu przecież wszyscy się znamy. Ja na przykład to sąsiadką jestem tych całych Batorych, co to ich syn pomaga przy śledztwie...

– Muszę pani powiedzieć, ale w sekrecie i tylko między nami – dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów Karolina Morawiecka rozglądnęła się po pustym sklepie i zniżyła głos do szeptu – że go poznałam, tego pana Rafałka. Bo wie pani, to morderstwo obok mnie było, bo ja na Podzamczu w Wielmoży teraz mieszkam, a tę biedną dziewczynę zaleziono na zamku w Pieskowej. I ja tam jeszcze przed policją byłam, bo mnie – udział pana Stachlaka postanowiła dyplomatycznie ominąć – poprosili o pomoc w utrzymaniu porządku. – Biust wdowy jakby się wyprężył i wysunął na ladę. – I ten Rafałek Batory mnie przepytował, to znaczy zeznania spisywał, także moje. No i wie pani, pani Krysiu, że on mi się dziwny wydawał. Taki

zabiedzony, w dziurawych skarpetkach...

– Że zabiedzony, to nie powiem, to pewnie ze stresu, bo już ta jego matka to ciągle go podkarmia. Inna sprawa, że chłop wysoki, to i jeść pewnie musi jak smok, a sam se przecież nie ugotuje. Sam gospodaruje, we Woli Kalinowskiej chałupę po dziadkach wyremontował. I wie pani, pani Karolinko, on ma dwadzieścia osiem lat prawie, a z żadną tak na poważnie nie był...

– Co też pani mówi? Przecież ani brzydki, ani głupi. Czyżby...? – Wdowa posłała badawcze spojrzenie w stronę rozmówczyni i odpowiednio zawiesiła głos, ale ta tylko pokręciła głową.

– Nie, nie, to porządny chłopak – uspokoiła sprzedawczyni. – Tylko w miłości szczęścia nie ma.

I tu obie, wzdychając, pokiwały głowami. Pani Krysia, bo też nie miała szczęścia w miłości i nigdy za męża nie wyszła. Pani Karolina – bo wdowie w takich chwilach wypada wspomnieć dobre chwile z małżonkiem. Albo przynajmniej westchnąć.

Kiedy uzbrojona w spory kawał lisieckiej (kabanosy z samiuńskiego ranka wyszły, będą dopiero w przyszłym tygodniu) Karolina Morawiecka wsiadała do swojego tico, w głowie miała istny mętlik. Liczyła, nie ma co ukrywać, że zakupy w mięsny przyniosą odpowiedź na ważne pytanie: czy prosić o pomoc młodszego aspiranta? Czy zaprosić go na niedzielną kolację? Teraz jednak znowu nie wiedziała, czy pan Rafałek będzie odpowiednim kandydatem. A przecież dobrze byłoby mieć po swojej stronie obu funkcjonariuszy. Nie uchodzi dzwonić z każdą wątpliwością do podkomisarza. I do tego rozwodnika... Choć skoro rozwodnik, to wiadomo, sam gospodarzy. Może nie dojada. Trzeba to wykorzystać.

W niedzielę się okaże, co to za człowiek. Jeśli mimo zaangażowania siostry nie będzie chciał współpracować, wówczas trzeba będzie zająć się konkretniej młodym Batorym –

postanowiła wdowa, dynamicznie pokonując zakręt.

* * *

Posilona obiadem i pokrzepiona przyjemną drzemką, Karolina Morawiecka czuła się na siłach rozpocząć śledztwo. Zgodnie z ustaleniami postanowiła przejść się na Długą Kolonię i dowiedzieć czegoś na temat jednej z kelnerek. Na pierwszy ogień wybrała Patrycję Rosiak. To ta, która w pamiętny piątek ósmego września wydawała się jej najbardziej podejrzana. Ta najzgrabniejsza i najbardziej opanowana. Blondynka. Od pana Stachlaka wdowa po aptekarzu wyciągnęła już (choć, nie oszukujmy się, w ogóle nie musiała ciągnąć go za język) najważniejsze informacje – znała więc jej imię, nazwisko i adres. Wiedziała, że dziewczyna uczy się na kosmetyczkę i w Herbovej zarabia na opłatę kursu. Pozostałe kelnerki to Alina Stachowiak z Krótkiej, panna. Co do wieku pan Marian pewności nie miał, ale że liczyła nie więcej niż dwadzieścia parę, to pewne. I jeszcze Zuzanna Soha z Granicznej, matka, dwoje dzieci. Do klasy chodziła z trzecią córką Stachlaka, więc miała dwadzieścia pięć. Za mąż wyszła za kolegę z klasy, tyle że o rok starszego, bo klasę powtarzał. (Ta informacja akurat nie była zbyt przydatna, ale jakoś utkwiała emerytowanemu strażnikowi w głowie).

Teraz, niczym marszałek opracowujący strategię przed bitwą, pani Karolina zastanawiała się nad wymówką, dzięki której uda się jej dotrzeć do domu Rosiaków bez wzbudzania niczyich podejrzeń. Spacer z Truflą wydawał się najlepszym rozwiązaniem, jednak dość istotny problem stanowiła odległość. Z Podzamcza do Długiej było ze dwa kilometry! Ona spokojnie da radę pokonać w sumie czterokilometrową trasę (wdowa była wszak optymistką), no ale Trufla padnie już w połowie...

Zbawienna okazała się tabliczka czekolady^[8] (ach, ten magnez!).

I samochód.

* * *

Wdowa zapakowała sukę na tył swojego tico i ruszyła z piskiem opon w stronę Długiej. Na ulicę jednak nie wjechała. Przewrotnie zatrzymała samochód kilkadziesiąt metrów wcześniej, za pustostanem będącym w odległej przeszłości sklepem geesu, i nie wzbudzając niczyich podejrzeń, ruszyła z Truflą na krótki spacer.

Po niecałych pięciu minutach chciała oddać psa. Komukolwiek. Była skłonna nawet dopłacić. Niestety, nie spotkała nikogo.

Trufla bowiem po przejściu niespełna metra przysiadła na chodniku i za nic na świecie nie chciała iść dalej. Prośby, groźby, ba! nawet szarpanie smyczą – wszystko na nic. Im bardziej pani Karolina chciała wymusić na niej jakiś ruch, tym bardziej Trufla zamierała w bezruchu. Gdyby nie fakt, że dyszała i śliniła się nadspodziewanie mocno, można by ją uznać za pomnik wiernie czekającego psa.

Z daleka, o zgrozo!, mogły się wydawać podobne: wyrastające z chodnika dwie uślinione, dyszące i sapiące góry tłuszczu i mięśni. Z tym że jedna miała pięknie lśniące futro, a druga bardzo, ale to już bardzo czerwoną twarz.

Wdowa po aptekarzu, bliska apopleksji, pochylała się właśnie nad upartą suką, kiedy usłyszała za plecami jakiś hałas. Podniosła się i zobaczyła... rower, a na nim pannę Patrycję we własnej osobie!

– Dzień dobry, to pani. – Rozpoznała ją Rosiakówna. – Ależ ma pani dużego psa.

– Dzień dobry – wysapała Karolina Morawiecka. Tym razem na więcej nie miała siły.

Dziewczyna szybko zorientowała się, że kobieta jest u progu

wytrzymałości. Wiadomo, wiek już zaawansowany, a o coś takiego jak kondycja fizyczna nawet największy optymista nie mógł podejrzewać pani Karoliny.

– Widzę, że piesek bardzo się zmęczył – rzekła dyplomatycznie blondynka. – Może trochę wody by się przydało? Mieszkam tu zaraz obok, z rodzicami, może pani podejdzie? Rodziców teraz w domu nie ma, ale do picia na pewno coś się znajdzie.

– Och, dziękuję, bardzo jesteś miła. – Wdowa złapała już pierwszy oddech i była w stanie wymówić całe zdanie. – Rzeczywiście, Trufelka chce pić, zmęczyła się spacerkiem, a ja o wodzie dla niej zapomniałam. Chętnie skorzystamy. Weterynarz kazał jej dużo chodzić, bo tyje – zakończyła, patrząc mściwie upartej suce prosto w oczy.

– Ach, no tak. – Patrycja Rosiak krytycznie przyjrzała się właścicielce psa, ale była zbyt dobrze wychowaną panną, żeby to jakoś skomentować. Oczywiście na głos. W duszy bowiem uznała, że to raczej pani powinna dużo chodzić. Albo biegać. I to na siłownię.

W obecności osób trzecich Trufła postanowiła zakończyć przedstawienie. Poderwała się na nogi i grzeczniutko ruszyła u boku swojej pańci w stronę domu Rosiaków – wielkiego dwupoziomowego klocka pomalowanego starannie na jaskrawoniebieski kolor.

Do środka jednak nie weszły. Z boku, zaraz na lewo od furtki pyszniła się altana. Najwyraźniej nowa, bo wciąż z dołu do góry zabezpieczona folią, żeby się nie zniszczyła.

– Już dwa lata ją mamy – wyjaśniła z dumą Rosiakówna. – A całkiem jak nowa. Tylko latem przez ten plastik trochę w niej za ciepło, ale na taki październikowy dzień jak dziś nadaje się idealnie.

Usadzona w cieniu, posilona szklanką kompotu (gość w dom, Bóg w dom), wdowa po aptekarzu patrzyła na pijącą z miednicy

Trufkę i zagaiła:

– To straszne, co się przydarzyło Ani Bednarz. Na pewno dobrze ją znałaś. Wyobrażam sobie, że to musi być bardzo trudne...

– Ee, no tak. Oczywiście, to wielka strata – wybąkała banalną formułkę dziewczyna.

– Wiesz, Patrysiu, proszę się nie obrazić, że tak po imieniu ci mówię, ale choć trudno w to uwierzyć, mogłabyś być moją wnuczką. Więc przyznam ci się w sekrecie, bo widzę, że można ci zaufać, że ja to się zastanawiam, czy ona na pewno była taka uczciwa, jak się o niej mówi. Ja tam plotek nie słucham i o zmarłych złego słowa nie powiem, ale... Ktoś musiał mieć do niej jakiś żal, skoro tak zginęła. Jak myślisz?

– Skoro tak pani uważa... – Kelnerka wciąż zachowywała dystans i czujność.

– Uważam! To śliczna dziewczyna była. I nie mam wątpliwości, że niejedna mogła mieć do niej o coś żal. No i ten jej narzeczony to chyba najlepsza partia w Skale, nie licząc syna notariusza. Oczywiście ty – tu wdowa nachyliła się nieco i uśmiechnęła z pobłażliwością – nie miałaś powodów, żeby mieć z Bednarzówną jakieś konflikty. Za ładna jesteś. A jeśli ktoś lubi blondynki – tu pani Karolina spojrzała znacząco na spalone blondem i prostownicą włosy dziewczyny – to przy tobie Ania nie miała szans...

– Och. – Komplement oczywiście działał cuda. – Gdzie mi tam było do niej. I ja o zmarłych złego słowa nie powiem... Policji też nic złego na nią nie powiedziałam, jak mnie pytali. Ale powiem pani w sekrecie, że ta Ania Bednarz to straszna flirciara była. Udawała tylko taką mniszkę, przy tym swoim Mateuszku taką skromnisię zgrywała. Jak tylko jakiś klient do nas zagadał, bo wie pani, dużo chłopaków chodzi do Herbovej na piwo, to i zagadają czasem, chcą się umówić, czy coś... – W tym momencie pani

Morawiecka ze zrozumieniem pokiwała głową na znak, że to przecież całkiem normalne, że chłopak chce czasem zagadać do ładnej dziewczyny. – Ona zawsze tak się uśmiechała, tak kręciła tyłkiem, że to ją w końcu prosili o spotkanie! A ona wtedy głośno odmawiała i pokazywała pierścioneł. Że niby zaręczona jest. I wiadomo, że żadna się już z takim nie umówiła, bo żadna nie chciała być tą drugą – mówiła z goryczą kelnerka.

Pani Karolina przyjrzała się jej uważnie.

– Rozumiem, drogie dziecko. Ale powiedz mi jeszcze, bo to może być ważne, czy ona tego Bienia kochała? Czy była mu wierna?

Patrycja Rosiak uśmiechnęła się złośliwie. Tamy puściły.

– Na moje oko to ona kochała, ale jego pieniądze! Te wszystkie prezenty! Jaką on jej torebkę kupił! I to nie w Skale, tylko w samym Krakowie! I to chyba jeszcze – na twarzy dziewczyny pojawiło się autentyczne uwielbienie – w Galerii Krakowskiej! Anka ciągle ją nosiła i nawet dotknąć nie pozwalała. – Żal przybierał na sile. – Że niby prawdziwą skórę od takiego dotykania można wytrzeć...

– Och – rzuciła wdowa niby od niechcenia, choć głos jej lekko drżał z ekscytacji. – A wiadomo, co z tą torebką? Znalazła się?

– Nie. Policja nawet sprawdzała, czy jej nie ukradłyśmy! Domy nam przeszukiwali, wszystkim trzem!

Co tam górskie potoki! Co tam siklawy! Nawet wody wodospadu Niagara mniejszą muszą mieć siłę niż złość narastająca od dawna w Patrycji Rosiak. Pękła ostatnia tama. Żale się wylały. Przy emocjach kelnerki bladła zazdrość Otella! Niczym był przy nich gniew Achilla, tak ponoć obfity w szkody! Porzucona Telimena mniejszą odczuwała gorycz, gdy odkryła zdradę Tadeusza! Nawet Jurand ze Spychowa i Zbyszko z Bogdańca nie czuli tego do synów zakonu krzyżackiego, co blondwłosa kelnerka do zmarłej Anny Bednarz!

– Pewnie Anka tę torebkę w domu zostawiła i jej ojciec ją komuś opchnął i przepił! – Patrycja nie miała już żadnych oporów. – U nich w domu to straszna bida, a stary Bednarz tylko pije. Dla takiej dziewczyny Mateuszek z jego pieniędzmi to prawdziwy skarb. I te pieniądze to ona kochała... Nawet kiedyś z dziewczynami z Herbovej, no wie pani, z Aliną Stachowiak i z Zuzą Sołą, podejrzewałyśmy ją o jakiś romans. Ale nie, Anka była wyrachowana, ale nie głupia. Za nic nie zaryzykowałyby, że Mateusz z nią zerwie. Bo przecież to straszny wstyd! I to nie tylko na całą Skałę, ale i na Wielmożę, i Pieskową Skałę. Wie pani, gdyby był jakiś skandal, to przecież na całą okolicę! Nikt nie jest aż taki głupi...

– Pewnie masz rację. – Wdowa po aptekarzu w zamyśleniu pokiwała głową. – Nikt nie lubi skandali.

Chwilę pomilczały, rozmyślając o tym, jak ten świat jest skonstruowany.

– Pójdę już. Dziękuję ci, dziecko, za wodę i kompocik. Pyszny był. A gdybyś miała kiedyś ochotę porozmawiać, to ja na Podzamczu mieszkam w tym białym domku, niedaleko Herianówki. Z takimi ładnymi zwierzątkami w ogródku. Zaraz obok krakusów – rzuciła na pożegnanie Karolina Morawiecka i z godnością dźwignęła się z ławki.

Trufla, ucieleśnienie idealnego psa, posłusznie ruszyła za panią.

* * *

– Szczęść Boże, siostró Tomaszó – zdyszana pani Karolina rzuciła do słuchawki. – Mamy motyw!

– Chwała Panu na wysokościach! Czyżby... zazdrość?

– Zazdrość – potwierdziła wdowa po aptekarzu. W ostatniej chwili udało jej się zapanować nad swoim głosem, więc zakonnica nie usłyszała zdziwienia. – Rozmawiałam właśnie

z jedną z kelnerek, z Patrycją Rosiak, i według niej Ania Bednarz wcale nie była taka święta, za jaką uchodziła...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W KTÓRYM CZYTELNIK JEST ŚWIADKIEM
ZAKUPÓW NA SKALSKIM TARGU,
A WDOVA PO APTEKARZU ZDOBYWA
NOWE INFORMACJE

Podkrakowska Skała, niestety, nie słynie z wyjątkowej urody. Prawdę powiedziawszy, na pierwszy rzut oka nie wydaje się ani zbyt urokliwym, ani szczególnie przyjaznym miasteczkiem. Eklektyczna zabudowa o mocno poszarzałych elewacjach utrzymanych w kolorach brudnoszarych i brudnobeżowych, wąskie chodniki wiecznie pozajmowane przez samochody, niepokojąca swym poziomem artystycznym rzeźba na rynku, widmo smogu w okresie grzewczym – to wszystko w oczach turystów nie stanowi mocnych atutów tej uroczej skądinąd miejscowości.

Jednak od późnej wiosny do wczesnej jesieni dwa razy w tygodniu Skała na kilka godzin przeobraża się w toskańską miścinę tętniącą życiem i kolorami. W soboty i w środy skąpane w słońcu elewacje budynków przestają na chwilę być brudne, a pokrywający je kurz na moment okazuje się szlachetną patyną wieków. Ludzie przystają, żeby porozmawiać, uśmiechają się, pokrzykują. Oglądają kołyszące się na wieszakach ubrania, bogato zdobione meble stojące na płycie placu Konstytucji 3

Maja obok szczotek, gumiaków i bielizny z bambusa. Staniki z koronkowymi wstawkami, usztywnione gąbką, w rozmiarach 75B i 80D przypominają z daleka naczynia połączone w jakimś bliżej nieokreślonym celu. Bo i po co łączyć ze sobą miednice? Korpusy kur jeszcze rano biegających po podwórkach teraz dramatycznie przyciągają spojrzenia wytrawnych gospodyń. Rosół? Potrawka? Udka dla wnusiów?

Nad wąskimi uliczkami unosi się morze zapachów. Intensywna woń kiszonej w beczkach kapusty łączy się ze słodkim aromatem ciast i ciasteczek sprzedawanych wprost z leżaka postawionego na ulicy. Lekko mdląca nuta proszków do prania i chemii z Niemiec koegzystuje z pachnącymi słońcem i ziemią pomidorami. Można też wyczuć koperek, paprykę i czosnek. Chleb. Perfumy za pół ceny. I pot.

Wdowa po aptekarzu wjechała z impetem na skalski rynek i intensywnie zaczęła rozglądać się za miejscem do parkowania. Daremnie. W końcu zjechała w jedną z bocznych uliczek i postanowiła zatrzymać się przy ośrodku zdrowia przy Polnej. Może i nie była to najbardziej komfortowa odległość, ale przecież im dłużej się idzie, tym więcej osób się spotka. A że atmosfera w dni targowe sprzyjała dłuższym i mniej formalnym pogawędkom, te sto metrów mogło okazać się prawdziwą studnią wiedzy. Albo chociaż – ploteczek. Pani Karolina wyjęła więc z bagażnika wózek na kółkach i ochoczo ruszyła Słomnicką w stronę placu Konstytucji 3 Maja.

Nie uszła nawet dziesięciu kroków, kiedy na jej drodze stanęła istna skarbnica informacji sprawdzonych i pewnych, niemal zawsze z pierwszej (najdalej z trzeciej) ręki. Pani Ada Rażny, pracująca na poczcie w Skale, wracała właśnie z zakupów do domu. Jej wózek wypełniony po brzegi toczył się za nią miarowo, a ona szła statecznym krokiem, rozglądając się dyskretnie na boki i rozdając uśmiechy przechodniom. Różowy

sweterek opinał niemiłosiernie jej tułów, podkreślając każdą fałdkę, ale i godnych rozmiarów biust. Na widok pani Karoliny przystanąła raptownie i rozwarła w szerokim geście ramiona.

– Dzień dobry, pani Karolinko! Jak miło panią widzieć! Dzisiaj pani nie za wcześnie, ale w sumie teraz z prowincji do miasta nie ma pani zbyt blisko... – Ze wszystkich sił starała się nadać wypowiedzi barwę zrozumienia i współczucia.

– Pani Adeczko, dzień dobry! Miło panią widzieć! Całkiem dobrze pani wygląda. A te worki pod oczami to pewnie przez ten smog, tyle się teraz o nim mówi. – Cmokająca głośno w policzki dawno niewidzianej znajomej pani Karolina nie zamierzała być dłużna. Nigdy i nikomu.

– Ale się porobiło z tym morderstwem. – Ada Rażny umiała rozpoznać godną przeciwniczkę, doceniając więc odpowiedź wdowy, symbolicznie zamachała białą chorągiewką. – Miesiąc minął, a wciąż nic nie wiadomo. Teraz to już nawet nie ma pewności, czy to na pewno było morderstwo, czy może po prostu nieszczęśliwy wypadek... Pytałam Marii Kowalikowej, co z tym śledztwem, ale widocznie brata kryje, bo mi tylko powiedziała, że nic nie jest pewne, odkąd pojawiły się nowe okoliczności...

Wdowa po aptekarzu na dowód uznania złapała byłą sąsiadkę za łokieć i przysunęła się bliżej.

– Och, co też pani mówi! No, no!

Zdołała odczekać całe dziesięć sekund, zanim zadała pytanie:

– Jakież to nowe okoliczności? Wie pani może?

Karolina Morawiecka nie chciała wyjść na wścibską. Pani Rażny po raz kolejny doceniła kunszt rozmówczyni. Ponieważ jednocześnie uznała, że ona sama wytrzymałaby dłużej przynajmniej o pięć sekund, z tryumfalnym uśmiechem odpowiedziała:

– Och, coś tam wiem... Są jakieś wątpliwości odnośnie do tych śladów na szyi, co to je biedaczka miała. Bo podobno wczoraj –

tu pracownica urzędu pocztowego zniżyła głos do szeptu i rozejrzała się na boki w celu zapewnienia wrażenia absolutnej dyskrecji – w południe ojciec tej zmarłej (niech spoczywa w pokoju) przyszedł na komendę i się przyznał, że siódmego września, w czwartek z rana, zrobił córce awanturę. No i że trochę go poniosło i za szyję ją potarł. Podobnie był wczorajszy, a ona nie chciała mu śniadania zrobić. Że niby do pracy się spieszyła. I teraz nie wiadomo, czy to na pewno ślady po mordercy. Bo może być, że nie i że jednak sama spadła...

– No co też pani mówi... – Pani Karolina zamarła z wrażenia.

I tak oto obie panie pogrążone w swoich myślach stanęły niczym żony Lota, skutecznie torując ruch pieszych na ulicy Słomnickiej.

Pani Ada zastanawiała się nad istotą przeznaczenia i rolą przypadku. Gdyby stary Bednarz przyszedł na komendę kilka godzin później, podkomisarz Cegła nie zdążyłby opowiedzieć siostrze o swoich wątpliwościach przy kolacji, a Maria Kowalikowa na pewno nie zdążyłaby wpaść na chwilę do koleżanki przed zamknięciem poczty. Albo gdyby stary Bednarz wybrał inny dzień tygodnia... Choćby i dzisiaj, targową sobotę. Albo przedwczoraj, czwartek. Wtedy ona nie wiedziałaby nic, bo w weekendy placówka jest zamknięta, a w tygodniu otwarta do szesnastej. I tylko w piątki siedzą do dwudziestej.

Karolina Morawiecka tymczasem zastanawiała się, czy to w ogóle jest możliwe, że na zamku w Pieskowej Skale nie doszło do morderstwa. Siostra Tomasza może i mogła się pomylić w ocenie sytuacji, ale ona? Czy intuicja mogła zawieść ją, wdowę po aptekarzu? Czy morderstwo, które przecież przeczuwała każdym zmysłem, mogło się okazać tylko nieszczęśliwym wypadkiem?

– Uszanowanie szanownym paniom. – Z zadumy wyrwał je głos pana, co to jego żona kilka lat wcześniej dostała wylewu

i teraz ma częściowy niedowład. – Nad czym panie tak rozmyślają, panie szanowne? Życia nie szkoda?

– Pan, panie Rysiu, zawsze taki zabawny. – Ada Rażny posłała mężczyźnie promienny uśmiech. – Może ma pan i rację, że życia szkoda na rozmyślanie. A tu czas ucieka, trzeba mi rosół nastawić, bo wiadomo, że dobry rosółek to przynajmniej z pięć godzin musi się pogotować...

– I to na małym ogniu. – Pani Karolina już wróciła do rzeczywistości. – Warto też dodać trochę jałowca i imbiru... Nadają niezwyklej głębi i aromatu. Próbowwała pani?

– Ooo... – Pani Ada wyraźnie się zainteresowała. – A ile dodać?

Wdowa po aptekarzu wiedziała, że za wszystko przyjdzie kiedyś zapłacić. I oto właśnie rozkoszowała się chwilą, kiedy dane było jej pomścić absolutnie skandalicznie nieudany keks upieczony według niedokładnego przepisu.

– Cóż, ja daję na oko. Sama pani wyczuje. – To powiedziawszy, uśmiechnęła się stosownie do okoliczności^[9] i pożegnała skinieniem głowy. Już niemal dziesiąta, a ona wciąż jeszcze nie zrobiła zakupów na jutrzejszą kolację.

Pogrążona w myślach pani Karolina sama nie wiedziała, jak znalazła się przy placu Konstytucji. Pamiętała, że kiwała komuś na powitanie, że rozdawała uśmiechy, a nawet chyba ucięła z kimś pogawędkę... Musiały być to zwyczajowe uprzejmości: że jak na początek października to piękna pogoda, że masło podrożało, na szczęście warzywa na przetwory wciąż tanie – jednym słowem nic, co wymagałoby głębszego zaangażowania. Tyle tylko, że nawet na mękach wdowa po aptekarzu nie umiałaby sobie przypomnieć, z kim te uprzejmości wymieniała. Zresztą nic dziwnego, skoro w głowie kłębiły jej się setki myśli i to przelatujące z prędkością tornada: grillowany kurczak czy raczej zapiekanki z gęsiną? morderstwo? czy o tej porze będą jeszcze bakłażany? wypadek? kto się pomylił? sałatka z jarmużu

czy raczej ze szpinaku? a może jedno i drugie? kto jest mordercą?

Niezwykła kombinacja aromatów unosząca się nad placem okazała się lepsza od soli trzeźwiących.

Będzie, co ma być – uznała wreszcie ze stoickim niemal spokojem pani Karolina i postanowiła skupić się na zakupach. Jutrzejsza kolacja powinna przynieść rozstrzygnięcie, zwłaszcza jeśli dobrze opracuje menu. Maria Kowalikowa na pewno troszczy się o brata, ale czy kiedykolwiek w życiu robiła tapenade? I czy podkomisarz Cegła będzie w stanie oprzeć się zapiekance z ziemniakami, jarmużem i gęsina, podanej w małych ramekinach? Oraz sałatce z grillowaną pierśią kurczaka i octem balsamicznym? Tak, przynajmniej kwestia doboru drobiu właśnie została rozstrzygnięta. *Kupię i kaczkę, i kurę!* – oblicze pani Karoliny rozjaśniło się wreszcie, zmarszczki na czole wyrównały, a ona sama ożywiona wizją kolejnego kulinarno-towarzyskiego tryumfu przyspieszyła kroku, ciągnąc za sobą wciąż pusty wózek.

Niecałe dziewięćdziesiąt minut później sytuacja uległa niewielkiej zmianie. Owszem, twarz wdowy wciąż zdołała uśmiech (może nawet jeszcze większy), ale torba na kółkach pękała w szwach. Spod plastikowej kłapy w różowo-białą kratę sterczały jędrne laski selera naciowego. I pozbawione pierza nogi oskarżycielsko skierowane w stronę przechodniów.

– Dzień dobry, pani Karolinko. – Usłyszała za plecami znajome głosy.

– Dzień dobry, państwu – odpowiedziała uprzejmie wdowa po aptekarzu. Jeszcze nie zdążyła się odwrócić, ale już wiedziała. Krakusy. – Taki piękny dzień, mamy już październik, ale pogoda jak w lato.

– Nie dla wszystkich taki piękny – wyszeptwała młodsza pani Karolina, ze współczuciem patrząc na zwłoki kurczaka i ukradkiem trącając męża w bok.

Znajdujący się między szczupłą Scyllą a dorodną Charybdą (lub

odwrotnie) pan Jacuś na moment ogłuchł i zajął się analizą powierzchni chodnika.

Także pani Morawiecka, choć miała wybitny słuch, postanowiła nie dać się sprowokować i pominąć milczeniem uwagę sąsiadki. Ale, oczywiście, nie zamierzała jej tego zapomnieć...

– Och, wiedzą państwo, robię dzisiaj takie drobne zakupki, bo jutro urządzam proszoną kolację. Dla przyjaciół. Będzie – tu ze wszystkich sił postarała się nadać wypowiedzi lekki ton – podkomisarz Adam Cegła z siostrą. I ta nowa zakonniczka ze Skały.

– Czy to nie ten podkomisarz prowadzący śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci na zamku? – żona pana Jacusia spojrzała badawczo na rozmówczynię. A potem na męża.

– Och, cóż, no tak. Prosił mnie o pomoc w związku z nowymi okolicznościami. A wiedzą państwo, ja zawsze chętnie pomagam ludziom w potrzebie. – Wdowa zarumieniła się nieco i skromnie spojrzała na chodnik. W zasadzie jedno małe kłamstewko nikomu nie zaszkodzi. A zresztą może to nawet nie jest kłamstewko. Przecież nie wiadomo, czy podkomisarz nie poprosi o jakieś wskazówki...

– Ach! Czyli szykuje się prawdziwa uczta detektywów! Kolacja na cztery ręce! To jest cztery pary rąk! – skomentowała krakuska.

Wyczulona na najmniejsze niuanse Karolina Morawiecka usłyszała nutę zazdrości w głosie sąsiadki. Spojrzała więc na nią z sympatią.

– A jeśli uda mi się, to jest – jeśli nam się uda rozwikłać zagadkę śmierci tej biedaczki, Ani Bednarz (niech spoczywa w pokoju), obiecuję, że państwa też zaproszę na kolacyjkę.

Oblicze antykwariusza zaróżowiło się ze szczęścia, a on sam przełknął ślinę i podniósł wreszcie wzrok znad przedmiotu badań. (Naliczył ponad sto dwadzieścia małych żyłek i szczelinek

w płycie chodnika).

– Do widzenia państwu. – Wdowie nie umknęła reakcja sąsiada, posłała im więc teraz serdeczny uśmiech. – Jak tylko się czegoś dowiem, będę mogła państwu opowiedzieć – dodała na odchodnym łaskawie.

Czuła się teraz jak królowa ludzkich serc. I z gracją godną księżnej Walii (niech spoczywa w pokoju), ciągnąc iście królewskim gestem swój wypchany po brzegi skarb, ruszyła w stronę ośrodka zdrowia. Była pewna, że jutrzejsza kolacja okaże się wielkim sukcesem. Wielkim!

* * *

W czasie kiedy w kuchni w Wielmoży rozgrywały się dramatyczne sceny, godne pędzla Kossaka lub pióra Waltera Scotta (spocona wdowa, owinięta w fartuszek w różyczki, kroїła, ucierała, cięła, tarła, bejcowowała, doprawiała, prażyła i blanszowała, przeskakując raz po raz nad niebotycznie uślinioną, pełną napięcia i gotowości Truflą leżącą tuż przy kuchennych szafkach), sceny z kuchni skalskiej plebanii chciałyby uwiecznić tylko autorka *Wolnego najmity*.

Gospodyni proboszcza Walerego, pani Małgorzata, wrzucała do wypełnionego niemal po brzegi wodą pięciolitrowego garnka pokrojoną w plasterki jedną małą marchewkę. W towarzystwie ćwiartki pora, niemal przezroczystego plasterka selera, połówki pietruszki i jednego skrzydełka z kurczaka miała ona przeobrazić się w rosół. Choć zarówno siwowłosa kobieta, jak i stojąca obok zakonnica wiedziały, że rosółem będzie tylko z nazwy.

– Proboszcz Walery wyjątkowo pozwolił na bulionik. Z racji Świętej Pelagii, to jest dla uczczenia pamięci swej matki, bo jutro by imieniny miała – wyjaśniała siostrze Tomaszynie zrezygnowana gospodyni. – Ale zastrzegł, że nie może być za tłusty. I warzyw

ma być tyle, co w każdej innej zupie. Dusza człowiek. Inny to by nie wiadomo ile jadł, a nasz ksiądz proboszcz oszczędny taki, akuratny, dla biednych wszystko...

– Oj, tak – zgodziła się zakonnica. I tylko pokornie pokiwała głową. – Oj, tak...

Z rozmyślań nad marnością życia doczesnego wyrwał ją dźwięk szczelnie nakładanej pokrywki i odsuwanego krzesła. Gospodyni ściągnęła fartuch i właśnie siadała przy stole. Na wyblakłej ceracie stały już dwa kubki wypełnione ciepłą wodą. Wapienny kozuch jeszcze nie zdążył osiąść na ściankach.

– A wie pani może, pani Małgorzato, gdzie mieszka pani Maria Kowalikowa? Albo podkomisarz Cegła? Chciałabym z nim porozmawiać, a iść na komisariat jakoś nie uchodzi... Albo jeszcze lepiej – czy on uczęszcza do nas na msze?

– Siostra se siędzie na chwilę, wody się napije – zaprosiła gospodyni i zamyśliła się. – Ten cały podkomisarz, co to siostra o niego pyta, to nie jest zły człowiek. Choć rozwodnik. Córkę ma, w Krakowie studiuje. Sam mieszka, odkąd go żona zostawiła. Nie pije i do kościoła regularnie chodzi. A po co siostrze wiedzieć, gdzie mieszka? Przecie nie pójdzie siostra do niego! – Zaciekawienie łączyło się w głosie gospodyni z najczystszy zgorzeniem.

Zakonnica ugryzła się w język, odetchnęła głęboko kilka razy i zmówiła akt strzelisty, po czym natychmiast uspokoiła zaniepokojoną rozmówczynię.

– Ależ oczywiście, pani Małgorzato, że się do niego sama nie wybieram – zaczęła łagodnie. – Ale porozmawiać z nim muszę, bo jutro razem z jego siostrą jedziemy na kolację do Wielmoży. Rowerem to dla mnie za daleko, a proboszcza Walerego nie chcę niepokoić. Tym bardziej wikarego Szymona, bo on, wiadomo, ma swoje kłopoty. Zwłaszcza że jutro ma odprawiać sumę...

– Ojoj, to się i denerwować musi. – Gospodyni

z wyrozumiałością i współczuciem pokiwała głową i napiła się wody. Wypluła kamień, odłożyła na ceratę. Wiadomo, woda w okolicy wapienna jest, twarda. – Nasz organista, ten cały pan Zygmus, coś na niego cięty niemożebnie, pytał się mnie nawet dzisiaj – zachichotała radośnie, a jej usta rozbłysły blaskiem złotej dwójki – czy nie znam jakiejś pieśni, co ma powyżej dziewięciu zwrotek.

– I co? Podała mu pani tytuł? – przeraziła się zakonnica.

– Eee, nie. Proboszcz Walery mówił, żeby jutro obiad był punktualnie o wpół do drugiej. Z racji tej Świętej Pelagii niby. To przecież jakby pan Murasek zaczął śpiewać dziesięć zwrotek, to bym i na drugą obiadu nie naszykowała – zaśmiała się.

– Święta Pelagio, módl się za nami! – wyszeptała w habit siostra. – A wracając do tej mszy, na którą chodzi pan Cegła...

– Razem z siostrą i szwagrem chodzi na sumę, a potem do nich na obiad. Więc jutro spokojnie z nimi siostra porozmawia. On to najczęściej staje z tyłu, prawie przy drzwiach, a Kowalikowie siadają z przodu, w ławkach po lewej. Trzeci rząd. Ale ten Kowalik to taką ma minę, jakby wolał ze szwagrem z tyłu stać, niż siedzieć prawie pod ołtarzem – zaśmiała się cichutko. – Wie siostra, jak to jest. Każdy wierny ma swoją ulubioną mszę i stałe miejsce w ławce. Gorzej w wakacje i w święta, bo wtedy dużo ludzi przyjezdnych i siadają, gdzie wolne – rozgadała się na dobre.

– Z pani to całkiem niezła detektywka jest! Tak znać ludzką naturę i uważnie obserwować to nie każdy potrafi. – Siostra Tomasza z uznaniem spojrzała na panią Małgorzatę.

Gospodyni przeżegnała się nabożnie. Już ona dobrze pamiętała, jak proboszcz Walery rozmawiał przez telefon z biskupem o zakonnicy, co to z Krakowa do Skały w nagrodę przeniesiona być miała. Jak biskup przestrzegał, że w detektywa lubi się bawić... Spojrzała uważnie na zdziwioną tym przypływem

religijności siostrę Tomaszę i postanowiła zmienić temat. Strzeżonego Pan Bóg strzeże...

– My tu sobie gadu-gadu, a czas przygotować drugie danie na jutro. Bo wie siostra, z racji Świętej Pelagii na niedzielny obiad proboszcz Walery zaordynował coś innego niż jajko...

Zakonnica napięta się jak struna. Chwała Panu na wysokościach! Błogosławiona bądź, Święta Pelagio! Módlcie się za nami patronki kucharek, Święta Marto z Betanii i Święta Wiborado! Może choć nóżka kurczaka z różną? Może kotlet, choćby i mielony?

Odpowiedź szybko i boleśnie pozbawiła ją złudzeń.

– Trzeba biały ser przemleć. Jutro dodam trochę cukru i wody. Będzie farsz do naleśników – zdradziła niespodziankę pani Małgorzata.

Ze spuszczoną głową, powoli, siostra Tomaszę ruszyła w stronę lodówki i wyciągnęła mały kawałek twarogu. Jutro kolacja u pani Karoliny, chwała Panu!

* * *

Nadciągał zmierzch. Skąpane w wieczornym mroku domy znikwały, kurcząc się do prostokątów rozświetlonych okien. Gdzieś migotliwe błyski ujawniały telewizyjne pasje mieszkańców. Wielmoża pogrążyła się w ciszy i powoli szykowała do snu.

Tymczasem na Podzamczu rozgrywał się dramat.

Salon Karoliny Morawieckiej pachniał dyskretnie środkami czystości. Porcelanowe figurki lśniły, podobnie jak bluszcz i podłogi. Na stole pojawił się biały świąteczny obrus, a przed zdjęciem w plastikowych ramkach – bukiet z hortensji.

Błaty kuchenne zostały uprzątnięte. Lodówka pękała

w szwach. Gęsia pierś macerowała się w cydrze i soku jabłkowym (z dodatkiem jałowca i świeżego tymianku). Tapenada do grzanek została już przygotowana i zamknięta szczelnie w słoiczku. Jarmuż i szpinak wymieszane razem po wcześniejszym umyciu i wysuszeniu odpoczywały teraz w pojemniku, czekając na jutrzejszy dressing i świeżo zgrillowane kawałki piersi z kurczaka. Te ostatnie bejcowały się natomiast w czosnkowo-musztardowej oliwie.

Nawet Trufla przestała dyszeć i tylko śliniła się nieznacznie na wspomnienie znalezionych na podłodze smakołyków.

Lecz kiedy zmęczona, acz spełniona wdowa po aptekarzu zanurzyła się w kąpieli z dodatkiem olejku różanego, by w pełni zasłużenie odpocząć w wannie, przypomniała sobie:

– Matko, ratuj! Nie ma ciasta!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W KTÓRYM SIOSTRA TOMASZA
POZNAJE PODKOMISARZA CEGŁĘ
I ODBYWA SIĘ UCZTA DETEKTYWÓW
(Z PARĄ MAŁŻONKÓW PRZY STOLE)

Może to zasługa proboszcza Walerego, może ingerencja sił niebieskich, może śpiew księdza Szymona, a może coś całkiem innego skruszyło serce organisty Muraska, w każdym razie w niedzielę Świętej Pelagii i Świętej Brygidy suma trwała równo pięćdziesiąt dwie minuty (z długą listą ogłoszeń parafialnych) i przebiegła bez jakichkolwiek zakłóceń.

A kiedy tylko pan Zygmunt zagrał pieśń na wyjście i (jedyne lekko napięty) wikary wraz z orszakiem ministrantów ruszył od ołtarza, na tyłach skalskiego kościoła zrobił się tłok. Mężczyźni w za dużych lub zbyt małych marynarkach szturmowali drzwi wyjściowe. Bez względu na wiek i tuszę szli podobnym miarowym krokiem, kołyszając się na boki w rytm akompaniamentu organów. Wyglądali tak, jakby musieli zapalić. Już teraz. Jakby te pięćdziesiąt dwie minuty (a nawet dłużej, do kościoła trzeba wszak przyjść trochę wcześniej) bez smaku tytoniu były największym wyrzeczeniem w ich życiu. I może rzeczywiście tak właśnie było, bo oto teraz stawali półkolem przed kościołem i zaciągali się głęboko. Czekali na swoje kobiety

i dzieci, które z kolei cierpliwie stały w kolejce do kropielnicy, aby z namaszczeniem przeżegnać się wodą święconą.

Siostra Tomaszka zajęła miejsce pod wielkim dębem i wyglądała komisarza Cegły. Po chwili rozpoznała go w jednej z grup palących mężczyzn i prosząc w duchu anioła stróża o pomoc, podeszła do niego.

– Szczęść Boże, czy może pan podkomisarz Adam Cegła?

– Szczęść Boże. – Z wrażenia aż zachłysnął się dymem. – Tak, to ja. W czym mogę siostrze pomóc?

– Siostra Tomaszka – przedstawiła się.

– Jakiego Tomaszka? – Osłupiały policjant bezradnie spoglądał to na szwagra, to na zakonnicę.

Ta poczerwieniała nagle i wydała z siebie bliżej nieokreślony dźwięk. Już brała oddech, by to wyjaśnić i panu Adamowi, i szwagrowi, i całej reszcie zaciekawionych takim wstępem mężczyzn, kiedy anielska interwencja przyniosła rezultaty w postaci szczupłej kobiety z warkoczem upiętym z tyłu głowy, w błyszczącej jasnobeżowej garsonce.

– Adaś, to przecież siostra Tomaszka! Zapomniałam ci powiedzieć, że też się dzisiaj z nami wybierze...

Wzięła zakonnicę pod łokieć, odciągnęła dyskretnie na bok i wyjaśniła:

– Szczęść Boże, Maria Kowalikowa jestem. Siostra Adasia. Dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem Karolinka Morawiecka i powiedziała, że zaprosiła także siostrę. To przecież pojedziemy razem, tak? Podjedziemy pod plebanię za dwadzieścia szósta – rzuciła na pożegnanie i podeszła do czekających na nią brata i męża.

– Wybieramy się wspólnie do Wielmoży na kolację – wyjaśniła. – Nie stójcie jak te kołki, chodźmy do domu. Będzie rosół i schabowe, jak lubicie.

* * *

W Wielmoży sumę odprawiał proboszcz Januszek. Kiedy msza się skończyła, a wierni wylegli na kościelny dziedziniec, żeby zapalić papierosy, przywitać się i uciąć krótkie pogawędki przed zjedzeniem niedzielnego obiadu (rosół i schabowy, choć u niektórych po zupie były bitki), w świątyni ktoś wciąż gorliwie się modlił. To pani Karolina błagała Świętą Ritę i Świętego Judę Tadeusza o pomoc.

Interwencja patronów od spraw beznadziejnych widać musiała przynieść skutek, bo kiedy dźwigała się z klęczek, wdowa była już wyraźnie spokojna...

– Deska serów! Deska serów mnie uratuje!

* * *

Jeszcze przed wejściem do domu pani Karoliny podkomisarz Adam Cegła był absolutnie pewien, że nie ulegnie. Jeszcze zwyczajowo cmokając w rękę rozemocjonowaną gospodynią, wręczając jej torebkę z butelką półsłodkiego wina (szwagier równie niezgrabnie wciskał jej bukiet łodygami do góry), czuł się panem sytuacji. Jeszcze w przedpokoju, ściągając buty i dając się obwąchać zaślinionemu potworowi, trwał w przekonaniu, że ani pani domu, ani jego siostrze, a już tym bardziej siostrze zakonnej nie uda się wydusić z niego choćby jednej informacji dotyczącej śledztwa. Jeszcze siadając na bogato zdobionym krześle (kupione w meblowym w Skale, rozpoznał wprawnym okiem śledczy), był nieugięty.

Po czym wdowa po aptekarzu, ubrana w różową bluzkę z haftem w motyle, z lekko zaróżowioną twarzą otworzyła drzwi najwyraźniej łączące salon z kuchnią. Nozdrza detektywa lekko podrażnił bukiet oryginalnych woni. Oryginalnych, ale – musiał

przyznać w duchu – szalenie... interesujących. Smakowitych. Kuszących.

– Och, oczywiście kolacja powinna być lekka – zagaiła gospodyni przepaszającym tonem, spod którego jednak przebijała duma. – Będzie więc sałata z grillowaną pierśią kurczaka z miodowo-czosnkowym dressingiem z nutą octu z Modeny. Na przystawkę natomiast grzanki z tapenadą. Potem zapiekaneczka z gęsiną. Na końcu zamiast deseru proponuję coś prostego. – Pani Karolina na chwilę zawiesiła głos, by wzmóc w słuchaczach napięcie. – Deskę serów. Z winogronami, orzechami i konfiturami oczywiście.

Panie, poruszone tym kulinarnym wyznaniem równie mocno co panowie, rzuciły się pomagać gospodyni, ale ta powstrzymała je królewskim gestem.

– Dziękuję, moje kochane. Ale w moim domu goście to goście. Zaraz wszystko podam.

I rzeczywiście zaraz podała. A kiedy pani Karolina zaczęła wnosić ze skromną miną salaterki, kokilki i półmiski, podkomisarz Cegła wcale nie był już taki pewien, czy powinien zatrzymać wszystkie informacje o śmierci Bednarz Anny tylko dla siebie.

Pilnował się jednak dzielnie. Przy grzankach z oliwkową pastą (wyborne) na subtelne pytanie wdowy po aptekarzu, czy pojawiły się już może jakieś okoliczności w sprawie śmierci tej biedaczki, odparł uprzejmie, że nie powinien o tym rozmawiać. Przy sałacie z jednocześnie kruchą i soczystą aromatyczną grillowaną pierśią kurczaka udało mu się odeprzeć atak (tym razem siostry Tomaszy) i zasłonić niczym tarczą tajemnicą służbową.

Po około czterdziestu minutach od rozpoczęcia wizyty gospodyni postawiła przed swoimi gośćmi małe ramekiny. Wydobywająca się z nich woń wystarczyła, by podkomisarz

skapitulował. Skupiony na aksamitnym połączeniu rozpływającej się gęsinie z pieczonymi ziemniakami i chrupkim jarmużem, które na podniebieniu wyśpiewywało ekstatyczne nuty, nieuważnie odpowiedział na ponownie zadane mu pytanie:

– Rzeczywiście, pojawiły się nowe fakty. Ojciec denatki przyznał się do napaści na córkę w dniu śmierci. Jaka ta gęsinie aromatyczna... Stąd jednoznacznie nie można wykluczyć, czy ofiara została przez kogoś zepchnięta, czy też może sama spadła w wyniku nieszczęśliwego zdarzenia. Bo samobójstwo jednak wykluczam. – Tu zreflektował się, poczerwieniał i zamilkł.

Karolina Morawiecka od razu przeszła do ofensywy.

– Panie Adasiu, jeśli pan tylko zechce – spojrzała policjantowi głęboko w oczy, dając do zrozumienia, że jedynie pełna współpraca zagwarantuje mu ten przywilej – dam Marysi przepis. Na pewno panu taką zapiekankę zrobi.

Marysia uśmiechnęła się i już, już miała się sumitować, że skąd, że ona takiej dobrej nawet z przepisem nie zrobi, kiedy do gry włączyła się siostra Tomasza.

– Panie podkomisarzu, może i fakty nie są jednoznaczne, może i nie wskazują na morderstwo, ale co na ten temat podpowiada panu intuicja?

– Cóż... – Policjant przełknął ostatni kęs zapiekanki, z rozpaczą spojrzał na pływające po pustym już dnie krople sosu i powoli zszedł z nieba na ziemię. – Rzeczywiście, na mój nos to była zbrodnia. Raczej nieplanowana, a jednak zabójca znalazł w sobie dość siły, żeby się do niej nie przyznać.

– Rozumiem, że alibi wszystkich podejrzanych zostało sprawdzone? – spytała wdowa, jednocześnie sięgając po koszyk z chlebem. – Proszę spróbować bagietki. Domowej roboty. Bardzo dobrze łączy się z sosikiem. A gdyby pan jeszcze zechciał, panie Adasiu drogi, to może dokładeczkę?

Jednocześnie zignorowała błagalne spojrzenie Józefa Kowalika,

który swój ramekin dawno już oczyścił chrupkami skórkami pieczywa.

– Sęk w tym, że w zasadzie nikogo nie podejrzewaliśmy. To znaczy, owszem, najpierw typowaliśmy narzeczonego... – Policjant dokładnie wyczyścił naczynie skrawkiem bagietki i łąpczywie przyjął z rąk pani Karoliny nowe, pełne po brzegi.

– Mateusza Bienia – wyszeptała rozanielona siostra Tomasza, która już dawno pożegnała się z zapiekanką, ale wciąż pieściła smaki gęsiny na podniebieniu.

– Mateusza Bienia, tak. Bo to, wiedzą panie... Chciałem powiedzieć: wiedzą państwo – Cegła rzucił przeproszające spojrzenie szwagrowi – że najczęściej sprawcami zbrodni są bliscy krewni lub znajomi ofiary. Tymczasem Bień Mateusz miał absolutnie niepodważalne alibi. Sprawdzone i przez młodszego aspiranta Batorego, i przeze mnie. Tak dla pewności. Nie mógł zabić swojej narzeczonej, nawet gdyby miał motyw.

– No właśnie, panie Adasiu, a czy miał motyw? – spytała niewinnie wdowa po aptekarzu.

– Czy ktokolwiek miał motyw? – w tym samym momencie spytała zakonnica.

– No i to jest największym problemem – westchnął śledczy. – Według Bienia i jego rodziców narzeczeni kochali się i byli w sobie wpatrzeni. Żadnych kłótni, żadnych awantur, więc motyw nieporozumień nie wchodzi w grę. Bednarzówna z domu bogata nie była, raczej biedna, ojciec za kołnierz nie wylewa, więc motyw finansowy też raczej odpada. Nikt nie zabiłby jej dla pieniędzy, bo ich nie miała, po prostu.

– Jeszcze! – wymknęło się jednocześnie i pani Karolinie, i siostrze Tomaszy.

– Wyjście za mąż wszystko by w tej kwestii zmieniło – wyjaśniła Kowalikowa swemu lekko zdezorientowanemu małżonkowi. – Bień to przecież świetna partia...

– No tak – przyznał podkomisarz. – Kontynuując temat, kelnerki, które z Bednarz Anną pracowały, kierowniczka Herbovej, sąsiadki i koleżanki – wszystkie mówią o niej jak o jakiejś świętej.

– Może się pan zaraz zdziwi, panie Adasiu – pani Karolina uśmiechnęła się promiennie – bo ja też porozmawiałam sobie na temat zmarłej i mam trochę inne informacje. Ale najpierw może deskę serów przyniosę i kawy zrobię? – Przez chwilę gospodyni wygrała w niej walkę z detektywem.

Podkomisarz Adam Cegła był rozdarty. Z jednej strony bardzo chciał się dowiedzieć, czego to wdowa po aptekarzu wywiedziała się na temat denatki. Z drugiej deska serów brzmiała egzotycznie i zachęcająco. A kiedy tak trwał w milczeniu, kalkulując gorączkowo, co w tej chwili jest dla niego ważniejsze, gospodyni wstała od stołu, dając dyskretny znak zakonnicy, by jej towarzyszyła. Wzięły więc puste talerze, półmiski, salaterki i kokilki, a kiedy tylko zniknęły za drzwiami kuchni, pani Karolina uśmiechnęła się szeroko do siostry Tomaszy.

– Niech sobie teraz nasz podkomisarzyk chwilę skruszeje.

– Alleluja! Chwała Panu na wysokościach! Naprawdę – uśmiechnęła się z uznaniem – owinęła go sobie pani wokół palca, pani Karolino!

– Czuję, że po kawie nawiążemy pełną współpracę – zachichotała gospodyni i podała zakonnicy czyste talerzyki.

W kuchni pojawiła się zaaferowana Maria Kowalikowa.

– Karolinko, to niesłychane, jak sobie świetnie poradziłaś. Mój brat bywa trudny i bardzo niechętnie opowiada o śledztwie. Owszem, mnie coś czasem opowie, ale tylko jakieś ogólniki i to też tylko wtedy, kiedy sobie już z czymś absolutnie nie radzi. Po rozwodzie, biedak, samotny jest, to i musi się przed kimś wygadać. Odgrażał mi się, że kolację zje, ale pary z gęby nie puści. A tutaj widzę – zachichotała – szykuje się pełna

współpraca...

I rzeczywiście. Sery w połączeniu z orzechami, winogronami i wiśniowymi konfiturami całkowicie przekonały podkomisarza Adama Cegłę do współpracy. Oczywiście współpracy absolutnie nieoficjalnej... Ale pełnej (jak, nie przymierzając, żołądek policjanta w tamtym momencie).

Świadoma odniesionych tryumfów Karolina Morawiecka rozpoczęła swój od kilku dni przygotowywany i ćwiczony podczas wykonywania domowych obowiązków monolog.

– Drogi panie Adasiu, ja i siostra Tomasza – łaskawie wymieniła pomocnicę – jesteśmy absolutnie pewne, że mamy tutaj do czynienia z morderstwem.

– Z zabójstwem – poprawił ją automatycznie. – O morderstwie mówimy wówczas, gdy mamy do czynienia z zabójstwem o wysokim stopniu brutalności. A w tym konkretnym wypadku...
– Rozłożył rękę.

– Ach, rzeczywiście! – nie wiadomo czemu ucieszyła się siostra Tomasza. – Pamiętam, jak komisarz Jakub Mortka to wyjaśniał.

– Mortka? – zdziwił się Cegła. – Nie znam, pewnie z Krakowa.

– W zasadzie to z Warszawy... – uśmiechnęła się tajemniczo zakonnica.

Mordka? Biedactwo, nieszczególne ma nazwisko, ale cóż... Nazwiska się nie wybiera... – Wdowa po aptekarzu uzaliła się w duszy nad nieznanym sobie policjantem.

Po czym wróciła do swej przemowy.

– Tak czy owak, panie Adasiu drogi, trudno sobie wyobrazić, aby z tak szerokiego murku ktoś po prostu spadł. Chyba żeby był pijany. Ale przecież Anna Bednarz (niech spoczywa w pokoju) nie miała ani kropli alkoholu we krwi, prawda?

– Tak – potwierdził zdumiony Cegła.

– Jeszcze trudniej wyobrazić sobie, że zmarła postanowiła popełnić samobójstwo. Na kilka miesięcy przed ślubem

z najlepszą partią w Skale (zaraz po synu notariusza) i na dodatek w miejscu pracy.

– I bez listu – nie wytrzymała zakonnica.

– Ale – wdowa zgromiła zebranych spojrzeniem – przede wszystkim ze względu na ułożenie ciała. Gdyby skoczyła, nie spadłaby na plecy. Poza tym rozstrzygająca jest dla nas sprawa torebki. Bezdyskusyjnie Anna Bednarz powinna ją mieć przy sobie w chwili śmierci. Albo więc, panie Adasiu drogi, znalazłby ją pan gdzieś na rabacie obok... – tu zrobiła subtelną pauzę dla wyrażenia szacunku w obliczu tak niebywałej tragedii – ...zwłok, albo leżałaby na dziedzińcu. Jej brak wyraźnie potwierdza, że mamy do czynienia z morderstwem. Pozostaje więc pytanie: kto skorzystał na jej śmierci? I kto miał sposobność?

– Policja już oczywiście odpowiedziała na to pytanie – westchnął podkomisarz. – Nie znaleźliśmy nikogo, kto odniósłby jakąkolwiek korzyść ze śmierci denatki. Sprawa torebki, przyznaję, nieco wszystko komplikuje, ale wielce prawdopodobne jest, że zmarła po prostu nie wzięła jej ze sobą. Proszę pomyśleć, pani Karolino, jeśli to była naprawdę cenna torebka, a Bednarz chciała popełnić samobójstwo, mogła zostawić ją w domu. Ojciec zmarłej nie przyznał się co prawda do kradzieży torebki córki, ale trudno mu w tej kwestii w pełni ufać i traktować jego zeznania jako wiarygodne. Proszę wreszcie pamiętać – kontynuował, a jego logika zdawała się wytrącać z ręki wszelkie argumenty nie tylko milczącej teraz wdowie, ale i zakonnicy – że nie każdy samobójca zostawia list.

Widząc niewyraźne twarze zgromadzonych przy stole słuchaczy, postanowił się jednak zlitować.

– To tyle, jeśli chodzi o teorię. W rzeczywistości dobrze pani, pani Karolinko, zauważyła: w tym konkretnym wypadku sposób śmierci wyklucza samobójstwo. Wyniki sekcji zwłok to potwierdzają. Bednarz Anna nie targnęła się na swoje życie.

Podkomisarz potrzebował chwili przerwy. Zjadł winogronko, skubnął troszkę sera (wybór śledczego padł na absolutnie wyborny roquefort), po czym kontynuował:

– Jednak, jak już paniom wspomniałem – z pełną galanterią skinął głową w stronę gospodyni i siostry Tomaszy – i ja podejrzewam udział osób trzecich. Problem w tym, że nie mamy żadnego motywu, żadnego tropu wskazującego wyraźnie i jednoznacznie na zabójstwo. Czy też na zabójcę. Co do sposobności – na pewno mieli ją strażnicy. Ale...

– Ale – wdowa po aptekarzu nie chciała jeszcze oddać pałeczki – jeśli Ani Bednarz udało się nocą dostać na zamkowy podworec, każdy mógł tam wejść. Zaczniemy więc od motywu. Rozmawiałam przypadkiem z jedną z kelnerek z Herbovej – oczywiście nie zdradzę tożsamości świadka – która wyznała, że Bednarzówna nie cieszyła się najlepszą opinią. Prawdę powiedziawszy, choć o zmarłych nie należy źle mówić, była straszną flirtiarą. Tak, takiego słowa użyła Patrycja Rosiak podczas naszej piątkowej rozmowy.

W tym miejscu z piersi zebranych wyrwało się ciche westchnienie, które pani Karolina potraktowała jako wyraz hołdu dla jej pełnej zaangażowania pracy detektywistycznej. Posłała więc słuchaczom przyjazny uśmiech. Już miała kontynuować, kiedy ubiegł ją głos zakonnicy.

– Oczywiście, panie podkomisarzu, nie wykorzysta pan tej informacji, prawda? Jeśli pani Karolinie udało się zdobyć jej zaufanie, nie możemy tego zmarnować.

Policjant, który, rzeczywiście, natychmiast powziął decyzję o ponownym wezwaniu kelnerki Rosiak Patrycji na komendę, posłał siostrze Tomaszy zabójcze spojrzenie.

Rozemocjonowana wdowa po aptekarzu nawet nie była świadoma, że wyjawiała pilnie skrywaną tajemnicę, ale mając niejasne poczucie, że traci zainteresowanie publiczności,

postanowiła kontynuować przemowę, tylko nieco podniosła głos (zwyczaj podpatrzony od proboszcza Januszka, który w ten sposób podkreślał pointę kazania).

– Na pana miejscu przyjrzałabym się bliżej tym kelnerkom... Miałam nieodparte wrażenie, że nie lubiły się zbyt. I, no cóż, były o tę biedną Bednarz bardzo zazdrosne. A już na pewno jedna.

– Oczywiście sprawdziliśmy alibi wszystkich współpracownic z Herbovej. – Pan Adam uśmiechnął się dobrodusznie. – Jeśli nie aresztowaliśmy żadnej z nich, to znaczy, że nie było ku temu żadnych powodów.

Pani Karolina nie dała się zbyć. Zbyt długo się do tego wieczoru przygotowywała. Zbyt dużo starań włożyła w zgromadzenie cennych informacji. I zbyt długo ćwiczyła swój monolog.

– Myślę, iż przyczyna zabójstwa leży ukryta w biografii zmarłej! – zakończyła tryumfalnie wymyślnym zdaniem (długo się nad nim zastanawiała). – To ja teraz przyniosę kawkę. Czarną czy z mleczkiem?

Kiedy przed Adamem Cegłą stanęła filiżanka gęstego jak smoła espresso, siostra Tomasza przemówiła:

– Jestem pewna, że jeśli tylko znajdziemy motyw, będziemy mogli znaleźć mordercę. Przyznanie się pana Bednarza do siniaków na szyi córki co prawda bardzo nam komplikuje sprawę, ale... Ale może morderca, to jest... zabójca – poprawiła się szybko – o nich wiedział i wykorzystał ten fakt? Albo najzwyczajniej miał szczęście? Może on też złapał dziewczynę za szyję i po prostu zepchnął ją z murku? Oczywiście tej zbrodni mogła też dokonać kobieta, nie wymagała przecież żadnej siły, prawda? Wystarczyło wykorzystać moment nieuwagi i po prostu pchnąć siedzącą na murku Annę Bednarz. Ale jeśli nie była to zbrodnia z premedytacją, zabójca lub zabójczyni nie nosili

rękawiczek, a na szyi ofiary powinny być jakieś ślady. Czy tak?

Śledczy sam już nie wiedział, czy to wspomnienie gęsiny, czy sery, czy cudownej jakości aromatyczny napar sprawiły, że oto nagle naprawdę chciał wyjawić wszystko, co wiedział.

– Oczywiście, ma siostra rację. Na ciele denatki udało się technikom zabezpieczyć włókna z ubrania oraz ślady DNA z naskórka. Nie było jednak żadnych zadrapań, a jedynie zasinienia. Zebrany materiał dowodowy pasował do odzieży służbowej, to jest do munduru strażników, a DNA do...

– Bartosza Skalskiego – wyszeptała siostra Tomasza.

– Pana Bartoszka! – jednocześnie wykrzyknęła wdowa.

– Rzeczywiście. – Mniej już zdziwiony śledczy potwierdził przypuszczenia kobiet. Coraz mocniej przekonywał się, że pomylił się zupełnie i oto ma przed sobą nadażające za nim umysły, choć w niezbyt atrakcyjnym wydaniu (och, przepraszam!).

– Ale przecież to właśnie pan Bartoszek zidentyfikował zmarłą! Nawet chciał ją reanimować. – Wdowa przypomniała sobie roztrzęsionego młodziana palącego jednego papierosa za drugim. – Czy na pewno nie było żadnych innych śladów?

– No właśnie nie. Nawet muszę paniom, to jest... państwu – znów posłał przepaszające spojrzenie szwagrowi, który jednak wyglądał na totalnie oszołomionego rozgrywającymi się wydarzeniami i od dobrej chwili (czyli mniej więcej od połowy deski serów) już nie przyswajał i nie nadażał – że był to nasz drugi podejrzany. Ale pan Skalski Bartosz zaprzeczał, żeby cokolwiek go łączyło z ofiarą. A zeznania współpracowników zdają się to potwierdzać. Pan Skalski przyznał się tylko, co potwierdzili inni świadkowie, w tym pani – tu posłał Karolinie Morawieckiej pełny uznania uśmiech – że zszedł na dół w celu identyfikacji ciała oraz ewentualnego udzielenia pierwszej pomocy poszkodowanej, to jest zmarłej. Oczywiście miał sposobność, gdyż pełnił tej nocy dyżur, ale nie miał żadnego

motywu. Morderca zatem albo nie pozostawił żadnych śladów, albo...

– To była zbrodnia z premedytacją – wyszeptały osłupiałe gospodyni i zakonnica.

– Tak – potwierdził podkomisarz.

– Nie! – wykrzyknęły jednocześnie pani Karolina i siostra Tomasza.

– To po prostu nie ma sensu. – Tym razem zakonnica zabrała głos. Uznała, że już w wystarczającym stopniu oddała pani domu cześć. I szacunek. – Morderca w rękawiczkach czeka na zamku na pierwszą lepszą ofiarę? Czy może był umówiony na spotkanie z kelnerką? Nawet jeśli tak, po co umawiałby się z nią w strzeżonym miejscu? Gdzie w każdej chwili mogą go nakryć strażnicy? Przecież prościej byłoby się spotkać w lesie! Albo nawet na drodze przed zamkiem! Albo na parkingu!

– Był mecz – wtrącił nieśmiało podkomisarz, lekko wystraszony grzmącym głosem siostry Tomaszy.

– Ale przecież czas zgonu ustaliliście na przedział między dwudziestą drugą a trzecią w nocy? – Wdowa próbowała przypomnieć gościom o sobie.

– Studio piłkarskie... – Ze zgrozą pokiwała głową siostra Tomasza.

– Właśnie. Strażnicy zgodnie zeznali, że do godziny dwudziestej trzeciej wspólnie oglądali telewizję na portierni. I mogli nie zwrócić uwagi na ewentualnych intruzów. A potem wrócili na stanowiska pracy i już czynnie wykonywali obowiązki służbowe.

– Ale jak to? – Maria Kowalikowa w odróżnieniu od swego męża Józefa doskonale nadażała, teraz jednak zdziwiła się niepomnie. – Jeśli pełnili dyżur nocą, to co robili rano na zamku? Jakim cudem byli przy odkryciu zwłok?

– Cięcia budżetowe – wyjaśnił jej brat. – Skalski Bartosz wziął

podwójną służbę, to jest dwudziestoczworogodzinny dyżur, a potem miał mieć dwanaście godzin wolnego. Tak samo Furgalski Marian.

– A ten Furgalski nie wydawał się wam podejrzany? – spytała pani Maria.

– Potwierdził zeznania Skalskiego odnośnie do meczu. Jego śladów DNA nie było na ciele ofiary, nie znaleźliśmy też ani motywu, ani żadnych innych powiązań z ofiarą – wyjaśnił Cegła.

– Tak, to naprawdę zagadkowa sprawa. Trzeba znaleźć odpowiedzi na dwa pytania: kto miał powód, żeby zabić Bednarzównę...

– I dlaczego – siostra Tomasza zdecydowała się przerwać pani Karolinie – ofiara i zabójca znaleźli się nocą na zamku!

– Drogie panie, bardzo wam dziękuję za tę rozmowę. – W głosie śledczego słychać było autentyczną wdzięczność. – Prokurator od piątku, to jest od rozmowy z ojcem denatki, naciska na zamknięcie sprawy i uznanie jej za nieszczęśliwy wypadek z braku jakichkolwiek dowodów. Zwłaszcza że minęło pięć tygodni, a my wciąż niczego nie mamy. Prawdę mówiąc, już nawet miałem się na to zgodzić. Teraz jednak myślę, że musimy odpowiedzieć na jedno pytanie: po co zmarła przyszła nocą na zamek? Czuję, że ta informacja może się okazać kluczowa dla śledztwa.

– No i jakim cudem weszła na zamkowy podworec? Skoro strażnicy jej nie wpuścili? A przecież zamknięte było? – Józef Kowalik wreszcie się odezwał.

Wszyscy zamarli i z zazdrością spojrzeli na milczącego dotąd mężczyznę. To pytanie jeszcze dotąd nie padło. Tego pytania nikt jeszcze nie zadał, a przecież było takie oczywiste. Tak się samo przez się nasuwało!

– Boże, jaki ja głupi jestem! – wyrwało się policjantowi, który nieświadomie zwerbalizował na głos nie tylko swoje myśli. –

W ogóle tego nie sprawdziliśmy...

– Nie należy wypowiadać imienia Pana Boga nadaremno. – Spod kornetu dobiegło go surowe napomnienie. – Zleci pan technikom kolejne badania i ma pan argument dla prokuratora, żeby jeszcze przez chwilę nie zamykać śledztwa.

– Ponad miesiąc minął, więc to na niewiele się zda – kwaśno dorzuciła pani Karolina. Jakoś nie mogła sobie darować, że sama od razu o to nie spytała. Do tego, wstyd się przyznać!, nawet o tym nie pomyślała! Jak ta cała Bednarzówna dostała się nocą na zamek?

Nastrój prysł. I nie było już niczego, co mogłoby go poprawić. Nawet liścia sałaty. Nawet odrobiny sosu. I ani jednego kawałka ciasta...

– Panie Adasiu. – Wdowa po aptekarzu, choć zirytowana ponad miarę, była jednak wytrawną panią domu, zagaiła więc teraz przyjaźnie. – Proszę się nie martwić. Zleci pan te badania, a my z siostrą Tomaszą przez ten czas spróbujemy się czegoś dowiedzieć. Jak pan tylko będzie miał nowe informacje, spotkamy się tutaj. – Na przynętę wykonała dłonią gest wskazujący na stół. – Może uda się nam jednak tę zagadkę rozwikłać. Nie mogę pogodzić się z tym, że w mojej wiosce ktoś dokonał... – zawahała się na moment, postanowiła jednak użyć słowa, które w jej ocenie brzmiało o wiele lepiej: – ...morderstwa. I to na dziewczynie ze Skały (niech jej ziemia lekką będzie)!

– Myślę, że powinniśmy w takim razie porozmawiać jutro z kelnerkami. – Siostra Tomaszka już układała plan.

– Świetnie. Przyjadę jutro po siostrę po porannej mszy, przed dziesiątą, i pojedziemy sobie na zamek. Wypijemy kawkę i spróbujemy dowiedzieć się czegoś więcej o ofercie.

– A jeśli będziemy miały szczęście, to może i strażnicy będą ci sami, co w czasie zabójstwa!

ROZDZIAŁ ÓSMY

W KTÓRYM WDOWA I ZAKONNICA
ROZMAWIAJĄ Z MIŁĄ KELNERKĄ,
RAFAŁ BATORY PRZYDAJE SIĘ BARDZIEJ
NIŻ PODKOMISARZ CEGŁA, A SIOSTRA
TOMASZA DAJE SIĘ PONIEŚĆ EMOCJOM

W poniedziałek od rana lało. Temperatura spadła o kilkanaście stopni, a słońce szczerze zakryły chmury, dając znak, że lato bezpowrotnie minęło. Kury chowały się w kurnikach, krowy na łące z rezygnacją żuły mokrą trawę i nawet psom nie chciało się szczekać.

Choć dzisiaj wreszcie miała prawdziwie włączyć się w policyjne śledztwo, wdowa po aptekarzu jakoś nie mogła znaleźć w sobie entuzjazmu. Może to przez tę pogodę. A może przez zakończenie wczorajszej kolacji, które nie tylko nie przyniosło oczekiwanego rozstrzygnięcia, ale skutecznie zwarzyło zebrany humor. Czy to możliwe, że strażnicy nie zamknęli bramy? A jeśli tak – skąd mógł o tym wiedzieć morderca? I ofiara? Jeśli na zamkowy podworec ktoś się włamał – to po co? Czy ofiara przyszła tam razem ze swoim zabójcą? Pytania mnożyły się i wciąż pozostawały bez odpowiedzi. Więc może jednak trzeba dopuścić najbardziej prawdopodobną możliwość –

śmierć Ani Bednarz była po prostu nieszczęśliwym wypadkiem... Ale co ona robiła w nocy na zamku?!

Zirytowana własną niemocą, szczelnie opatulona w kilka przyciasnych kardiganów i uzbrojona w parasolkę, Karolina Morawiecka wyszła z domu. Nagle stanęła jak wryta i zatrzęsła się cała z oburzenia. Nie, to naprawdę nie był dobry dzień!

Oto na środku trawnika, nieopodal sarenki i czapli, leżała dorodna kupa. Psia kupa. Prawdę powiedziawszy, swoimi rozmiarami przypominała raczej kopiec usypany przez kreta...

– Stanisławie! Twój pies zapaskudził mi trawnik! Może jednak coś byś z tym zrobił. – Zirytowana wdowa z wyrzutem spojrzała w niebo, a z odchylonej parasolki spłynął na nią dodatkowy strumyk wody. Nie o taką interwencję jej chodziło! Oczywiście! Najłatwiej jest po prostu zniknąć, zostawić wszystko na głowie żony! I do tego jeszcze takiego psa!

Rozjuszona pani Karolina przypominała teraz byka omotanego w dzianinę, którego jedynym pragnieniem jest nadzieć na swoje rogi matadora. Albo kogokolwiek, kto stanie na jego drodze. O nie! Mordercę trzeba natychmiast złapać, a jesienne deszczowe dni spędzić jak Pan Bóg przykazał – w zaciszu domowych pieleszy. Z krzyżówką i kubkiem gorącej czekolady. Już ona mu pokaże! Albo jej!

Bojowy nastrój wdowy po aptekarzu nie tylko nie minął, ale przeszedł na siostrę Tomaszę. Choć możliwe, że wizja kawy z prawdziwego ekspresu odgrywała tu też pewną rolę... W każdym razie kiedy wysiadły z tico i ruszyły w stronę zamku, obie panie były gotowe na wszystko.

Podkomisarz Cegła – jak dostrzegła wdowa jeszcze na parkingu – zgodnie z obietnicą przysłał techników, pod opieką młodszego aspiranta Batorego, którego sylwetka mokła tuż przed bramą wejściową. Obok, pod parasolem i z papierosem w ręce, przyglądał się ich pracy jakiś strażnik. Nie był to niestety ani

Marian Furgalski, ani pan Bartoszek. Pewnie dopiero na nockę przyjdą.

Młodszy aspirant Rafał Batory przemókł już do suchej nitki. Nie wypadało mu stać pod parasolem strażnika, zresztą ten mu tego nawet nie zaproponował, gapił się tylko spod byka, palił i spluwał od czasu do czasu. Widać zamiast siedzieć w ciepłej i suchej budce strażników, wolał stać na deszczu i marznąć. Tu miał lepszy widok. No i nie obowiązywał go zakaz palenia.

Ani policjant, ani strażnik nie mogli skryć się pod dachem w zamkowym przedsionku, bo zajmowało go trzech techników, którzy klnąc, na czym świat stoi, zabezpieczali ślady wokół zamka w bramie.

Rafał Batory stał więc na deszczu i także przeklinał.

Rano, zaraz po odprawie, podszedł do niego podkomisarz Cegła.

– Moja siostra chodziła do klasy z tą całą Morawiecką Karoliną, z Wielmoży, co to była w dniu znalezienia zwłok na zamku. Kojarzysz pewnie która to? Taka gruba, z zaślinionym psem, z Podzamcza – zagał.

– Jasne, że kojarzę. Spisywałem jej zeznania, to jest tego... – zająknął się Batory i na wspomnienie tamtego wieczoru oblał nieprofesjonalnym rumieńcem.

Adam Cegła ze zrozumieniem klepnął go w ramię.

– W każdym razie byliśmy wczoraj u niej na kolacji...

Biedny podkomisarz. Rafał Batory posłał mu pełne współczucia spojrzenie. Cały wieczór z tą babą! I to u niej w domu, więc i pies pewnie był... Choć z drugiej strony jedzenie pewnie było dobre...

– ...i powiem ci, ale to w zupełnym zaufaniu – ciągnął Cegła – że ona całkiem rozsądnie myśli. Więc gdyby się dzisiaj pojawiła na zamku, na przykład chwilę po dziesiątej, to współpracuj. To jest, chciałem powiedzieć, tajemnic śledztwa zdradzać nie możesz,

oczywiście, ale porozmawiać, wysłuchać to już jak najbardziej można, a nawet należy. Na tym przecież polega praca śledczego, Batory! A, zapomniałem! Będzie z nią taka chuda zakonnica... Tylko mi wstydu nie przynieś. – Na odchodne pogroził mu palcem. Niby w żartach, ale wiadomo, przełożeni nie żartują. Oni po prostu nie grożą wprost... cholera jasna, psiakrew!

I właśnie w momencie, kiedy z czterech męskich gardeł sypały się kolejne przekleństwa (a pełniący służbę strażnik w milczeniu raz po raz spluwał), przed wejściem na zamek pojawiły się wdowa po aptekarzu i zakonnica. Obie ze zgrozą spojrzały na siejących zgorszenie przedstawicieli władzy państwowej.

– Panie Rafałku, to naprawdę nie przystoi. I to jeszcze na służbie. – Pani Karolina surowo spojrzała na policjanta. – Nie przywita się pan? Młody człowieku, naprawdę zaczynam rozumieć, dlaczego jeszcze nie udało się panu znaleźć dziewczyny. I to w pana wieku. I z pana wyglądem. – Tu zaczerwieniła się nieco, ale zaraz zakryła zażenowanie wzmożonym atakiem. – Gdzie pańskie maniery?

Technicy zachichotali, a młodszy aspirant milczał. Właśnie dostawał ataku apopleksji.

– A panowie to niby lepsi? – Parasolka wdowy wycelowana wprost w ubranych w specjalistyczne kombinezony techników nie pozostawiała złudzeń, o kogo chodzi. – Przeklinają w pracy, w miejscu publicznym! Nie przywitają się, choć przecież wypada. O, widzę, że u jednego z panów obrączka jest! Wstyd taki żonie przynosi! W domu też tak zachować się nie umie?

Zapadła cisza. Technicy spuścili głowy, jakby najważniejsze ślady znajdowały się na czubkach ich butów ukrytych w plastikowych ochraniaczach.

– Dzień dobry, pani Karolino. – Rafał Batory wreszcie doszedł do siebie. – Bardzo przepraszam, ale nie spodziewałem się pani tak wcześnie. To jest... pań się nie spodziewałem. Szczęść Boże. –

Spojrzał w stronę chudej postaci w habitcie i nerwowo wyłamał sobie palce. Co on ma, do cholery jasnej, zrobić?! Ukłonić się? Zasalutować? Ręki pierwszy przecież nie wyciągnie, z jakiegoś powodu Cegła mu zabronił. Noż kurna!

– Szczęść Boże – przywitała się zakonnica.

– Szczęść Boże – wymamrotali zawstydzeni technicy.

– Szczęść Boże – przywitał się ogłupiały strażnik.

– Siostra Tomasza. – Zakonnica wyciągnęła rękę do młodszego aspiranta. – Miło mi pana poznać.

– Jakiego Tomasza? – Zdziwieni technicy nerwowo spoglądali po sobie. U nich w jednostce był tylko jeden Tomasz. Czyżby?...

Na szczęście anioł stróż zainterweniował i strugi deszczu zagłuszyły ich szepty.

Strażnik wyciągnął z pomiętej paczki papierosa, zapalił i głęboko się zaciągnął. Odruchowo chciał splunąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Panie Rafałku, no już dobrze, dobrze. – Zwrócenie uwagi wyraźnie poprawiło nastrój wdowie po aptekarzu i teraz znowu przeistoczyła się w ucieleśnienie cnót. – Od takiego deszczu to każdemu się może zdarzyć zły humorek. Zresztą pan nie powinien tak tu moknąć... Ja oczywiście rozumiem, służba nie družba, ale potem grypa murowana. Trzeba koniecznie wypić herbatę z miodem i cytrynką. Tylko niech pan pamięta, panie Rafałku drogi, że soku z cytryny nie dajemy do wrzątku! Tylko do ostygniętej troszeczkę herbatki go wlewamy. I dopiero na końcu miód – pouczyła. – Koniecznie proszę z nami do Herbovej, tam się może uda takiej napić. No już!

– I pan – to powiedziawszy, skinęła głową w stronę strażnika – może być chory od tego stania na deszczu. Dobrze, że parasol ma. Ale radziłabym się schować jak najszybciej. I aspirynę jakąś zjeść.

– Pani Karolinko, pani to zawsze ma dobre pomysły. – W głowie młodszego aspiranta wciąż wybrzmiewały groźne

instrukcje podkomisarza Cegły, a i perspektywa kilku chwil w ciepłym wnętrzu Herbovej wydawała się całkiem przyjemna. Nawet w takim towarzystwie. – Chłopaki już w zasadzie skończyli. – Tu policjant posłał zdumionym technikom groźne spojrzenie. – Chwilę mogę z paniami porozmawiać przy herbatce. – A do stojących w bramie mężczyzn rzucił: – Mordy w kubeł, chłopaki! Jak skończycie, możecie poczekać w samochodzie. Pół godzinki i jestem. – I ruszył w stronę zamkowej restauracji. Jakoś parę minut z tymi babami wytrzyma, a przynajmniej się rozgrzeje i trochę osuszy. No i ta herbatka to niegłupi pomysł...

Wnętrze Herbovej było absolutnie puste. Wiadomo, październik. Do tego poniedziałek rano. Deszczowa pogoda też nie sprzyja wędrówkom za miasto. Dwie znudzone kelnerki szepczące dotąd za barem z ciekawością spojrzały na wchodzących.

Razem rzeczywiście musimy wyglądać intrygująco – pomyślała Tomasz. – *Chuda jak szczapa wysoka zakonnica, sporych rozmiarów i przeciętnego wzrostu starsza pani oraz ociekający wodą wysoki młody policjant.* Niezła grupa śledcza – mruknęła.

– O, tu na pewno będzie dobrze, prawda? – Pani Karolina wybrała czteroosobowy stolik stojący w samym rogu sali, blisko malutkiego okienka, głęboko osadzonego w murze, będącego kiedyś otworem strzelniczym. – Usiądziemy sobie na chwilkę, porozmawiamy w spokoju, a pan Rafałek troszkę się zagrzeje i przynajmniej się nie rozchoruje. Poprosimy o karty, drogie panie – rzuciła w stronę baru tonem światowej damy. Wiadomo, że Stanisławem chodziło się do restauracji. I to nawet w Krakowie!

Aniele Boży, pilnuj mnie! Jeśli zamówi za mnie, nie wytrzymam. Siostra Tomasz bała się, że za mało ma pokory. (Rafał Batory nie myślał o niczym. Chciał jakoś przetrwać i nie podpaść Cegle).

Na szczęście, kiedy młoda i zgrabna szatynka podała gościom

menu, Karolina Morawiecka na chwilę zamilkła. Zaczęła uważnie studiować kartę. Programy o gotowaniu to jedno, ale inspiracji kulinarnych należy szukać zawsze i wszędzie.

Sałatka z grissini – muszę spróbować sama je zrobić. Ciasto drożdżowe nawet mi wychodzi. Krem z borowików, klasyka, to każdy potrafi. No, prawie... – Przeglądnęła szybko pierwsze strony i wreszcie doszła do deserów.

– Dla mnie cappuccino i ciasto czekoladowe z musem malinowym – rzekła z godnością.

– Och, dla mnie to samo – jednocześnie powiedzieli zakonnica i policjant.

– Czyli trzy razy kapuczinka i trzy ciasteczka czekoladowe, tak? – upewniła się kelnerka.

– Tylko – w ostatniej chwili Karolina Morawiecka wróciła do formy po lekturze i groźnie rzuciła w stronę odchodzących długich nóg w krótkiej spódniczce, bardzo krótkiej: – proszę mi nie posypywać mojej kawy żadną czekoladą w proszku! Ani kakao!

Niespełna piętnaście minut później jedli w milczeniu. Zakonnica delectowała się kawą, która na plebanii w Skale uchodziła za zbytek i rozpustę. Pan Rafałek sechł, tajał i intensywnie zastanawiał się nad tym, o czym do cholery ma z tymi babami rozmawiać. O co mogło chodzić temu cholernemu Cegle?

– Wie pan, panie Rafałku, ta sprawa jest naprawdę zagmatwana... – Pierwsza odezwała się wdowa po aptekarzu. – Trudno się w tym wszystkim rozeznąć, prawda? Niby wszystko jasne, dziewczyna spadła, nieszczęśliwy wypadek, nikt nie ma motywu, ale tak naprawdę nic nie ma sensu...

– Tak. – Nie wiedzieć czemu, Rafał Batory lekko się wystraszył.

– Wiem od podkomisarza Adasia, że podejrzewaliście jej narzeczonego, tego Mateuszka Bienia, no i strażników. Ale nie

znaleźliście żadnych dowodów przeciwko nim...

– Oprócz śladów DNA pana Bartosza – wtrąciła szybko siostra Tomasa.

– Ale te ślady tylko potwierdzają zeznania, że Skalski próbował ją, to znaczy ofiarę, reanimować – wyjaśnił policjant.

– To wiemy. – Pani Karolina pokiwała w zamyśleniu głową. – Zresztą ten Bartoszek Skalski to mi na mordercę absolutnie nie wygląda! Taki roztrzęsiony stał, taki blady. Nawet przywitać się za bardzo nie był w stanie. To delikatny chłopak, polonistykę studiował. W Krakowie!

– Więc czemu pracuje na zamku jako strażnik? – zdziwiła się zakonnica.

– Ach! – Pani Karolina nie znosiła tego uczucia, kiedy orientowała się, że nie wie wszystkiego o wszystkich. – Nie jestem pewna. Coś tam słyszałam, że studia rzucił, po trzecim roku chyba. Ale czemu, to nie wiem... Trzeba pana Marianka dopytać. Albo z Edwardkiem Stachlakiem porozmawiać.

– Może go wyrzucili. – Młodszy aspirant wczuwał się w pracę śledczego. – Bo to niełatwe studia są. Trzeba dużo czytać...

– Może rzeczywiście – skwitowała pani Karolina i zmieniła temat: – Jeśli więc odrzucimy ukochanego i strażników, to kto nam zostaje? Jak pan, panie Rafałku, myśli?

– Teoretycznie mogły ją zabić kelnerki. To znaczy oczywiście nie razem, ale któraś z nich. Problem w tym, że alibi każdej zostało sprawdzone. I to bardzo starannie. I nic, ale to nic nie wskazuje na to, żeby złożyły fałszywe zeznania. – Wyjął z kieszeni służbowy notatnik i w zamyśleniu przejrzał uwiecznione w nim informacje. – Siódmego września wyszły z pracy po dziewiętnastej, wszystkie cztery. Pożegnały się z Bartoszem Skalskim, który życzył im miłego wieczoru i zamknął za nimi bramę. Nie wiedzą, czy przekręcił klucz w zamku, ale najprawdopodobniej tak. Alinie Stachowiak, tej, co nam dzisiaj

kartę podawała – dorzucił tonem wyjaśnienia i odruchowo spojrzał na kelnerkę stojącą za barem – wydawało się, że pamięta ten dźwięk, bo to taki charakterystyczny zgrzyt. Dwie z nich, to jest Patrycja Rosiak i właśnie Alina Stachowiak, zeszły razem z Anną Bednarz na dolny parking, na przystanek busa, bo chciały jeszcze do Cianowic podjechać, zakupy jakieś zrobić. Paragonu nie miały, ale potwierdził to kierowca busa oraz monitoring w chińskim markecie. Wróciły do domu po dwudziestej drugiej i teoretycznie mogłyby zabić, bo czas zgonu szacowany jest przecież do trzeciej w nocy, ale rodzice potwierdzają, że wróciły. Sąsiedzi też – dodał, widząc, że wdowa po aptekarzu już otwierała usta.

– Ale przecież mimo wszystko mogły wyjść w nocy – zamyśliła się siostra Tomasza.

– Jedna z nich, Patrycja Rosiak, blondynka, rozmawiała na czacie prawie do trzeciej. Sprawdziliśmy połączenia, IP komputera się zgadza. I, oczywiście, potwierdzają to jej rodzice. Z kolei Alina Stachowiak – policjant posłał kelnerce nudzącej się za barem długie spojrzenie – ma małego siostrzeńca, co to razem z nimi w domu mieszka i do przedszkola zaczął właśnie chodzić. Jelitówki jakieś dostał czy coś... W każdym razie i ona, i siostra, i szwagier, i dziadkowie byli prawie całą noc na nogach. Dyżury robili przy małym...

– No tak, to rzeczywiście stanowi wiarygodne alibi. – Zakonnica pokiwała głową ze zrozumieniem. Przez dwa lata pracowała w przedszkolu i niejednej jelitówki była świadkiem. A nawet świadkową, poprawiła się w myślach, choć jakoś jej to weselnie zabrzmiało. – Co z tą biedną Anią Bednarz? Dotarła w ogóle do domu?

– Tak, przyjechała tym samym busem, którym dziewczyny jechały do Cianowic, ale wysiadła w Skale. Była w domu tuż przed dwudziestą, zjadła kolację i powiedziała ojcu, że jeszcze

na chwilę wychodzi. Nie powiedziała dokąd. Stary Bednarz pił pod mecz, a potem zasnął. Nie pamięta o której. O tym, że córka nie wróciła do domu, nie wiedział, dopóki nie pojawiła się policja z informacją o śmierci dziewczyny...

– Och – dopiero teraz zrozumiała siostra Tomasza. – Czyli Anna Bednarz nie miała matki. Nie wiedziałam o tym, na pogrzebie nie zwróciłam uwagi. A jak w takim razie znalazła się ponownie na zamku w Pieskowej Skale? Raczej nie przysła na nogach. Rower też chyba odpada...

– Samochód ojca – wyjaśnił policjant. – Znaleźliśmy go na dolnym parkingu. Zabezpieczyliśmy go, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów wskazujących na udział osób trzecich. To jest na udział w czynie karalnym.

– Czyli przyjechała sama. Na spotkanie z zabójcą.

– Czyli – wdowa surowo spojrzała na rozmówców i władcym tonem próbowała przypomnieć, że to ona przecież prowadzi śledztwo i wyciąga wnioski – została nam jedna kelnerka.

– Tak, też tu dzisiaj pracuje, to ta farbowana na rudo. Nazywa się Zuza Soha, to znaczy Zuzanna. – Młodszy aspirant nerwowo przekartkował kartki w notesie i odświeżył pamięć. Wzrok pani Karoliny znowu wytrącił go z powoli odzyskiwanej równowagi i Rafał Batory poczuł się niepewnie. – Lat dwadzieścia pięć, mężatka. Mieszka z dwójką dzieci, mężem Radosławem i rodzicami w domu przy ulicy Granicznej w Wielmoży. Małżonek potwierdził, że wróciła do domu około dwudziestej, zrobiła dzieciom kolację, wykąpała małe i położyła do łóżka około dwudziestej pierwszej. Mąż oglądał mecz i musiała być cisza w domu. Ale nie pił za wiele i z całą pewnością potwierdził, że po meczu i studiu kibica żona już spała.

– Ale w nocy mogła wstać i pójść na zamek. – Siostra Tomasza szybko analizowała wszystkie informacje.

– Niby tak, ale nikt z domowników nic podejrzanego nie

słyszał. Ani z sąsiadów. – Młodszy aspirant znów ubiegł pytanie pani Karoliny. – No i technicy nie znaleźli żadnych śladów łączących ją z miejscem zbrodni. Nie mamy też motywu...

– Mimo to powinnyśmy się jej przyjrzeć. – Wdowa posłała zakonnicy pełne gotowości spojrzenie. – W końcu nigdy nic nie wiadomo... Pan, panie Rafałku kochany, powinien już iść do tych biednych techników. Przy policjancie to żadna z kelnerek nie będzie chciała z nami porozmawiać, a we dwie z siostrzyczką niewątpliwie stworzymy atmosferę pełnego zaufania. Jeśli tylko będę potrzebować jakichś informacji od pana, to zadzwonię. Tylko proszę mi podać swój numer, bo go nie mam. Najlepiej komórkowy. Numer na komendę znam oczywiście.

Młody policjant przez chwilę chciał pomylić cyfrę albo nawet i dwie, ale uważne spojrzenie zakonnicy i respekt przed panią Karoliną powstrzymały go przed tym karkołomnym manewrem. Zapisawszy go drżącą ręką, podał wyrwaną kartkę wdowie po aptekarzu i dla zatarcia ewentualnego złego wrażenia wymamrotał, że on oczywiście zaprasza i uści.

Kiedy pożegnał się z paniami i z wyraźną ulgą opuścił Herbową, Karolina Morawiecka przysunęła się do zakonnicy.

– I co siostra na to? Może mamy podejrzaną!

– Oczywiście, niczego nie możemy wykluczyć. Ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to było bardzo prawdopodobne... Cóż, z Bożą pomocą może trafimy na jakiś inny trop. A ten pan Rafałek to bardzo się dzisiaj przydatny okazał. Może nawet bardziej niż pan Adam wczoraj.

– Och, od początku wiedziałam, że ten chłopak ma potencjał, tylko trzeba go naprowadzić na właściwe tory! Ja to nie mam zaufania do chudych, ale jak zobaczyłam, jak on je, od razu pomyślałam, że jednak będą z niego ludzie. Bez urazy, siostro, ale z siostrą było podobnie...

– Przepraszam, czy panie sobie jeszcze czegoś życzą? Bo ten

policjant już zapłacił, ale może jeszcze coś podać? – spytała kelnerka, która nagle zmaterializowała się przy stoliku.

– A wiesz, moje dziecko, że mamy taką małą sprawę... Może sobie z nami usiądziesz na chwileczkę, ruchu nie ma... – Wdowa złapała dziewczynę za łokieć i w zasadzie siłą usadziła na wolnym krześle. – Ładny chłopak, ten policjant. Wolny, fajnej dziewczyny nigdzie znaleźć nie może, a żony szuka. I to nie do gospodarstwa. Sam mieszka...

Przynęta zadziałała, bo kelnerka lekko się zarumieniła. Miła ta starsza pani, no i siostra zakonna, choć wygląda jak tyczka, to przecież nic złego człowiekowi zrobić nie może. A ten policjant to już przy spisywaniu zeznań wpadł jej w oko, tylko jak sierota jakiś zagaic nie umiał. Pytał o alibi i o to, jaką dziewczyną była ta cała Bednarzówna. Żeby nie wyjść na zołzę albo zazdrośnicę, złego słowa o niej nie powiedziała... Zresztą o zmarłych źle mówić nie wypada. A teraz, widać, nadarza się świetna okazja, żeby się czegoś o tym Rafale dowiedzieć.

– Pani Alina, tak? – upewniła się zakonnica. – Siostra Tomasza jestem, ze Skały.

– Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu ze Skały. To jest... w Wielmoży teraz mieszkam.

– Alina Stachowiak, szczęście Boże, dzień dobry. Ja panią znam, pani mieszka na Podzamczu i ma tego psa... Patrycja mi mówiła, że niedawno panią na spacerze z nim spotkała i chwilę porozmawiała.

– Zgadza się. To bardzo miła dziewczyna, choć te włosy... – Morawiecka westchnęła znacząco i odruchowo sięgnęła ręką do swojej fryzury, która była jak zwykle nienagannie utrwalona. – Ale powiedziała mi coś, co podejrzewałam od samego początku: że ta Ania Bednarz (niech jej ziemia lekką będzie) to wcale nie była taka święta, na jaką wyglądała.

– No tak. – Alina odczuła ulgę. Skoro sekret został już

wyjawiony, mogła spokojnie podzielić się informacjami. Nachyliła się nad stolikiem i zaczęła szeptać. – Prawdę mówiąc, była okropna. Odkąd Mateusza dorwała, dopiero zaczęła zadzierać nosa, że teraz to niby najważniejszą panią w Skale będzie. Przed nim zgrywała niewiniątko, a tu prawie wszystkich klientów podrywała... – dorzuciła gorzko. – A ja już dwadzieścia dwa lata mam skończone i chłopaka żadnego. Już się ze mnie wszyscy w domu śmieją, że stara panna jestem.

– Oto, do czego prowadzi wychowanie w patriarchalnym społeczeństwie! – huknęła znieczeka siostra Tomasza. – Małym dziewczynkom opowiada się o księżkach, bez których życie księżniczek sprowadza się do bezcelowego snu albo czekania w wieży. Kobietom wmawia się od początku, od samych narodzin, że ich największym sukcesem jest wyjście za mąż. I to im wcześniej, tym lepiej!

– Moja mama mawia, że kobiety to niewolnice miłości – wyszeptwała dziewczyna.

Wdowa po aptekarzu natomiast nie powiedziała ani słowa. Ponieważ, choć w zasadzie jej się to nie zdarzało, z wrażenia oniemiała.

– No jasne! Jak mają nimi nie być, skoro całe życie, i to już od kołyski!, przekonuje się je, że ich powołaniem jest tylko, podkreślam: tylko!, małżeństwo! Jakby bez tego nie miały żadnej wartości!

Takiego obrotu spraw nikt się nie spodziewał. Taki obrót spraw był na tyle zaskakujący, że ani wdowa po aptekarzu, ani tym bardziej młodzianka kelnerka z Herbovej nie odważyły się przerwać rozemocjonowanej zakonnicy. Słuchały jak zakłute coraz prędzej padających słów. I coraz głośniejszych.

– To nie przypadek, że najważniejszą bajką dla kobiet jest historia Kaja o zlodowaciałym sercu i Gerdy, która pokona wszelkie przeszkody, żeby mu to serce odtajało. Bo tego właśnie

nas, kobiety, uczą: że mamy całe swoje życie poświęcać dla mężczyzny! Robić wszystko, by go uratować, nawet gdy on tego ratunku nie chce!

Siostra Tomasza wzięła głęboki oddech i chyba wreszcie dostrzegła zdumienie na twarzach siedzących obok towarzyszek, bo na wszelki wypadek dorzuciła:

– To słowa Akunina, czy raczej Anny Borisowej^[10].

Komentarz ten nie tylko niczego nie wyjaśnił, ale jeszcze bardziej zagmatwał: jaki Akunin, jaka Borisowa? Zakonnica zbyt jednak była pogrążona w myślach, zbyt mocno się zaangażowała w swój monolog, by to dostrzec.

– No i oczywiście – kontynuowała – nigdy nie udaje się sprostać społecznie narzuconym oczekiwaniom. Wykształcenie, kariera – to wszystko jest nieważne, jeśli nie ma się mężczyzny u boku. A jeśli już się go znajdzie, to znowu coś jest nie tak. Na przykład nie ma dzieci. Albo tylko jedno. Albo tylko dwójka, bo jak się ma jedno, to się przecież nic nie wie o życiu. Albo kobieta zajmuje się dziećmi i się nie rozwija, albo pracuje i jest wyrodną matką... Albo jakimś cudem godzi to wszystko i wtedy jest chyba najgorzej, bo na pewno dzieje się to jakimś kosztem! Naprawdę już najwyższy czas, żeby kobiety zobaczyły, że spełnianie oczekiwań innych, nawet własnych rodziców, nie ma najmniejszego sensu!

Karolina Morawiecka i Alina Stachowiak zdumione patrzyły na siostrę Tomaszę, której gniewna przemowa absolutnie nie pasowała do habitu. Czy w ogóle przystoi mówić takie rzeczy na głos? Zakonnicy?!

– Nie dziwcie się, drogie panie. To, że jestem w zakonie, nie znaczy, że przestałam być kobietą! Choć skończyłam studia, polonistykę dokładnie, nie miało to większego znaczenia, bo byłam sama.

W zasadzie ciekawe czemu – zastanawiała się w duchu

kelnerka, obserwując zaróżowioną z emocji twarz zakonnicy. – *Siostra Tomasza nie jest brzydka. Skórę ma gładką, zęby białe i równe i w ogóle twarz ma ładną, o regularnych rysach. Co prawda jej włosów nie widać, więc może tu kryje się haczyk...*

Chłopaka nie znalazła, to i do zakonu poszła – zrozumiała od razu pani Morawiecka.

Na szczęście zakonnica nie umiała czytać w myślach i dzięki temu spokojnie kontynuowała.

– Kiedy odkryłam swoje powołanie, musiałam walczyć niemal ze wszystkimi. „Wybrała zakon, bo męża znaleźć nie mogła”. „Ucieka przed prawdziwym życiem”... Tak, nasłuchiłam się tego typu komentarzy. I nie mam wątpliwości, że nie byłoby tak, gdybym była mężczyzną! Oczywiście, nie ma nic złego w wyjściu za mąż, ale niech nie pozwoli sobie pani nigdy wmówić – tu spojrzała z mocą na młodą kelnerkę – że bez mężczyzny u boku znaczy pani mniej! Starą panną to się bywa dopiero na starość. I, żeby było jasne, nie ma w tym nic złego! – W emocjach uderzyła ręką w stół, aż podskoczyły puste filiżanki.

– Kurczę, podoba mi się siostra! – Alina aż zarumieniła się na twarzy. – I jeśli tylko będę mogła jakoś pomóc, w czymkolwiek, to proszę śmiało pytać!

Siostra Tomasza uśmiechnęła się, wciąż lekko zakłopotana swoim wybuchem, i otworzyła usta, żeby zadać pytanie. Tym razem nie zdążyła.

– Czy Ania Bednarz mogła mieć romans? – Wdowa po aptekarzu natychmiast wykorzystała sytuację.

– Tak Bogiem a prawdą, to ją o to podejrzewałyśmy z Patrycją, tą blondynką. Raz nawet ją śledziłyśmy, ale nie zauważyłyśmy nic podejrzanego. Zresztą jak już dorwała tego Mateusza, to wiadomo, że nie ryzykowałaby. To nie była głupia dziewczyna.

– Skąd w ogóle takie podejrzenia, że nie była mu wierna? – zaciekała się siostra Tomasza.

– Bo przez kilka miesięcy chodziła jakaś inna, zamysłona, ale jednocześnie szczęśliwa. Głowę inaczej trzymała i inaczej się malowała do pracy. Nie wiem, jak to powiedzieć nawet. Tak skromniej jakoś... A to było już po tym, jak z Mateuszem chodzić zaczęła, więc to raczej nie z jego powodu. Bo on lubił, jak się Anka mocniej malowała. Ale to nic konkretnego. – Kelnerka wróciła do tematu niewierności. – Raczej przeczucia.

– A co powiesz o tej trzeciej dziewczynie, tej rudej, co to dzisiaj z tobą pracuje za barem? Lubili się z Bednarzówną?

– Przyjaźnić to się nie przyjaźniły. O napiwki głównie szło, bo Anka nie zawsze się z nami dzieliła. A tu zasada jest taka, że wszystkie napiwki równo między sobą na koniec dnia dzielimy. Choć to też domysły raczej, bo za rękę jej nie złapałyśmy. Zuzka ma dwójkę dzieci i potrzebuje pieniędzy, bo mąż nie zawsze jej daje.

– Powiedziałaś, że głównie chodziło o napiwki. – Siostra Tomasa była czujna. – Czy był jeszcze jakiś inny powód?

– Nooo... – rzekła z wyraźnym ociąganiem kelnerka. – Jeszcze o Bartosza Skalskiego poszło. Bo, wiedzą panie, on się kiedyś, jeszcze przed ślubem, strasznie Zuzce podobał. Jeszcze od podstawówki, choć on starszy o rok. Raz się ponoć nawet całowali po dysce w remizie, to jest – poprawiła się – po dyskotecę. Z sześć lat temu to było, jeszcze jak studiował. Ale on jej potem powiedział, że myśli o innej i nie chce jej, czyli Zuzy, oszukiwać. No to wzięła i wyszła za Radka. A do Bartosza pozostał jej sentyment. I jak potem nagle rzucił studia i zaczął pracować na zamku, to się nam wydawało, że Anka na niego jest cięta. No, znaczy, że go podrywała. Ale o coś się pokłócić musieli, bo potem unikał jej jak ognia. I Zuzka zła na nią była o to. Zresztą my tu wszyscy Bartosza lubimy.

– O co była zła? O to, że podrywała, czy o to, że się pokłócili? – spytała rzeczowo wdowa po aptekarzu.

– Nooo, znaczy się, mnie się wydaje, że ona trochę zazdrosna była. Znaczy Zuzka o Ankę. Że Bednarz tak go podrywała chamsko, trochę z niego kpiła, dogryzała mu. A on to znosił i milczał. I nawet – tu zniżyła głos do absolutnego szeptu, którego nie powstydziliby się największy grzesznik w konfesjonale – na tydzień przed śmiercią Anki to się strasznie pokłóciły. Słyszałam, jak Zuzka wołała, że się niedługo doczeka...

– Co konkretnie słyszałaś? – dopytywała wdowa po aptekarzu.

– Mogłabyś może zacytować, co mówiła? – spytała zakonnica.

– No... – wyszeptała Alina. – Dobrze to pamiętam, bo jak się okazało, że Bednarz nie żyje, to się nawet zastanawiałam, czy Zuzka nie miała z tym coś wspólnego. Ale policja ją sprawdziła i nic. Więc mogę powtórzyć, ale to tak – zastrzegła – w tajemnicy, między nami. Nawet policjantom tego nie powiedziałam, żeby jej kłopotów nie robić. No więc powiedziała: „Jeszcze się doigrasz!”. A może: „Już ty się doigrasz”? – Alina nagle straciła pewność. – Tego doigrywania się jestem pewna, bo to rzadkie słowo w sumie.

Pani Karolina i siostra Tomasza wymienili uważne spojrzenia. Zazdrość to motyw, na który stawiały od początku! Tylko czy z takiego powodu można zabić? Bo w zasadzie młoda kelnerka nie sprecyzowała, o co dokładnie Soha była zazdrosna...

– Bardzo ci dziękujemy, moje dziecko. – Pani Karolina posłała kelnerce przyjazny uśmiech. – Naprawdę bardzo nam pomogłaś. Jak będziemy miały jeszcze jakieś pytania, to pozwolę sobie cię odwiedzić, dobrze? Tylko może nie tutaj, a w domu... Tak będzie dyskretniej.

– Oczywiście, proszę wpadać. – Zaróżowiona z emocji dziewczyna zwróciła się do obu kobiet. – Ja na kolonii Krótkiej mieszkam. Pod dwudziestką, taki zielony dom.

Wstała, posprzątała puste naczynia i podeszła do baru, gdzie znudzona i jednocześnie wyraźnie umierająca z ciekawości

rudowłosa koleżanka już na nią czekała.

– O czym wyście tak gadały? Znasz je? Dobrze, że kierowniczkę nie ma, bo by ci dała za siedzenie z gośćmi przy stoliku. – Usłyszały wdowa i zakonnica, wciąż jeszcze zajmujące swoje miejsca.

– Całkiem sympatyczna dziewczyna z tej Alinki. – Pierwsza odezwała się zakonnica. – I sensowna. Szkoda tylko, że ma takie patriarchalne postrzeganie rzeczywistości. Choć z drugiej strony rozumiem, że taka młoda i ładna, to marzy o miłości.

– Coś mi się zdaje – Morawiecka wykazała się nie tylko znajomością ludzkiej natury, ale i doskonałym zmysłem obserwacji – że nie tylko siostra tak uważa.

– Kto wie, pani Karolino, kto wie...

– Mówię siostrzyczce, że z tej mąki będzie chleb! Już moja w tym głowa!

– A może nawet kołacz weselny?

Zachichotały radośnie.

– Całkiem owocny poranek. – Siostra Tomasza przeszła do meritum. – Myślę, że mamy wreszcie jakiś trop.

– Ruda miała motyw i sposobność – analizowała na głos pani Karolina. – Ale jakoś nie umiem sobie wyobrazić, żeby matka aż tak ryzykowała. Przecież jeśli ją złapią, przez wiele lat dzieci nie zobaczy!

– Chyba że liczyła na to, że nikt jej nie złapie.

* * *

Gdy wyszły z restauracji, świeciło słońce, a po deszczu zostały tylko kałuże. W bramie stał znudzony strażnik. Po zniknięciu techników mógł już tylko palić i pluć. Na widok znajomych twarzy lekko się ożywił.

– Do domu już? – zagaił. – Dobrze ciastka tam mają w Herbovej,

co nie?

– Rzeczywiście, dobre. A pan do której ma dzisiaj służbę?

– Do dziewiętnastej samej. Potem Bartosz Skalski mnie zmienia, a kolegę, co tam przy wejściu na komnaty pilnuje, Marian Furgalski.

– Znamy się z panem Mariankiem, znamy. To mój sąsiad, na Podzamczu mieszka. A pana Bartoszka to na pogrzebie spotkałam. Zresztą też obok mnie mieszka, na Herianówce. Taki chłopak nerwowy, cichutki... – zarzuciła przynętę wdowa.

– Powiem paniom, że cichutki to on zawsze był. Dziwak taki, książki na służbie czytał, żeby mu się nie nudziło! – W tonie męczyzny wyraźnie pobrzmiwała nuta autentycznego zdziwienia. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe. On na samą myśl o czytaniu już się nudził. I nawet odczuwał lekkie mdłości.

– Panie kochany, są gorsze rzeczy w życiu. – Pani Karolina w pełni go rozumiała, ale głupio było jej się do tego przyznać na głos. Zwłaszcza przy siostrze Tomaszy. – Na przykład śmierć tej biedaczki...

– Rzeczywiście! Taka młoda dziewczyna! A i ładna! Tak się tu do nas wszystkich uśmiechała, zagadała zawsze. Gdyby nie to, że zaręczona była, człowiek by pomyślał, że ma jakieś szanse. – Na wspomnienie atrakcyjnej dziewczyny aż podciągnął pas w służbowych spodniach i wypiął pierś do przodu. (Choć w zasadzie nie tyle pierś, co brzuch, który i tak mocno wystawał).

– Och... – Uśmiechnęła się wdowa na zachętę.

– Aha... – Zarumieniła się zakonnica.

– I tylko do Bartosza była inna, mniej chętna, to jest tego... chciałem powiedzieć... miła. – Odetchnął z ulgą, że znalazł właściwe słowo.

– Ciekawe czemu – uprzejmie zagaiła pani Karolina.

– Ja tam nie wiem, ale chyba się o coś pokłócili. Jak pytałem Skalskiego, to mówił, że nie jest w jego typie. Hahaha! Jak taka

dziewczyna mogła nie być w czymkolwiek typie? Ja się pytam! To przez te książki, mówię paniom. Coś mu w głowie zrobiły...

Panie skwitowały to stwierdzenie uśmiechami, z których jeden był pełny zrozumienia, a drugi przypominał raczej grymas.

– To my już pójdziemy, szczęść Boże, do widzenia. – Siostra Tomaszka pociągnęła wdowę za łokieć.

– Do widzenia panu, proszę koniecznie pozdrowić od nas pana Bartoszkę i pana Marianka! – Karolina Morawiecka nie rozumiała, czemu zakonnica ciągnie ją w stronę parkingu. Może głodna? Niby przed chwilą jadły, no ale ciasto nie posiłek, a tu już prawie dwunasta i człowiek powinien zjeść porządny obiad. Ale przecież na tej plebanii to nawet mysz by się nie najadła. – Przypomniała sobie ze zgrozą potrawy akceptowane przez proboszcza Walerego. Jak go nazywała siostra Tomaszka? Asceta?

Miłosierdzie zakrólowało w sercu wdowy po aptekarzu, a padające na jej twarz promienie październikowego słońca utwierdziły ją w tym geście anielskiej dobroci.

– Może pójdziemy na chwilę do mnie? – zaproponowała przyjaźnie. – Bez świadków i na spokojnie omówimy sobie te wszystkie informacje. Gęsiny mam jeszcze troszeczkę... Akurat na dwie skromne porcyjki.

Alleluja! Chwała Panu na wysokościach! O Święty Wawrzyńcze, patronie kucharzy, módl się za nami! O Święta Marto z Betanii, o Święta Wiborado!

Słońce, które zalewało swym światłem zamek i wzgórze, okoliczne lasy i wapienne skały, nagle przyblakło, a śpiew ptaków ukrytych w koronach drzew stracił na swej urodzie. Nic bowiem nie mogło stanowić konkurencji dla słów pani Karoliny, na które w cichości ducha siostra Tomaszka liczyła od samego rana.

– Chodźmy – wyszeptała wyraźnie wzruszona zakonnica.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

PEŁEN PRZERYWNIKÓW, W KTÓRYM
ANTYKWARIUSZ POMAGA POSPRZĄTAĆ,
WDOWA I ZAKONNICA SNUJĄ DOMYSŁY,
A MODLITWY PANI HALINKI DO ŚWIĘTEGO
WAWRZYŃCA DIAKONA I ŚWIĘTEGO KAROLA
BOROMEUSZA ZOSTAJĄ WYSŁUCHANE

Gdy tylko wysiadły z białego tico, które dla wygody pani Karolina zaparkowała pod lasem na wprost domu, usłyszały stękanie dobiegające zza ogrodzenia sąsiadów. Na wszelki wypadek (w końcu strzeżonego Pan Bóg strzeże) obie bezszelestnie podeszły do siatki krakusów. I zobaczyły scenę tak tajemniczą, tak niezrozumiałą i dziwną, że blakły przy niej wszystkie pytania dotyczące śmierci Anny Bednarz.

Na ławce, w głębi podwórka, póleżała młodsza pani Karolina. W ręce trzymała książkę, ale nie czytała jej teraz, skupiona na wydawaniu pozornie logicznych komend swojemu mężowi. Ten zaś, co wprawiło obserwatorce w stan najwyższego zdumienia, powoli poruszał się po trawniku. Na czworakach. Na dodatek na rękach miał ewidentnie damskie rękawiczki ogrodowe – różowe w niebieskie kwiatki.

Brakujące elementy układanki trafiły wreszcie na swoje

miejsce i w głowie Karoliny Morawieckiej wykiełkowała myśl, która od dawna w niej dojrzewała. A myśl ta była straszna i mrożąca krew w żyłach. Wdowa po aptekarzu ze zgrozą skonstatowała: *Gender!* Wiadomo, weganie.

Równouprawnienie! – ucieszyła się w tym samym czasie siostra Tomasza.

– Jeszcze na lewo, obok tych różowych kwiatków! Tylko w nią nie wejdź, bo cię do domu nie wpuszczę – pokrzykiwała zrelaksowana młodsza pani Karolina.

– Eee – wystękał antykwariusz. – Nie widzę.

Nic dziwnego – pomyślała siostra Tomasza, patrząc na wielką frontową rabatę. – *Przecież tu wszystkie kwiatki są różowe...*

Ciekawe, czy chodzi o zawilce, czy o hortensje – zastanawiała się Karolina Morawiecka. – *Róże należy wykluczyć, bo te każdy potrafi rozpoznać. Z kolei werbena patagońska to bardziej fiolet. Chociaż, czy Stanisław odróżniłby fiolet od różowego?*

– Ze dwadzieścia centymetrów od ciebie. Uważaj! – Młoda sąsiadka krzyknęła tak dramatycznie, że wdowa po aptekarzu i siostra Tomasza zamarły na moment. Wciąż nie rozumiały rozgrywającej się na ich oczach sceny. Dlaczego pan Jacuś pełzał po ogrodzie na kolanach? Czego szukał? I, co najdziwniejsze, dlaczego robił to w damskich gumowych rękawiczkach?!

– Dzień dobry sąsiadom. – Karolina Morawiecka nie wytrzymała. – A co to pan Jacuś tak na czworakach chodzi po mokrej trawie? Jeszcze się reumatyzmu nabawi.

– Dzień dobry pani. I szczęść Boże. – Krakuska wstała z ławki i ruszyła w stronę furtki. – Zmuszam męża do sprzątania po psach. W końcu są nasze, czyli jego też. A ja nie mogę czytać w spokoju, jak mam świadomość, że obok leżą kupy.

Ulga zmieszana z rozczarowaniem na moment zagościła na obliczu wdowy po aptekarzu. Jednak lata praktyki robią swoje i nim młodsza sąsiadka podeszła do ogrodzenia, na twarzy pani

Karoliny znowu pojawił się uprzejmy uśmiech.

– Doskonale to rozumiem. – Uśmiechnęła się zakonnica. – Trudno skupić się na lekturze, kiedy myśli wędrują w inne miejsce.

– A co pan Jacuś robi potem z tymi... brudami? – Choć pani Karolina była żywo zainteresowana tematem, słowo „kupa” nie przeszło jej przez usta. W głębi duszy układała już sprytny plan. Nie żeby sama na czworakach miała sprzątać po Trufli, co to, to nie! Ale może pan Rafałek okaże się tak miły i pomoże starszej pani... Zresztą, czyż obowiązkiem policji nie jest pomóc obywatelom?

– Do lasu wyrzucam – wyznał lekko zawstydzony antykwariusz, wstając z kolan i zdejmując z ręki gumową rękawicę. – Albo na łąkę wynoszę, tam koło mrowiska.

– Na szczęście po naszych pieskach dużo tego nie ma – uśmiechnęła się jego żona. – Pani ma zapewne większy problem – rzuciła niewinnie w stronę wdowy.

Ani Robin Hood, ani sam Wilhelm Tell nie trafiłyby celniej. Rzucone ot tak, od niechcienia zdanie trafiło w najczulszy punkt i ubodło panią Karolinę do żywego. Zniosła to nad podziw godnie, nadludzkim wysiłkiem zachowując kamienny spokój oraz uprzejmy uśmiech, i tylko wielkie czerwone plamy, które wykwitły na jej szyi, wskazywały na kotłujące się w niej emocje. O nie! Nie dość, że nie da się sprowokować tej smarkuli, to jeszcze zaraz jej pokaże! Już ona dobrze wiedziała, jak zawstydzić i pokonać przeciwnika!

Przez ponad trzydzieści lat Karolina Morawiecka ćwiczyła pewną kwestię (słowa zmieniały się co prawda, ale mimika i gesty pozostawały jednakie) i mniej więcej dekadę temu osiągnęła w niej prawdziwe mistrzostwo.

Początkowo kwestia ta dotyczyła jedynie ciężarów i trudów życia, które nie zawsze są widoczne gołym okiem. Towarzyszące

tej wypowiedzi westchnienia świadczyły, że i owszem, ich autorka znosi zbyt wiele. Ale się nie skarży. Zniesie wszystko w imię wyższego dobra. (Na szczęście tragizm słów zniechęcał słuchaczy do jakichkolwiek pytań). Potem wzbogaciła ją o dramatyczne wyznanie, że nie wszystkim bywają dane radości macierzyństwa. (W obu wersjach pani Karolina kończyła ten dramatyczny monolog tajemniczą formułą: „Pan chłoscze tych, których kocha”. A oczom zebranych, w co gorąco wierzyła, ukazywał się wówczas obraz ni to niewolnicy Isaury smaganej przez okrutnego Leoncja, ni to świętej męczennicy, która z upodobaniem znosi katusze). A już najczystsza wirtuozerię osiągnęła pani Karolina po śmierci Stanisława, kiedy sławetny monolog zmodyfikowany został odpowiednio do (jakże przykrych) okoliczności. Niech się schowa Modrzejewska (gdyby żyła, oczywiście)! Karolina Morawiecka pokonała już w ten sposób niejedną koleżankę, bliższą i dalszą kuzynkę, nie mówiąc o sąsiadkach, które na przeróżnych towarzyskich spotkaniach próbowały zdobyć zaszczytne miano męczennicy. Królowa mogła być tylko jedna. Nawet jeśli chodzi o królową domowej martyrologii.

Teraz więc przyjęła odpowiednią pozę (ręce na piersi, głowa lekko pochylona ku ziemi, jakby w pokorze przyjmowała zbyt ciężki dla jej ramion krzyż), westchnęła wymownie i rzekła głosem cichym a przenikliwym. Wibrującym tonami pełnej akceptacji cierpienia, wspaniałomyślności i głębokiej mądrości.

– Widzi pani, pani Karolinko, nie każdemu Pan tak samo błogosławi. Nie mam już nikogo, kto zadbałby o mnie. Mąż mój, świętej pamięci, od pięciu lat leży w grobie. Dzieciątek też nam dobry Bóg nie zesłał i tak oto samiutka jak palec jestem. Tylko ta Trufelka – cierpienie i smutek wibrowały aż miło (*chyba jeszcze nigdy ta kwestia nie wybrzmiała tak głęboko, tak boleśnie* – pomyślała z dumą wdowa po aptekarzu) – choć może i nie

najładniejsza, towarzyszy mi w monotonii samotnego życia ubogiej wdowy.

Zadziałało. Jak zawsze zresztą. Chuda pani Karolina spurpurowiała i pchana ewidentnymi wyrzutami sumienia powiedziała kategorycznie:

– Jacek zaraz u pani posprząta. Jak tylko czegoś pani będzie potrzebować, to proszę mówić. Naprawdę!

Antykwariusz, również przejęty tym monologiem, zapewnił żarliwie o swojej gotowości do pomocy.

I tylko w oczach siostry Tomaszy błysnęło uznanie. W myślach biła brawo. Cóż za modulacja głosu, cóż za wspaniała mimika!

– Trzymajcie mnie, wszyscy święci! Owacje na stojąco się za ten popis należą – mruknęła.

– Dziękuję – wyszeptwała pod nosem wdowa, która miała słuch jak młódka. Ukradkiem, żeby przypadkiem nie zepsuć wrażenia, uśmiechnęła się do zakonnicy. Przez chwilę wahała się, czy w ogóle zareagować, ale tak miło jest być docenioną. No i przecież zakonnica takiego sekretu nie zdradzi... – Czasem muszę, i już.

Czy to nadzwyczajnie udany występ, czy też nadspodziewanie szybka reakcja sąsiadów, w każdym razie serce Morawieckiej złagodniało. Może zbyt prędko osądziła krakuskę? Może nie powinna jeszcze skreślać imienniczki?

Kiedy sąsiedzi otwierali furtkę, żeby pan Jacuś mógł spełnić sąsiedzką przysługę, a jego żona go przypilnować, Karolina Morawiecka przystąpiła do oficjalnej prezentacji z wręcz przyjaznym uśmiechem.

– Siostro, to moi sąsiedzi. Pan Jacek i pani Karolina. A to jest siostra Tomasza, która teraz w Skale na plebanii mieszka.

– Och, to siostra jest tą tajemniczą siostrą Pelagią – krakuska puściła oko do zakonnicy – która wspiera naszą tutejszą pannę Marple.

– Siostra Tomasza – z naciskiem powtórzyła zirytowana wdowa po aptekarzu. Niby sporo młodsza ta pani Karolina, a imienia, nawet jeśli trochę dziwaczne, zapamiętać nie umie.

Ku jej zdziwieniu zakonnica nie tylko się nie obruszyła, ale najwidoczniej wiedziała, o co chodzi.

– Ha, ha – zaśmiała się dziwnie uradowana. – Nie ten wiek, no i wyglądam trochę inaczej, ale bardzo mi miło. Brakuje nam tylko Erasta Fandorina do kompletu.

– Albo Herkulesa Poirot – dorzucił pan Jacuś.

– Ten młody policjant może by się nadał – zaśmiała się krakuska.

– Chyba jako prawnuk Antoniego Fishera – zgryźliwe rzucił jej mąż.

– Z wyglądu przypomina mi raczej Jana Morawskiego – uśmiechnęła się siostra Tomasza.

– Jak go pani Karolinka podkarmi, to wkrótce będzie z niego drugi Nero Wolfe – zachichotała młodsza pani Karolina.

Pomiędzy nimi tkwiła zastygła w bezruchu Karolina Morawiecka, wciąż z uprzejmym uśmiechem na ustach, i tylko coraz to większe czerwone plamy wskazywały na to, że w ciele kobiety tli się jeszcze jakieś życie. Tymczasem, choć z pozoru kobieta przypominała słup soli, w głowie wdowy rozgrywała się istna walka. Najzacieklejsza z bitew. Nawet Matejko (gdyby żył) nie potrafiłby oddać doniosłości tych scen. Nawet Kossak (świętej pamięci) nie uchwyciłby ich dynamiki. Poległby tu zapewne i Sienkiewicz, bo była to wojna bez armat, szabli i niepowstrzymanej konnicy (choć stojąca w zastygłej pozie wdowa po aptekarzu przypominała teraz kolumbrynę, przed którą respekt poczułby sam Kmicic). Oto bowiem w głowie Karoliny Morawieckiej, z prędkością, przy której huragan Katrina albo inne El Niño wydawały się zaledwie zefirkiem, subtelnie łaskoczącym delikatne lico, pojawiały się pytania. O czym,

do cholery jasnej, oni mówią?! Czy z niej szydzą? Co by tu, do jasnej anielki, powiedzieć? Przyznać się do niewiedzy? Udawać, że wszystko doskonale się rozumie? Śmiać się? Czy bezpieczniej zachować umiar i uśmiechnąć tylko? Święci Pańscy!

– A ten podkomisarz Cegła to taki komisarz Brunetti. – Żona antykwariusza bawiła się w najlepsze.

– Raczej komisarz Georges Dupin – śmiał się jej mąż.

– Komisarz Montalbano – licytowała się siostra Tomasza.

Wdowa wciąż jeszcze panowała nad mimiką, ale przyjazny i pełen wyrozumiałości dla szaleństw młodości uśmiech przychodził jej z coraz większym trudem. Stanisławie, ratuj!

I Stanisław nie zawiódł. Tym razem.

– No, na pewno nie jest to Harry Hole. Ani inspektor Verhoeven – stwierdziła szczuplejsza pani Karolina.

– Inspektor Verhoeven? – zainteresowała się nagle siostra Tomasza. – Nie znam, nie czytałam. Dobre?

Karolina Morawiecka była uratowana. Ach, rozmawiają o książkach! Teraz wreszcie i ona mogła włączyć się do rozmowy.

– Ja też tego akurat nie czytałam – wtrąciła najłżejszym tonem, na jaki było ją stać.

Na szczęście wydawało się, że nikt nie zwrócił uwagi na hałas tysiackilogramowego głazu, który wyznanie zakonnicy strąciło z wdowich ramion.

– Można przeczytać. O ile się lubi niskich mężczyzn. Takich poniżej metra czterdzieści pięć – uśmiechnął się pan Jacuś, który nie był bardzo wysokim mężczyzną, ale od wspomnianego bohatera był jednak znacząco wyższy.

– I dlatego podkomisarz Cegła to raczej Wallander niż Verhoeven. – Żona przytuliła się do niego i wskazała ręką dowód, że z systemem trawiennym Trufli wszystko jest w jak najlepszym porządku. – A ty, mój drogi Sherlocku, musisz podążyć za tym tropem i szybko zlikwidować ślady zbrodni popełnionej

na trawniku.

– Tak jest, mój drogi Watsonie.

Kiedy trawnikowi została przywrócona dawna świetność, a sarenka i czapla bez wstydu mogły prezentować przechodniom swe wdzięki, pani Karolina z ulgą zakończyła sąsiedzkie pogaduszki.

– Dziękuję państwu. I do widzenia. Mamy z siostrą Tomaszą nowe tropy i musimy je zbadać – dorzuciła z godnością.

* * *

– Zaskakuje mnie siostra. – Wdowa odłożyła widelec na stół, obok pustego już ramekina, i uważnie przyjrzała się zakonnicy.

Ta znalazła się nagle pod obstrzałem spojrzeń. Przez cały czas bowiem siostrze Tomaszcy przyglądała się także Trufla. Siedziała na podłodze tuż obok, w kałuży własnej śliny, śledząc każdy jej gest rozpaczliwie błagalnym wzrokiem.

– To dobrze czy źle? – chciała wiedzieć zakonnica, której z wrażenia kawałek ziemniaka niemal stanął w gardle. Niemal, gdyż był tak aksamitny od zapiekanego z nim sosu, tak delikatny i kruchy, że na myśl przywodził raczej puch, a ten w gardle chyba stanąć nie może (choć niewątpliwie może w nim drapać). – Czym tak panią zaskoczyłam?

– Och, ma siostra bardzo stanowcze poglądy. Jak na zakonnice. Choć nie mogę powiedzieć, że się z nimi nie zgadzam. – Wdowa po aptekarzu zamyśliła się.

– Dla mnie nie są one stanowcze. – Siostra Tomaszca oparła widelec o puste już naczynie. – A stan zakonny nie ma z tym nic wspólnego. Rola kobiet jest wciąż niedoceniana, sprowadzana do jakichś koszmarnych stereotypów, a my się na to godzimy. Bo tak jesteśmy wychowywane i w tym duchu wychowujemy. A to się nie godzi!

– Tak, tak, oczywiście. – Pani Karolina nie chciała tego dłużej ciągnąć, uśmiechnęła się więc pojednawczo. – W pełni się z siostrą zgadzam. To może kawki nam zrobię? Czy woli siostra herbatkę?

– Mała kawka nikomu jeszcze nie zaszkodziła – uśmiechnęła się zakonnica. – Ani nawet dwie. Zresztą ja tak rzadko piję teraz kawę...

– Już robię. Z mleczkiem, prawda?

Kiedy siostra Tomasza przytaknęła, pani Karolina stanęła przy ekspresie i rzuciła od niechcienia:

– No i te książki... Nie wiedziałam, że siostra tak lubi czytać. I że polonistykę studiowała.

– Teraz już nie czytam tak wiele. A już bardzo rzadko kryminały, bo jednak staram się skupiać na lekturze duchowej. Tak mi doradził mój przewodnik duchowy.

Karolina Morawiecka bez trudu uchwyciła drżenie w głosie siostry Tomaszy. Usłyszała w nim jęk zawodu i trud wyrzeczenia.

– No tak, zakonnicy raczej nie przystoi czytanie o morderstwach. Ale odrzucanie przyjemności życia nigdy nie jest łatwe. Wiem coś o tym – dorzuciła głosem, jak sobie wyobrażała, świętobliwej mniszki, która mieszka w wieży i je tylko korzonki.

– Dlatego zastanawiam się, czemu pan Bartosz Skalski zrezygnował ze studiów po trzecim roku. Przeszedł przez egzaminy z gramatyki, staro-cerkiewno-słowiańskiego i dialektologii, a potem tak po prostu zarzucił studia? To przecież nie ma sensu... Wie pani może, pani Karolino, co się za tym kryje?

– Kofeina krążąca w żyłach pobudziła siostrę Tomaszę do działania. Zamiast snuć refleksje o życiu, trzeba znaleźć mordercę. Czas zająć się śledztwem!

– A wie siostra, że nigdy nie myślałam, żeby to było podejrzone. – W głosie wdowy wyraźnie słyszalna skrucha mieszała się z najczystsza rozpaczą. – Wydawało mi się to

całkiem naturalne, że chłopak zamiast czytać, chce normalnie pożyć... Zwłaszcza że łatwo nie miał. Matka mu długo chorowała, na serce zmarła, jeszcze jak był w liceum. W ostatniej klasie chyba. A potem ojciec. Więc pewnie ciężko mu było pracować na ojcowiznie i studiować. Choć z drugiej strony gospodarstwo nieduże było i w dzierżawę zaraz je oddał. A może sprzedał? Nie pamiętam zbyt dobrze... – zamyśliła się.

– Tak, tak... To dużo dla takiego młodego człowieka. A on pewnie wrażliwy bardzo.

– Bardzo! To siostra go nie poznała? – zdziwiła się pani Karolina.

– Jakoś nie było okazji. A jestem go niezmiernie ciekawa. Zwłaszcza że z dzisiejszej rozmowy z tą sympatyczną Aliną Stachowiak wynika, że...

– ...że to z jego powodu mogła zginąć Bednarzówna – tryumfalnie zakończyła wdowa po aptekarzu.

– Ale to by znaczyło, że za tą tragedią stoi Zuzanna Soha... – zawahała się siostra Tomasza. Intuicyjnie czuła, że kelnerka nie dopuściła się tego zabójstwa.

– Pamiętajmy, że to nie musiała być wcale zbrodnia z premedytacją. Może ta cała Soha umówiła się z Bednarzówną, żeby porozmawiać, pokłóciły się i w emocjach zepchnęła biedaczkę z murku. A potem uciekła z miejsca zbrodni.

– To raczej nie ma sensu. – Zakonnica starała się być bardzo delikatna. – Przede wszystkim po co umawiałyby się na zamku nocą? Nawet jeśli jakimś cudem miały na przykład dorobiony klucz, i tak nie było to dobre miejsce na spotkanie. Zwłaszcza jeżeli zależało im na dyskrecji. Rozmowę z koleżanką, kiedy na dziedzińcu w każdej chwili mogą pojawić się strażnicy, trudno uznać za dyskretną. Sądzę, że musimy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego doszło do spotkania na zamku. Dopiero wtedy zrozumiemy w pełni motyw, którym kierował się sprawca. Lub

sprawczyńi. A znając motyw, bez trudu powinniśmy poradzić sobie z rozpoznaniem mordercy.

– Może w takim razie strażnicy też są w to zamieszani?! Zabili dziewczynę i teraz wzajemnie zapewniają sobie alibi! – Pani Karolina doznała nagłego olśnienia.

– Rozumiem, że czytała pani *Morderstwo w Orient Expressie* – uśmiechnęła się siostra Tomasza. – Ale to raczej nie jest ten przypadek. Dowody tego nie potwierdzają. No i tamta ofiara w niczym nie przypomina Anny Bednarz.

– Hmm, tak... – dyplomatycznie odpowiedziała wdowa. W zasadzie nie skłamała. Tylko nie zaprzeczyła. Ale też nie potwierdziła jednoznacznie, że czytała tę książkę. Poza tym, kto wie, może kiedyś ją czytała, tylko najzwyczajniej w świecie zapomniała? Ludzie o różnych sprawach zapominają. Zwłaszcza kiedy są w kwiecie drugiej młodości.

– Zresztą, jaki miałiby powód? Dlaczego starszy pan i miły młody człowiek miałiby zrzucić z murku, po obejrzeniu w telewizji meczu i studia piłkarskiego, koleżankę z pracy? Bo kibicowała innej drużynie? To przecież nie ma sensu. – Zakonnica nie przestawała drążyć.

Podobno tonący brzytwy się chwytła. Pani Karolina nie tonęła co prawda, ale miała bardzo nieprzyjemne uczucie, że grunt usuwa jej się spod nóg. Na wszelki wypadek złapała się mocno za brzegi stołu i ze wszech miar wyteżyła szare komórki. Z wysiłku zaczerwieniła się na twarzy, aż siostra Tomasza wystraszyła się, że starsza pani dostanie jakiegoś ataku.

– Myślę – zaczęła ostrożnie gospodyni – że w tej sytuacji powinniśmy bliżej przyjrzeć się temu, co łączyło Zuzannę Sołę z Bartoszem Skalskim. Czy rzeczywiście mogła być o niego zazdrosna?

– Tak, od tego możemy zacząć – niepewnie zgodziła się siostra Tomasza. Po chwili zastanowienia cały ten wątek wydawał się

jej naciągany. – Jak chce to pani rozegrać?

– Och, myślę, że możemy jutro odwiedzić pana Edwarda Stachlaka. To mój sąsiad, na Herianówce mieszka, zresztą kilka domów dalej niż Skalski. Sam gospodarzy, bo wdowiec, dzieci do miasta wyjechały. Porozmawiać sobie lubi, a co ważne, jest emerytowanym strażnikiem. Niemal całe życie na zamku w Pieskowej Skale spędził, to i dużo wie. Poza tym przyjaźni się z Mariankiem Furgalskim, tym drugim strażnikiem, co to oprócz pana Bartosza miał służbę, kiedy znaleziono zwłoki Bednarzówny. A jak trzeba będzie, to zawsze możemy na zamek podejść, jeśli siostra zechce osobiście poznać pana Bartosza.

– Tak zrobimy – ucieszyła się siostra Tomasza. Naprawdę była ciekawa byłego studenta polonistyki. No i to ciasto z Herbovej...

– Jutro po siostrę przyjadę koło południa i wpadniemy po drodze do cukierni na rynku. Zajdziemy do pana Edwardka z ciastem, jak należy. Tylko ja już dzisiaj piec nie mam siły^[11].

* * *

Pani Karolina z piskiem opon zatrzymała swój pojazd na parkingu przed skalskim kościołem, a siostra Tomasza kolejny raz podziękowała w myślach Świętemu Krzysztofowi i aniołowi stróżowi, że cała i zdrowa wróciła z Wielmoży. Za każdym razem wydawało jej się, że to prawdziwy cud, bowiem droga łącząca obie miejscowości była pełna zakrętów.

– O, widzę, że ktoś na stałe zajął miejsce pana Muraska – zaśmiała się wdowa, wskazując na starego zielonego fiata pandę zaparkowanego na skraju przykościelnego parkingu. – A przecież ten wasz organista od kilkadziesiątu lat parkował tu, z samego brzegu, żeby nikt go nie mógł zastawić. No cóż, nic nie trwa wiecznie – rzuciła filozoficznie na koniec. – Szczęść Boże, siostró, będę jutro.

Siostra Tomaszka w zamyśleniu obserwowała, jak białe tico wchodzi zbyt ostro w zakręt i znika za rogiem cukierni. A potem ruszyła do kościoła, żeby o piętnastej odmówić koronkę.

* * *

Biblioteka w Wielmoży to odremontowany (niech żyją fundusze unijne! Niech żyją dotacje!), niewielki budynek ukryty w zagajniku przy ulicy Szkolnej. Nie jest to miejsce zbyt często odwiedzane przez mieszkańców, wiadomo – nie ma czasu. Czasem wpadnie tu gromada niewinnych dzieci. Czasem i kwiat wielmożańskiej młodzieży zawita. Zwłaszcza ta starsza Pietrasówna. I Bartosz Skalski, chociaż od czasu śmierci Ani Bednarz jakby rzadziej.

Karolina Morawiecka, mimo że od pięciu lat szczęśliwie żyła w Wielmoży, jeszcze ani razu nie przekroczyła swą delikatną stopą progę tego przybytku. Oczywiście chodzenie do biblioteki to nie jest powód do wstydu, wiadomo. Ale czy aby na pewno jest to powód do dumy? Czy uczciwie pracująca pani domu ma jeszcze czas na czytanie książek? Czy kobieta, która w pełni zasługuje na miano gospodyni, znajduje przyjemność w czymś innym niż prasowanie i polerowanie, dajmy na to, sreber? A czy treści zawarte w książce aby na pewno są pożywką dla duszy, jak to niewątpliwie dzieje się w przypadku „Ziarna Pana” wydawanego przez proboszcza Januszka? Albo czy książki są intelektualnym wyzwaniem w równym stopniu co krzyżówki, które wdowa regularnie kupowała w kiosku na rynku w Skale?

Życie jest pełne dylematów. Życie to sztuka wyborów. Dzisiejsza rozmowa sąsiadów z siostrą Tomaszka sprawiła, że wdowa po aptekarzu podjęła decyzję. Na wszelki wypadek wzięła ze sobą Trufkę – spacer z psem to wspaniały pretekst, żeby przejść się po okolicy. Tym razem suka nie protestowała

i dziarsko ruszyła za swą panią w październikową szarówkę, a potem dała się przywiązać do drzewa.

Pani Halinka, pracująca w tym przybytku mającym rozpraszać mroki niewiedzy światłem literatury, od miesięcy zanosila modły do patronów bibliotekarzy, Świętego Wawrzyńca Diakona i Świętego Karola Boromeusza, o nowych czytelników. Jak dotąd – daremnie. Monotonie ośmiogodzinnych dni pracy przerywały czasem jedynie koleżanki, które wracając do domów (obok biblioteki znajdują się kościół, przystanek autobusowy i sklep), wpadały na chwilę, by podzielić się nowinami i trudami codzienności. I oto nagle stał się cud.

Kwadrans przed osiemną drzwi lekko zaskrzybiały, a na progu pojawiła się stopa obuta w czarną pończochę i lakierowany trzewik. Potem druga. A kiedy niedowierzający wzrok pan Halinki skierował się w górę, napotkał na istną kolumbrynę odzianą w czarną spódnicę do pół łydki i dzianinowy bliźniak.

Lekko tylko zmieszana wdowa po aptekarzu podeszła do oszołomionej bibliotekarki.

– Dzień dobry, Karolina Morawiecka, z Podzamcza. Chciałam pożyczyć książkę – rzuciła nieznajoma tonem jednoznacznie wskazującym na osobę nieznoszącą sprzeciwu.

– Och, dzień dobry, witam panią serdecznie. Bardzo, ale to bardzo się cieszę! Zwłaszcza że pani tu chyba pierwszy raz! Co konkretnie chciałaby pani wypożyczyć?

Pani Karolina, dumna ze swojej świetnej pamięci, zagrała *va banque*.

– Coś o pannie Marpyl. I Herkulesie Płaro.

– Czyli klasyka kryminału! Ja też w jesienne wieczory lubię poczytać sobie Agathę Christie – wyznała wzruszona bibliotekarka. – Czy chce pani jakiś konkretny tytuł?

– Niespecjalnie. Zdam się na panią. – Wdowa po aptekarzu

z królewską miną skinęła głową w stronę wniebowziętej pani Halinki i uśmiechnęła się z godnością.

* * *

Tymczasem na probostwie w Skale pani Małgorzata z siostrą Tomaszą podawały kolację. Choć – jak przemknęło przez głowę zakonnicy – Święta Werena z Zurzach i Święta Weronika, patronki gospodyń na plebanii, nie nazwałyby tak tego posiłku. Tradycyjnie skromny, tego wieczora składał się jedynie z podpiekanych na patelni kromek czerstwego chleba. I to na suchej patelni. Dodać jednak należy, że proboszcz Walery zaakceptował pojawienie się na stole wyszukanego dodatku do grzanek, a mianowicie kawałeczka masła. Choć sam z niego nie skorzystał.

Ksiądz Szymon i siostra Tomaszka w milczeniu chrupali kolację, każde zajęte swoimi myślami. Wreszcie zakonnica z szelmowskim uśmiechem przemówiła:

– W wieczornej modlitwie powinien ksiądz w sposób szczególny podziękować Świętej Cecylii i Świętemu Leonowi I Wielkiemu.

Wikary nie odezwał się ani słowem, gdyż nie mógł sobie poradzić z wyjątkowo chrupkim kawałkiem grzanki, spojrzał jednak badawczo na zakonnice. (Proboszcz Walery zbyt pograżony był w rozmyślaniach i w ogóle nic nie słyszał).

– Myślę, że jutro uda się księdzu zażegnać konflikt z organistą Muraskiem – uśmiechnęła się siostra Tomaszka z tajemniczym błyskiem w oku.

Na szczęście po kilkuminutowym gryzieniu suchar wreszcie zmiękł na tyle, że wikaremu udało się go przełknąć, dzięki czemu szczęśliwie uniknął zadławienia.

– Ale jak to? – zdziwił się niepomiernie. – W jaki sposób?

Choć ksiądz Szymon napiął się teraz jak struna i nerwowo zaczął giąć aluminiowy widelec, siostra Tomasza, w przeciwieństwie do sztućca, pozostawała nieugięta.

– Och, to bardzo proste – droczyła się zakonnica. – Chociaż niewątpliwie bez przeprosin się nie obejdzie...

Pani Małgorzata, do tej pory skromnie patrząca na pusty talerz (kolację zamierzała zjeść później, w samotności, smarując grzanki konfiturami), z zainteresowaniem spojrzała na uśmiechniętą zakonnice.

– Ale jak to? Udało się siostrze dowiedzieć, o co chodzi panu Zygmuntowi? Pytałam onegdaj jego żony i nic mi nie powiedziała...

– Cóż, wystarczy, jak ksiądz Szymon przestawi swój samochód. Zdaje się, że to miejsce od lat zajmował Murasek, i widać jakoś mocno się do niego przywiązał. Tak w każdym razie mówiła pani Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu.

– Święci Pańscy! Z nieba mi siostra spadła! Że też ja nie wpadłem na to wcześniej! – Rozanielony wikary gwałtownie wstał od stołu, upuszczając z brzdękiem odkształcony zupełnie sztuciec. – Już lecę go przeparkować, żeby przed jutrzejszą poranną mszą miejsce pana Muraska było wolne.

– Siostra Tomasza to ma głowę – pochwaliła pani Małgorzata. – Od razu widać, że kształcona. My się tu tyle nad tym zastanawiali i nic. To może ja bym siostrze trochę konfiturki do tych grzanek dodała? Ksiądz Walery się nie pogniewa, zresztą pewnie nawet nie zauważy – dodała z uśmiechem.

– Święta Wiburado, módl się za nami – siostra Tomasza westchnęła cicho i z radością podała talerz gospodyni.

* * *

– Wiesz, kochanie, pierwszy raz widzę, żeby u Morawieckiej

tak długo świeciło się światło. Już po dziesiątej! Mam nadzieję, że nic się jej nie stało. Bo przecież ktoś musiałby zaopiekować się tym jej psem. – Pani Karolina z ciekawością spoglądała w stronę domu sąsiadki.

– Na pewno nic jej nie jest. Przecież ta kobieta jest niezniszczalna, mówię ci! – Pan Jacuś jak zwykle zachowywał stoicki spokój. Ubrany w piżamę zamierzał właśnie położyć się do łóżka, ale znając swoją żonę, wiedział, że jeśli natychmiast jej nie uspokoi, może się to okazać trudne.

– Och, w ogóle nie masz serca! A ja się naprawdę przejęłam tym, co dzisiaj powiedziała. – Karolina wciąż nie odchodziła od okna i próbowała podejrzeć, co się dzieje w pokoju wdowy. Bez rezultatów. Bogato haftowane w girlandy kwiatów firanki w domu naprzeciwko stanowiły przeszkodę nie do pokonania.

– Mam serce i patrzam w serce – zabłysnął antykwariusz. – Ale nie patrzam w okna sąsiadów, bo to nieładnie. Za to obiecuję, że jutro rano postaram się do niej zagadać. Jeśli coś będzie nie tak, dowiesz się o tym pierwsza.

* * *

Tymczasem wdowa po aptekarzu, wygodnie umoszczona na sofie, przykryta kocym i zaopatrzona w ukochaną gorącą czekoladę oraz owsiane ciasteczka, całkowicie oddawała się nieznanym sobie dotąd przyjemności. Czytała.

Zaczęła ostrożnie. Zakładała, że tylko przejrzy. No, może przeczyta pierwszy rozdział. Ale gdy na scenę wkroczyła panna Jane Marple, wyposażona w lornetkę do obserwacji ptaków (*Genialny pomysł! I mnie przyda się taka lornetka! Przecież tutaj na pewno jest wiele ptaków! Na przykład na rabatach u sąsiadów!*), Karolina Morawiecka coraz bardziej pograżała się w lekturze. A kiedy na plebanii znaleziono trupa (*Na plebanii*

u katolickiego księdza takie okropieństwa dziać by się nie mogły...), wdowa po aptekarzu zapomniała o otaczającym ją świecie i nie zwróciła nawet uwagi na Trufkę. Suka nie tylko wyjadła okruszki ciasteczek, nie tylko wylizała doszczętnie kubek po cudownie aromatycznym napoju, ale zrobiła też coś, co od śmierci pana było całkowicie i najsurowiej zabronione. Wgramoliła się na sofę i położyła w nogach, grzejąc swoją panią bardziej niż koc w słodkie kotki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W KTÓRYM WDOWA SIĘ CZESZE,
PAN EDWARD WYJAWIA SWOJE POGLĄDY,
A SIOSTRA TOMASZA DZIĘKI WSTAWIENNICTWU
ŚWIĘTEJ TERESY Z ÁVILI ORAZ ŚWIĘTEGO
BARNABY DOCHODZI DO SIEBIE

Było już prawie wpół do ósmej, kiedy pani Karolina zbudziła się wreszcie ze snu. Pewnie spałaby dłużej, gdyby nie posapująca góra mięśni, patrząca na swą panią w napięciu. Chcąc nie chcąc, a w zasadzie bardzo nie chcąc, Karolina Morawiecka wstała (o zgrozo!) z kanapy w salonie i wypuściła psa na podwórko. Październikowa poranna mgła szybko ją rozbudziła i wydarła spod powiek resztki snu. A szkoda.

Na twarzy kobiety pojawił się palący rumieniec, gdy tylko przypomniała sobie namiętne spojrzenie jajogłowego eleganckiego mężczyzny z czarnym wąsikiem. Herkules Poirot tak głęboko patrzył w jej oczy, tak dyskretnie ruszał wypomadowanym wąsem, że pani Karolina najchętniej zatrzymałaby ten obraz na dłużej.

– Miał takie czyste lakierki! – Rzewne westchnienie wydarło się z jej obfitej piersi.

– Dzień dobry pani! – Usłyszała zza płotu dziarski głos

antykwarium. Pan Jacuś jak zwykle ładował pudła z książkami do bagażnika swojego samochodu. – Jeśli chodzi o mnie, to nigdy nie miałem lakierków. Nawet na ślubie.

– Dzień dobry, panie Jacusiu. – Wdowa nawet na mękach nie przyznałaby się do tej chwili namiętności. – To nie o panu. Tak tylko wspominałam sobie... – zawiesiła głos i rozpaczliwie próbowała znaleźć wyjście z sytuacji – ...męża.

– Och, no tak, oczywiście. – Panu Jackowi zrobiło się głupio. Przypomniał sobie wczorajszy dramatyczny, może nawet zbyt dramatyczny, monolog sąsiadki. – Przepraszam, nie pomyślałem.

– Oczywiście, panie Jacusiu. – Skrucha sąsiada podziałała jak balsam na zbolące członki czy raczej na duszę pani Karoliny. Wdowa po aptekarzu znowu była w swoim żywiole, a przepelniające ją jeszcze przed momentem poczucie winy ulotniło się bez śladu. – Pan taki młodziutki jeszcze, to pan niewiele wie o życiu. A już zwłaszcza o wdowieństwie. – Uśmiechnęła się z godnością i z głową zadartą wysoko, iście po królewsku (jak lubiła sobie wyobrazać), ruszyła w stronę domu.

Trufla, od kolacji czekająca na śniadanie, ruszyła różnym truchtem za swoją panią.

– Niesamowite, jak pies upodabnia się do właściciela – pomyślał antykwarium. – Ciekawe, czy z naszymi kundlami jest podobnie?

Tymczasem w głowie pani Karoliny kotłowały się inne pytania, nieco mniej filozoficznej natury.

Choć spała zaledwie trzy godziny, lektura dwóch kryminałów, i to jednego po drugim^[12], otworzyła przed nią zupełnie nowe perspektywy. Teraz więc, gdy przygotowywała sobie niezobowiązujące śniadanie (omlet cesarski, ale bez rodzynek moczonych w rumie, za to posypany cukrem pudrem, kardamonem i cynamonem), jej myśli krążyły wokół pytań: kto

miął motyw? Co takiego zrobiła Bednarzówna, że ktoś ją zabił? I dlaczego zginęła na zamku?

Czekając, aż omlet będzie gotowy, z dumą wyciągnęła swój notesik, w którym zapisywała wszystkie pomysły i tropy od pamiętnego piątku ósmego września, kiedy to nieoczekiwanie znalazła się w samym centrum dramatycznych wydarzeń. I chociaż nie wyczytała z niego żadnej inspirującej w tej chwili myśli, żadnej wskazówki (prawdę powiedzawszy, notatki przedstawiały się nad wyraz skromnie), w świetle wczorajszych wydarzeń waga kartkowanego zeszytiku wzrosła niepomiernie. Wszystkie poczynione do tej pory zapiski jednoznacznie wszak dowodziły, że ona, Karolina Morawiecka, ma wrodzony instynkt prawdziwego detektywa. Bo czyż we wczorajszej lekturze ku własnemu zdziwieniu (a wdowa po aptekarzu dziwiła się bardzo rzadko) nie natknęła się na podobne „Zestawienie”^[13]? Więc chociaż kartki notesu nie zawierały odpowiedzi niezbędnych do rozwiązania kryminalnej zagadki, pani Karolina patrzyła na nie z czułością. I puchła z dumy.

KTO

~~Patrycja Rosiak~~

~~Alina Stachowiak~~

Zuzanna Soha !!!

~~Bartosz Skalski~~

Marian Furgalski

ktoś obcy ??????

MOTYW

z zazdrości? (zdrada?)

~~dla pieniędzy?~~

ze strachu?

MIEJSCE

??????????????

Torebka?????????!!!!!!!

→ stara miłość???

Z całą pewnością mogła skreślić jedynie dwie kelnerki. Przy tej całej Patrycji Rosiak wprawdzie wahała się nieco, no ale skoro policjanci potwierdzają, że jej alibi jest mocne, a i zakonniczka się z nimi zgadza, pani Karolina uznała, że może to zrobić. Dzisiaj jeszcze wraz z siostrą Tomaszą rozmówią się z panem Stachlakiem i może będzie mogła usunąć z listy także pana Marianka Furgalskiego. Co do pana Bartosza jakoś nie miała wątpliwości, że taki delikatny chłopiec nie mógł zabić. Jeszcze gorzej wyglądała sprawa motywu. Ponieważ Bednarzówna (niech spoczywa w pokoju) była raczej biedna, ani szantaż, ani nic innego nie mogło wchodzić w grę. Ale zaraz, zaraz... Przecież zabija się raczej szantażystę – może więc to ofiara wyciągała od kogoś pieniądze, aż ten ktoś nie wytrzymał i feralnej nocy rzucił ją z murku? Wtedy – pani Karolina czuła nagły przypływ sił intelektualnych i, nie bójmy się tego słowa, własnego geniuszu – zabójstwa dokonano by i z powodu pieniędzy, i ze strachu! To z kolei prowadziło do wniosku, że miejsce

wybrała sama ofiara! Może liczyła na to, że strażnicy skupieni na grze polskiej reprezentacji nie zauważą nawet, gdyby na zamkowy podwórzec weszła wycieczka szkolna?! Zresztą, trzeba przyznać, że to założenie okazało się słuszne. Żaden z panów niczego nie słyszał, niczego nie widział...

Ujęta własną wspaniałością wdowa po aptekarzu postanowiła zadziałać jak słynni detektywi. Musiała zebrać jak najwięcej wiadomości na temat ofiary. Najlepiej takich z drugiej, choć pewnej, ręki. Koleżanki z pracy, i owszem, udzieliły kilku cennych wskazówek, ale pani Karolina wciąż nie była pewna, na ile można im ufać. Kto jak kto, ale ona wiedziała bardzo dobrze, że dobro własnego wizerunku wymaga czasami naciągania faktów i stosowania półprawd. Bojąc się o własną reputację, nie zawsze przecież – nawet najbardziej szczerą osobą – powie całą prawdę. Wystarczy przypomnieć sobie, że żadna z kelnerek nie wyznała przesłuchującym ich policjantom, co naprawdę myśli o ofierze. *Zresztą nic dziwnego* – pomyślała pani Karolina. – *O zmarłych się źle nie mówi*. Ona też na miejscu świadków czułaby dyskomfort...

Komu w takim razie powiemy wszystko? Więcej nawet niż na świętej spowiedzi i głośniejszy, a nie tak, żeby przygłuchy ksiądz nie usłyszał połowy (podczas gdy drugą połowę wyznań zagłuszy gromka muzyka organowa)? Wiadomo! Komuś obcemu!

Pani Karolina dopiła kawę i ruszyła do łazienki. Trzeba myć głowę i jechać do fryzjera! A z brudnymi włosami przecież nie pójdzie!

* * *

O, lekarze dusz! O, artyści wyczarowujący kilkoma ruchami rąk marzenia o lepszym życiu! Są takie chwile pełne metafizycznej tęsknoty, kiedy człowiek po prostu musi porozmawiać z drugim

człowiekiem. Porozmawiać prawdziwie, tak od serca. Przestać na chwilę udawać, odrzucić maski. I wtedy z pomocą przychodzą wy, wyposażeni w szczotki i tony lakieru. Wysłuchujecie smutków i trosk, w zamian udzielając nadające sens życiu wskazówki: zapuścić!, koniecznie obciąć!, bez grzywki!, nie w tej tonacji!

Pani Karolina żyła wystarczająco długo, by wiedzieć, że konfesjonalami dwudziestego pierwszego wieku stały się zakłady fryzjerskie. A Skała, choć z pozoru niepozorna, zakładami fryzjerskimi stała. Był tu i ekskluzywny „Hair Style Afrodyta”, i konkurujący z nim „Paris Hair”. Był elegancki „Jean Marie” i bardziej swojskie „U Eli”, „U Kasi”, a nawet lakonicznie brzmiący salon „Ewa”. Bez względu jednak na nazwę, we wszystkich czekały – uzbrojone w nożyczki i z sercami na dłoni – panie Halinki, Bożenki, Grażynki. Czekały na mniej lub bardziej zmęczone życiem, przybite codziennością i ze złamanymi sercami panie Karolinki, Anie, Darie i Alinki.

Zaparkowawszy pod kościołem, pani Karolina rozpoczęła swą specyficzną pielgrzymkę od najbliższego zakładu – „U Eli”.

– Dzień dobry, kochanieńka, ja dziś tylko mycie i czesanie. Mam wieczorem gości, muszę jakoś wyglądać. – Wdowa po aptekarzu ze skromną miną zmierzwiła swe krótkie włosy w kolorze buraka, to jest (bardzo przepraszam!) mahoni.

– Dzień dobry, pani Karolinko. Dawno pani u nas nie było! Jak się tam pani mieszka na tej... – pomimo starań w głosie fryzjerki pojawiła się nuta wyższości – ...wsi?

Wet za wet. Choć krew w pani Morawieckiej wezbrała od razu, choć zagotowała się ze złości i trafił ją szlag, uśmiech nie zszedł jej z twarzy. Wręcz przeciwnie! Nadała mu jeszcze słodszy wyraz, jeszcze wyżej podniosła kąciki ust, aż zakłuły ją mięśnie strudzone podtrzymywaniem ciężkiej przeciw skóry, i przemówiła głosem przypominającym miód spadziowy tuż

przed scukrzeniem.

– Och, bardzo dobrze, bardzo dobrze! Dziękuję! Widoki mam piękniejsze niż tutaj, a i powietrze świeższe. A jak pani zapewne wie, nic tak źle nie działa na skórę jak smog... – Karolina Morawiecka cedziła słowa, a jej spojrzenie centymetr po centymetrze, kawałek po kawałku lustrowało gładką twarz młodej kobiety. – Śmiało mogę powiedzieć, że uciekliśmy ze Stanisławem (niech spoczywa w pokoju) w ostatnim momencie.

Niezręczna cisza wypełniła wnętrze salonu i przez chwilę słyhać było tylko radio nadające w tle skoczną muzykę weselną.

Świadoma odniesionego zwycięstwa, ale i swojej misji, wdowa po aptekarzu wyciągnęła rękę w miłosiernym geście pokoju. Wybaczymy i prosimy wybaczenie. No, w każdym razie: wybaczymy. Zagaiła więc jak gdyby nigdy nic:

– Niech no pani patrzy, jak ten świat się zmienia. – Pani Karolina próbowała nawet ruszyć głową, ale młoda fryzjerka trzymała ją w swoich dłoniach niczym w imadle. – Na wsi niby tak spokojnie być powinno, tak sielsko, a tymczasem na zamku doszło do morderstwa...

– Do morderstwa, mówi pani? – Uchwyt na chwilę zelżał, a fryzjerka uważnie spojrzała w odbijające się w lustrze oczy klientki. – Bo my tu słyszeli, że to jednak wypadek był, ino że wyglądało na zabójstwo. Podobno ten stary Bednarz ją w dzień śmierci poobijał i stąd takie podejrzenia – ściszyła głos.

– Do morderstwa – również szeptem potwierdziła Karolina Morawiecka, z mocą autorytetu i niemal stu kilogramów. – Oj, musiała się biedaczka (niech jej ziemia lekką będzie) komuś narazić...

Czy to sprawiły szept, nadające wszak wypowiedzi charakter tajemniczy i niepokojący, czy może sam temat winy i kary, ofiary i zbrodni, w każdym razie dziewczyna w fartuszkach pochyliła się

nad przyklejającą się do fotela ze skaju klientką i w absolutnym zaufaniu, co kilkakrotnie zostało podkreślone, zaczęła snuć swoją opowieść. A w głosie jej słysząc było i grozę, i satysfakcję.

– Oj, żeby pani wiedziała, pani Karolinko, że pewnie niejednemu za skórę zalazła. O zmarłych źle mówić nie wypada i ja też złego słowa o niej nie powiem. Ale tak tylko między nami powiem pani, pani Karolinko, że ta cała Ania Bednarz to niezłe ziółko było. Udało jej się złapać tego Mateusza Bienia, choć ja mu się dziwię, co on w niej widział. Ale chłopcy to takie są, krótka spódniczka, dekolt i wystarczy. – Rozżalenie na męski ród wzięło górę i na chwilę fryzjerka musiała odłożyć grzebień.

Pani Karolina milczała i tylko nadała swej twarzy wyraz pełnego zrozumienia i współczucia. Dla większego efektu westchnęła, a wraz z jej westchnieniem zafalowała celofanowa narzutka.

– Bo widzi pani, pani Karolinko, ja od zawsze uważałam, że ona z nim dla pieniędzy była. Choć to taki fajny chłopak, nie powiem. Ale tu w zakładzie się różne rzeczy mówi i od niejednej dziewczyny słyszałam, jak Bożę kocham! nie zmyślam!, że ta Bednarz to ciągle jakiegoś chłopaka podrywała. Flirciara taka, że hej! – W złości aż drapnęła panią Karolinę w głowę grzebieniem. – Ojej, nic się pani nie stało? To dobrze, bo sama pani widzi, w jakich ja emocjach jestem. Żal mi tego Mateuszka, bo chłopak rozpacza i jeszcze pić zacznie. Szkoda by była wielka, choć taki chłopak to i tak sobie kogoś znajdzie, nawet jakby pił za dużo. W każdym razie do niego nie dociera, że ta jego Ania przed nim zgrywała świętą, a od dziewczyn z Herbovej, bo przecież u mnie się czeszą, a Patrycję to nawet farbuję – wyznała dumnie, a wdowa z przestrachu aż się w sobie skurczyła (choć zjawisko to ze względu na jej rozmiary nie było zauważalne gołym okiem) – wiem dobrze, że ciągle dawała się podrywać klientom. A jak który był z Krakowa, to się podobno dawała

do miasta na kawę zaprosić! Tylko z tutejszymi nie próbowała, bo wiadomo, szybko by się wydało. Pewnie jej o pieniądze chodziło, bo tam u nich bieda, aż strach! Stary Bednarz niby pracuje, ale dorywczo, no i wszystko przepija. Od śmierci żony tak się rozpił. I w sumie to żal byłoby dziewczyny, bo chciała nie chciała, pracować musiała i ojcem się zajmować, ale z takim charakterem to się i współczuć za bardzo nie da... Świeć, Panie, nad jej duszą – z zadowoleniem spojrzała na tapir na głowie pani Karoliny. – No, fryzurka nam super wyszła! Świetnie pani wygląda!

– Och, dziękuję bardzo. – Jak zwykle skromnie rzuciła wdowa po aptekarzu. Dłuższe siedzenie na fotelu groziło jej odparzeniem skóry, no i w zasadzie nie dowiedziała się niczego nowego. – Czas już na mnie. Ile płacę?

Po wrzuceniu gestem hojnej damy i z odpowiednią miną kilku złotych do kieszonki fryzjerki (czemu towarzyszył niekontrolowany uśmiech obdarowywanej i równie niekontrolowane westchnięcie obdarowującej) Karolina Morawiecka ruszyła do wyjścia. Po siostrę Tomaszę planowała wpaść o jedenastej czterdzieści, zdąży więc jeszcze zajrzeć do trzech salonów. Oby dowiedziała się czegoś nowego, bo w końcu naraża się na znaczne koszty!

Dopiero wizyta w ostatnim zakładzie, w luksusowo brzmiącym „Paris Hair”, dającym nadzieję nie tylko na światową fryzurę, ale wręcz na „zachodni luk” (jak głosił napis reklamowy na szybie), przyniosła pani Karolinie nowe informacje. I to jakie!

Początkowo nic nie wskazywało na to, że tym razem wizyta przebiegnie inaczej niż w poprzednich trzech salonach. Zaczęło się od zwyczajowych przywitań, pełnych ochów i achów, poprawiania tapiru ze skromną miną i deklaracji, że dzisiaj tylko mycie i czesanie, bo wieczorem goście. Tym razem jednak, kiedy pani Karolina usadzona została na skajowym fotelu, a na jej biust

narzucono ortalionową narzutkę w mocnym kolorze fioletu, obok wdowy i czeszącej ją fryzjerki pani Krysi usiadła pani Iza zajmująca się (z racji wciąż młodego wieku i nader zgrabnej figury) strzyżeniem męskim. A kiedy rozmowa zeszła na to, co to się teraz na tym świecie wyprawia i na tę biedną Bednarzównę, co to jednak wcale taka święta nie była, pani Iza dorzuciła od niechcienia:

– Ja tam powtarzać plotek nie zamierzam, bo przecież plotkarą nie jestem i w ogóle to się plotką brzydzę, ale powiem paniom, że na moje oko to się w niej kochał na zabój ten cały Bartosz Skalski, co to ją niby znalazł.

– Ale jak to? – Wdowa zdziwiła się niepomiernie i na moment odwróciła w stronę siedzącej obok kobiety, wyrrywając głowę z rąk czeszącej ją fryzjerki. – Przecież oni podobno się nie lubili. Pan Bartoszek to jej unikał jak ognia.

– No bo potem mu się odmieniło, pewnie jak się na niej poznał – spokojnie wyjaśniła fryzjerka działu męskiego. – Ale zanim Bednarzówna się zaręczyła z tym całym Mateuszem Bieniem, co to naprawdę nie wiadomo, co w niej widział, omamić go musiała jakoś czy co, wiem na pewno, że się Bartoszowi podobała. Mój brat chodził z nim do jednej klasy w liceum. I jak się potem po maturze spotkali, kiedy ten cały Skalski już studiował, i to w Krakowie na ujocie, to Tadek, mój brat znaczy, śmiał się, że Bednarzówna musiała się Bartoszowi spodobać.

– Bo to ładna dziewczyna była – westchnęła pani Krysia. A żal i tęsknota w jej głosie pozwalały przypuszczać, że nie tylko Ania Bednarz, ale i ona sama kiedyś była ładna.

– Ale dziewczyny z Herbovej mówiły, i potwierdza to też drugi ze strażników, ten cały Furgalski, że pan Bartoszek unikał jej jak ognia! – zdenerwowała się wdowa.

– Kto się lubi, ten się czubi – filozoficznie dorzuciła pani Krysia.

Karolina Morawiecka doznała bardzo dziwnego uczucia. Oto coś jest tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Na końcu języka. Skojarzenie, które nie chciało nabrać konkretnych kształtów, ale, jak mgliście przeczuwała, stanowiło klucz do rozwiązania zagadki morderstwa na zamku. Coś jej umykało. Jednak ta nieokreślona myśl minęła równie szybko, jak się pojawiła, przepędzona szumem suszarki. I monologiem fryzjerki działu męskiego.

– Tak po prawdzie – pani Iza przybliżyła się do pani Karoliny i zniżyła głos o pół tonu – to on się potem w kimś innym zakochać musiał. Studia rzucił, tak mi brat mówił – tu przytknęła rękę do biustu, co miało wskazywać na absolutną i niepodważalną prawdziwość dawanego świadectwa – żeby pracować i zarabiać. Miał jakąś dziewczynę, co z nim chciała zamieszkać, ale w Krakowie. No to raczej nie mogła być Bednarz, bo ona już wtedy z Bieniem chodziła. I rzeczywiście Bartosz unikał jej jak ognia. Z wzajemnością. Nawet na wspólnych imprezach ze sobą nie gadali...

– A z tą dziewczyną to co? Są razem? – rzuciła niby od niechcienia pani Krycia. Wdowa po aptekarzu była jej wdzięczna za to pytanie, bo z opuszczoną głową, przytrzymywaną wprawnymi rękami fryzjerki stalowym wręcz chwytem, sama spytać nie mogła.

– E, chyba nie. Nikt jej z Bartoszem nie widział, a on sam od jakiegoś czasu jakiś nerwowy się wydawał. Tadek mówił, że nawet na piwo z chłopakami wyskoczyć nie chce, że niby w Wielmoży siedzieć musi. A jak się o tę dziewczynę spytać, to drażliwy się robi. Pewnie go wystawiła. A szkoda. Taki fajny chłopak. Wrażliwy i w ogóle. – Zamyśliła się nad zawiłością losu i ludzkich ścieżek.

– No, to chyba na tyle. Ładnie pani w tej fryzurce, co nie, Iza?

Po kolejnym hojnym geście i przyjaznych pożegnaniach pani Karolina wyszła wreszcie na ulicę i podekscytowana ruszyła

w stronę kościoła. Była miłość! Tajemnicza dziewczyna! Tak, to może być to!

* * *

Siostra Tomasza czekała już na przykościelnym parkingu, w ręce trzymając jednorazową reklamówkę wypełnioną po brzegi.

– Szczęść Boże, pani Karolino. – Zakonnica podniosła siatkę w tryumfalnym geście. – Mam ciasto! Pomyślałam sobie, że się jakoś odwdzięczę za dobroć, choćby kupnym serniczkiem. Bardzo pomogła pani wikaremu Szymonowi! Od niego z podziękowaniami są torciki hiszpańskie! Myślę, że i dla pana Stachlaka, i dla pani do popołudniowej kawy wystarczy.

– Szczęść Boże, siostró, i Bóg zapłać. Proszę podziękować księdzu Szymonkowi. – Wdowa nie wiedziała co prawda, w jaki sposób mu pomogła, ale nie zdziwiła się wcale. Wiadomo, ksiądz, nawet młody, to się zna na ludziach. – Świetnie się składa, że nie musimy zaglądać do cukierni, bo mam kilka interesujących informacji. Zamiast jechać trasą na Wolbrom, pojedziemy dłuższą i zdążymy sobie wszystko opowiedzieć przed wizytą u pana Edwardka.

Siostra Tomasza zbladła, a jej wargi poruszyły się w rozpaczliwej modlitwie do Świętego Krzysztofa. Dłuższa trasa oznaczała jazdę ulicą Olkuską.

Niewątpliwie droga wojewódzka numer 773, prowadząca przez Dolinę Prądnika, pozbawiona w zasadzie jakichkolwiek zabudowań, jest piękniejsza od tej o numerze 794. Po obu jej stronach rozpościerają się lasy, o tej porze zrzucające już zielone liście i przeobrażające się w żółte i czerwone malowidła, gęsto poprzątkane białymi ścianami skał. Ale trasa ta ma jedną cechę, która w obecnym położeniu wydała się siostrze Tomaszcy

straszna, śmiertelną wręcz wadą. Otóż na odcinku Skała – Wielmoża droga wojewódzka numer 773 wije się wieloma zakrętami. W zasadzie to jeden wielki zakręt.

– No już, niech siostra wsiada i ruszamy, bo czasu nie ma – niecierpliwiła się pani Karolina.

A kiedy posłuszna niczym automat, wciąż błada zakonnica usiadła obok kierowcy i zdrętwiałą ręką zapięła pas, Karolina Morawiecka rozpoczęła opowieść o trudach, które podjęła dnia dzisiejszego, i o owocach, które te trudy przyniosły. A im głębiej się w tej opowieści zanurzała, im bardziej się na niej skupiała, tym mocniej naciskała na pedał gazu, tym gwałtowniej ruszała drażkiem zmiany biegów i częściej kierowała wzrok na pasażerkę. Jak się z kimś rozmawia, należy patrzeć mu w oczy!

Trzymająca się kurczowo jedną ręką deski rozdzielczej, drugiej drzwi, zakonnica nie była w stanie w pełni śledzić wywodu pani Karoliny i dopiero zakończenie przykuło jej uwagę.

– ...to trzeba jeszcze uzgodnić z panem Edwardkiem, kto jak kto, ale on takie rzeczy wiedzieć będzie na pewno, a wszystko wskazuje na to, że pan Bartoszek podkochał się swego czasu w Bednarzównie. Do czegoś tam musiało dojść, skoro teraz się kłócili i unikali siebie nawzajem. Potem on się związał z jakąś tajemniczą dziewczyną, ale z tego też nic nie wyszło. I co siostra na to? – zakończyła podekscytowana.

– Ciekawe, że w zasadzie nikt o miłości pana Bartosza do ofiary nie wspomniał – wydusiła wreszcie siostra Tomasza. – Nawet Alina Stachowiak o tym nie mówiła, nie mówiąc już o pani Zuzannie. Więc albo to było naprawdę dawno, albo bez znaczenia, albo...

– ...albo nikt nie chciał nakierować nas na trop! A może to właśnie jest nasz motyw? Soha zabija przypadkiem Bednarzównę, bo ta dokucza panu Bartoszkowi? Albo go uwodzi czy coś?

Dopiero kiedy pani Karolina wypowiedziała na głos słowa, które przecież obie miały na myśli, zdały sobie sprawę z ich bezsensu. Rozczarowane pokręciły głowami, przy czym wdowa po aptekarzu wreszcie spojrzała na drogę, dzięki czemu twarz siostry Tomaszy powoli zaczęła odzyskiwać kolor.

– No nie, to nie brzmi za dobrze. – Zakonnica odezwała się pierwsza.

Pani Karolina nie miała w sobie dość siły, by przyznać się do porażki. Z zaciętą miną wpatrywała się w asfalt jezdni, jakby to on był winien zawiłościom tego śledztwa, i wyładowywała się na skrzyni biegów.

– Ale to i tak ciekawe. – Siostra Tomasza za wszelką cenę chciała spowolnić jazdę, musiała więc zadbać o lepszy humor kierowcy (a w zasadzie: „kierowczyni”, poprawiła się w myślach, bo przecież nie „kierowniczkę” ani nie „kierownicę”?!).

– A może jakiś chłopak z Krakowa ją zabił? – Karolina Morawiecka chwyciła się ostatniej deski ratunku, ale rzeczywiście zwolniła i łagodnie pokonała zakręt. – Bo jeśli ta cała Bednarzówna się czasem z którymś umawiała „na kawę” – ostatnie słowo wypowiedziała z przekąsem i aż się zarumieniła, że przy siostrze zakonnej na taką aluzję sobie pozwoliła – to przecież do różnych problemów mogło dojść...

– W ciąży nie była na pewno. – O dziwo zakonnica nie tylko się nie zawstydziła, nie zbladła ani nie zaczerwieniła, ale odzyskała normalny kolor na twarzy. – Przecież na sekcji zwłok by to wyszło. A jeśli nawet nie podano by tego do powszechnej wiadomości, to przecież pan podkomisarz Cegła by nam o tym wspomniał. Ale rzeczywiście taki romans mógł się wymknąć spod kontroli. Chłopak mógł jej zagrozić, że wszystkim opowie...

– Zaszantażować nawet!

– Choć pewnie nie o pieniądze mu chodziło.

– ...więc zaprosiła go na spotkanie na zamku nocą...

- ...niby na randkę, ale wszystko wymknęło się spod kontroli...
- ...pokłócili się i on ją zrzucił!

Przed nimi, po prawej stronie, wyłoniła się Maczuga Herkulesa, następnie stawy i wreszcie ściana zamku w Pieskowej Skale, nawet w skąym świetle październikowego dnia oszałamiające swą urodą. Zamyślane kobiety nie zwróciły jednak na te cuda żadnej uwagi.

Jedna właśnie wyobrażała sobie spotkanie w wielkiej sali z wypolerowanym jasnym parkietem i rzędami krzesel wyściełanych czerwonym aksamitem, gdzie na oczach wszystkich zebranych wskazuje mordercę biednej Anny Bednarz. A kiedy zatryumfowała sprawiedliwość, zatryumfowała także ona, noszona na rękach przez samego podkomisarza Cegłę i młodszego aspiranta Batorego (koniecznie w mundurach), obdarowywana kwiatami przez sołtysa, wójta, a nawet burmistrza, wśród oklasków i łez wzruszenia mieszkańców Skały i Wielmoży. A kto wie, kto wie – może nawet i Krakowa?... Pośród wiwatujących na jej cześć ujrzała wyraźnie eleganckiego mężczyznę. Ubrany w garnitur z kamizelką i w błyszczących lakierkach musnął ręką wypomadowany wąsik i posłał jej namiętne, głębokie spojrzenie.

- Brawo! Brawo! – wyszeptał z francuskim akcentem...

Druga z wdzięcznością kończyła właśnie *Zdrowaś Mario* – co tam motyw zbrodni, do domu pana Edwarda zostało już tylko kilkaset metrów drogi. Prostej drogi, alleluja!

* * *

- ...mówię paniom, że zaraz będzie koniec świata! I to jest kara Boska za to, co się teraz na świecie wyprawia!

Albo to wina nad wyraz słodkiego ciasta, albo emocji związanych z odwiedzinami, w każdym razie Edward Stachlak już

od dobrych trzydziestu minut nie przestawał mówić. A w zasadzie krzyczeć. Choć trzeba przyznać, to nie dźwięki, a treść jego wywodów przyprawiła siostrę Tomaszę o ból głowy. O dziwo, wdowa po aptekarzu wydawała się całkiem nieźle trzymać – pewnie to kwestia przyzwyczajenia.

– Huragany jakiesi, zniszczenia na Pomorzu! – kontynuował, a żyłka na jego czole niebezpiecznie drgała. – To wszystko przez grzych! A już największy grzych to ta cała Łunia Europejska, mówięjawi! To wszystko wina tego... – Z satysfakcją wyrzucił z siebie nazwisko znieawidzonego polityka. – I tych jakichś brejkziców! Czemu oni ten kraj przed nami zamykają, tę Wielką Brytanię, no czemu? Bo katolików diabeł się boi! I zaraz im to euro zleci na pysk, na szyję, mówięjawi!

– Chyba funt, jak już – rzuciła czujnie wdowa.

– Jaki funt? – zaperzył się pan Edward. – Euro, mówięjawi!

– Ale w Wielkiej Brytanii nie ma euro, jest funt. Oni nie zmienili waluty. – Ku zdziwieniu siostry Tomaszy pani Karolina odpowiadała, jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby nie rozmawiała z wariatem.

– Jak funt, jak euro, mówięjawi! W całej Łunii jest euro, przez tego... – Gospodarz splunął ze złością na podłogę. Najwyraźniej z tych emocji Stachlak zapomniał, że siedzi wraz z gośćmi w dużym pokoju, a może było mu wszystko jedno, czy pluje na trawę, czy na linoleum. Roztarł ślinę gumiakiem, jak gdyby nigdy nic.

– Ależ my jesteśmy w Unii i mamy złotówki. – Sąsiadka nie dała się wyprowadzić z równowagi.

Pan Edward poczerwieniał jeszcze bardziej, choć wydawało się to już absolutnie niemożliwe.

– Bo łun już u nas nie rządzi! – krzyknął tryumfalnie, a żyłka powiększyła się o kolejne nanometry. – Ale jak tylko ta cała hołota znowu się do koryta dorwie, to będziemy mieli euro.

A potem to już nic, tylko huragany przyjdą i wszystko zniszczą. Całą Polskę!

Prorok Eliasz nie powiedziałby tego lepiej! Świętemu Janowi w Apokalipsie nie udało się osiągnąć takiej grozy, jaka wybrzmiała w głosie zdesperowanego emeryta! O ile ewangelista miał tylko papier i słowa, o tyle pan Edward dysponował i słowem, i mimiką, i gestykulacją. I teraz oto wyposażony we wszystkie te środki podniósł się z krzesła, wzniosł obie ręce do góry niczym natchniony głosem Pańskim, nadał się jak siedem trąb i wychrypiał złowieszczą pointę:

– A wszystko to zniszczenie przez niego. I Żydów.

Tego już siostra Tomasza nie wytrzymała. Poderwała się z krzesła i powiedziała wyraźnie, kategorycznym tonem nauczycielki, która nie uznaje ani odpisywania zadań, ani chichotów na lekcji:

– Musimy już iść, do widzenia panu.

Kiedy zdumiona pani Karolina zaczęła podnosić się z krzesła, siostra Tomasza wzięła głęboki wdech i rzuciła w stronę gospodarza:

– Panie Edwardzie, a pan wie, że Pan Jezus był Żydem?

W pokoju gościnnym zapadła absolutna cisza. Nawet spasiona październikowa mucha przestała latać nad wyłożonym na talerzyki ciastem (a w zasadzie nad okruszkami) i wystraszona przycupnęła na obrusie.

Wdowa po aptekarzu pobladła, z kolei pan Edward zsiniał – pewnie dlatego, że przy poprzedniej wypowiedzi skończyła się mu skala czerwieni.

– Co też siostra mówi? – wyszeptała przerażona pani Karolina.

– Koniec świata, koniec świata, mówięjadam!

* * *

Stęskniona Penelopa na widok powracającego Odysa nie szła w tym tempie! Kmicic na widok pięknego lica Oleńki nie przebierał tak szybko nogami! I nawet kula ze strzelby księdza Robaka nie leciała z taką prędkością w stronę rannego niedźwiedzia, jak Herianówką w stronę Podzamcza sunęły dwie postacie. A w zasadzie pierwsza z nich, wysoka i chuda jak chart, przyodziana w czarny, powiewający na wietrze habit. Za nią – a wraz z kolejnymi metrami dystans ten robił się coraz większy – dreptała półkolista postać z buraczanym tapirem na głowie.

Dom Edwarda Stachlaka od domu pani Karoliny dzieliło niewiele ponad sto metrów, na szczęście już po trzydziestu siostra Tomasa zaczęła dochodzić do siebie. Zawdzięczała to niewątpliwie modlitwie do Świętej Teresy z Ávili, patronki od utrapień duchowych, oraz Świętemu Barnabie, pomocnemu w kłótni, którym zawierzyła swój (jakże daleki od równowagi) stan ducha. Odwróciła się w stronę drepczącej i sapiącej wdowy, ale na wszelki wypadek postanowiła się jeszcze przez chwilę nie odzywać. Zwróciła się za to w myślach do swojego anioła stróża z prośbą o pomoc i dar wewnętrznego spokoju.

– Niech się siostrzyczka tak nie denerwuje – wyrzuciła z siebie pani Karolina, która za nic na świecie nie chciała uczestniczyć w scenie na ulicy. Co innego bowiem obserwować czyjeś emocje zza firanek, a co innego stać się przedmiotem takich obserwacji. – Pan Edzio muchy by nie skrzywdził. On tylko tak plecie trzy po trzy.

– Ale pomimo usilnych pani starań, o panu Bartoszu mówić nie chciał. Ani o Ani Bednarz, czy tej pani Zuzannie. Nic, tylko o polityce, na której się w ogóle nie zna!

Wdowa po aptekarzu zachowała kamienny wyraz twarzy. Na znak pełnej zgody skinęła głową, wzięła siostrę Tomaszę pod łokieć i powolnym spacerowym krokiem ruszyły w stronę domu. W jej głowie jednak kotłowały się myśli, w tempie

dorównującym zwawym krokom, w jakim wzburzona zakonnica opuściła dom emeryta. Dotąd pani Karolinie ani razu nie przeszło przez myśl, że Stachlak może się nie znać na polityce. Przecież to mężczyzna! Owszem, jego wypowiedzi na ten temat zazwyczaj pozbawione były logiki, za to pełne sprzeczności i intelektualnych mielizn, ale Karolina Morawiecka zawsze sądziła, że to trema go zjada. W końcu on wdowiec, ona wdowa... A tu siostra Tomasza po pierwszym spotkaniu tak go rozszyfrowała!

* * *

– Nie wiem, jak siostrzyczka – pani Karolina rzuciła znad kuchennego stołu uważne spojrzenie w stronę wciąż pochmurnej zakonnicy – ale ja po takim wzburzeniu lubię coś przekąsić. Choć, oczywiście, po tych ciastkach głodna nie jestem.

– A wie pani, pani Karolino – oblicze pod kornetem rozjaśniło się nieco – że to może być rzeczywiście dobry pomysł. Ja, broń Boże!, nie chcę pani przeszkadzać, ale pani ma ewidentny dar od Pana, a takie małe co nieco byłoby chyba stosowne do okoliczności.

I rzeczywiście. Papardelle z musem dyniowym i borowikami, posypane startym parmezanem i świeżo zmielonym zielonym pieprzem, udekorowane drobno posiekaną natką pietruszki, zdziałało cuda. Wyraźnie odprężone kobiety zaczęły nawet chichotać na wspomnienie miny emeryta.

– Myślę, że pan Edzio do końca życia siostry nie zapomni.

– Może być pewien, że i ja długo o nim będę pamiętać. I na pewno się za niego pomodłę.

– Szkoda tylko, że nie udało się nam od niego wyciągnąć żadnej konkretnej informacji na temat Bartosza Skalskiego i Bednarzówny. No i Zuzy Sohy – westchnęła pani Karolina. –

Może rzeczywiście mamy rację z tym tajemniczym chłopakiem z Krakowa...

– Tylko nie bardzo wiem, jak mogłybyśmy go namierzyć – zmartwiła się siostra Tomasza. – Może podkomisarz Cegła będzie miał jakiś pomysł? Pewnie wystarczy sprawdzić jej komórkę albo skrzynkę mailową. Nie wie pani przypadkiem, czy to zrobili? Bo jakoś się o to nie spytałam...

Zrządzenia losu bywają nieprzewidywalne. Tak jak ludzie. W tej bowiem chwili w przedpokoju rozległ się dźwięk, który wywołał ciarki na plecach zakonniczy. Trufla, jak zawsze w czasie posiłków siedząca w kałuży śliny przy stole i licząca na resztki spadające z talerza albo na okruchy podawane litościwie z pańskiego stołu, zawyła. Mimo to nie ruszyła się z miejsca. Talerz wciąż był na stole, a wiadomo, dopóki talerz na stole, dopóty jedzenie w grze (czy jakoś tak). Koszmarna mechaniczna wersja *Dla Elizy* rozbrzmiewała dalej, aż pani Karolina podniosła wreszcie słuchawkę.

– Allo? – cieniutki niczym słowicze trele głosik gospodyni przebił się na drugą stronę wynalazku pana Bella. – Kto mówi? Ach, o wilku mowa, a wilk tu! – zaświergotała. – Panie komisarzu, dobrze, że pan dzwoni, bo rozmawiamy sobie teraz z siostrą Tomaszą o tym strasznym nieszczęściu. – Tu nastąpiło wyraźne westchnienie, żeby na pewno rozmówca usłyszał. Nawet gdyby dzwonił z Otwocka, a nie ze Skały. – Proszę mi nie przerywać, panie Adasiu! Nie wiemy, czy policja sprawdziła komputer, to jest maile Ani Bednarz (świętej pamięci). I jej esemesy. Bo mam, to znaczy mamy, taki pomysł, że ofiara miała romans z jakimś chłopcem z Krakowa, którego mogła poznać w Herbovej, a potem doszło do nieszczęścia... Ale proszę mi nie przerywać, panie Adasiu! Sprawdziliście? I nic podejrzanego nie znaleźliście? No dobrze, dobrze, trudno się mówi. Będziemy szukać dalej... Jak to nie będziemy? – Głos rozbrzmiał nagle oktawę wyżej. – Jak to

nie będziemy? Jak to umorzenie śledztwa? Ależ, panie Adasiu, co pan wygaduje?! Że prokurator kazał zamknąć?! Bo technicy nic nie znaleźli? Ależ ja się nie zgadzam! Absolutnie! Nie, może pan się poddaje, ale ja nigdy! Kobiety walczą do końca, w imię uciśnionych i zabitych! Do widzenia.

Słuchawka telefonu niebezpiecznie zatrzeszczała w mocnym uścisku pani Morawieckiej. Kiedy wreszcie wdowa odłożyła ją na widełki, na plastikowej obudowie pojawiła się, niewielka na szczęście, szczelina. Jednak ani rysa, ani towarzyszący jej dźwięk pękającego materiału nie zostały zauważone^[14].

– Wszyscy święci, ratujcie! – zaapelowała o pomoc siostra Tomasa i podeszła do czerwonej na twarzy i dygocącej z wściekłości wdowy. – Śledztwo umorzone? To był wypadek?

– Nie wiem jak siostra – głos pani Karoliny wciąż jeszcze drżał z emocji, ale wyraźnie pobrzmiwała w nim nuta twarda jak stal – ale ja się nie mylę. Mogą sobie uznawać śmierć Bednarzówny za nieszczęśliwy wypadek. Mogą zamykać śledztwo. Ale ja się nie poddam. Bo wiem, że to było morderstwo!

Ani wypowiadająca te słowa, ani wysłuchująca ich siostra Tomasa, ani nawet rozdygotany podkomisarz Cegła, palący teraz papierosa na tyłach komisariatu w Skale (choć rzucił jakiś czas temu), nie wiedzieli, że wdowa po aptekarzu miała rację (jak zawsze zresztą). Anna Bednarz rzeczywiście została zamordowana.

A na dodatek następnego dnia zabójca miał znowu uderzyć. I teraz właśnie zastanawiał się nad tym, jak uciszyć świadka...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W KTÓRYM PANI KAROLINA ROBI
ŚNIADANIE, A MORDERCA ROBI SWOJE

Ani nocne ukradkowe przekąski, ani słodkie desery wieńczące uroczyste trzydaniowe obiady, ani sute kolacje przed telewizorem; ani lody z bitą śmietaną, ani ciastka nasączone rumem; ani szaszłyki, ani befsztyki; ani przeróżne makarony; ani nawet ramen – nic nie umywa się do śniadań! Do tego cudnego zjawiska, kiedy po trudach nocy, a przed trudami dnia najpierw nozdrza są atakowane przez wyrefinowane wonie, aby po chwili żołądek powoli napełnić się mógł różnymi dobrami.

O, godne czci soplicowskie śniadania! O, zupo piwna z chmurami twarogu! O, półmiski pełne wędlin! O, ozorki! O, półgęski! O, mityczne, a tajemniczo brzmiące kumpie! Choć zniknęłyście bezpowrotnie, pamięć o was wciąż gości pod polskimi strzechami. I chociaż pani Karolina nie słyszała o was wcale, chociaż nie przykładała się zbytnio do lektury, to jednak w jej domu odwiecznie składano wam cześć. Dlatego i teraz, przepełniona smutkiem i irytacją, przystąpiła do codziennego misterium przygotowania pierwszego posiłku.

Dno ramekina wyłożyła plasterkami bekonu i drobno posiekaną cebulką. Wbiła do naczynia dwa jajka, posypała je solą i świeżo zmieloną pieprzem, a następnie zalała tłustą śmietanką (30%)

i przykryła sporym kawałkiem parmezanu. Kiedy jajka zapiekały się w specjalnie przygotowanej kąpieli wodnej, a z piekarnika rozszedł się zapach pokrzepiającej ducha i ciała obietnicy posiłku jednocześnie chrupkiego i rozplływającego się w ustach, wdowa po aptekarzu poczuła się nieco lepiej. Wczorajszy dzień dał jej mocno w kość.

Niezbyt udana wizyta u pana Stachlaka stanowiła zaledwie preludium, wstęp do przykrych i irytujących wydarzeń. Psujących humor pani Karoliny jak, nie przymierzając, zgniłe jajko psuje woń i smak. Czegokolwiek.

Kiedy wczoraj zapakowała siostrę Tomaszę do samochodu i odwiozła do Skały, na przykościelnym parkingu uznała, że skoro jest tak blisko komendy, grzechem byłoby nie zajrzeć do środka. Wpadła więc na komisariat policji w takim tempie, że nawet jej natapirowane i poczwórnice utrwalone lakierem włosy rozwiały się na wszystkie strony świata. I, co rozsierdziło ją jeszcze bardziej, zobaczyła, że życie toczyło się tu jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby sprawiedliwość nie została śmiertelnie ugodzona zamknięciem sprawy zgonu Anny B. Jak gdyby to, że doszło do morderstwa, a sprawcy nikt nie zamierzał szukać, było naturalne i słuszne.

Młodszy aspirant Rafał Batory jadł więc, jak gdyby nigdy nic, porcję pierogów z plastikowego talerza. Odgrzane w mikrofalówce śmierdziały folią i sztucznym aromatem cebuli. Już samo to było przestępstwem! Ale fakt, że opychał się nimi z wyrazem ewidentnego zadowolenia na twarzy, że z przyjemnością ocierał brodę z tłuszczu za pomocą najtańszej papierowej serwetki w niecałą godzinę od zamknięcia nierozwiązanej przecież sprawy, było najczystsza zbrodnią.

– Nie spodziewałam się tego po panu, panie Rafałku – rzuciła mu prosto w twarz.

Policjant zamarł. Kawałek pieroga utknął mu w przełyku

i najprawdopodobniej to właśnie było powodem purpurowego rumieńca, który zalał jego twarz. Walcząc z kulą ciasta, nie był w stanie wyrzec ani słowa – i kto wie, może to właśnie uratowało mu życie. Wdowa po aptekarzu minęła go bowiem z kamienną miną i niczym tornado wpadła do gabinetu podkomisarza Cegły. Nie zapukała.

– Trzeba natychmiast, ale to natychmiast wznowić śledztwo! – pochyliła się nad biurkiem Adama Cegły, uwięziwszy tym samym podkomisarza na jego obrotowym fotelu, za brzydkim meblem w sosnopodobnej okleinie.

– Tylko spokojnie, tylko spokojnie – wymamrotał uspokajająco mężczyzna. Nie wiadomo: do siebie czy do gościa.

– Panie Adasiu! Już ja panu dam: spokojnie! – Kolor włosów zlał się całkiem z twarzą i szyją pani Karoliny. Wyglądała teraz jak najczystsze ucieleśnienie buraczkowej furii. – Jak ja mam zachować spokój, kiedy pozwala się mordercy chodzić spokojnie po świecie?! I to jeszcze po mojej wsi! Pan też zachowałby spokój, gdyby każdej nocy, każdego dnia, co więcej – każdej minuty – czuł się pan zagrożony?! Gdyby był pan słabą kobietą, a jedyną podporą, jedyną osłoną przed czającym się Złem byłby dla pana pies? – Niemal załkała. Może nieco zbyt teatralnie, ale uwięziony pan Adam nie zwrócił na to uwagi. I to ma być śledczy...

Podkomisarz próbował wstać, ale biust pani Karoliny nie pozwolił mu się wyprostować. Usiadł więc znowu i zaczął tłumaczyć:

– Pani Karolinko, ja rozumiem, że pani się bardzo zaangażowała w tę sprawę. Jestem, ba! Nie tylko ja! Cała policja, cała Skala – jesteśmy pani szalenie zobowiązani. Ale czasem tak bywa, że nasza intuicja okazuje się zawodna...

– Chyba pańska. Moja mnie nigdy nie zawiodła – rzuciła z dumą. Ale najwidoczniej wizja całej społeczności doceniającej jej trud podziałała. Wdowa po aptekarzu odsunęła się nieco,

a podkomisarz Cegła mógł wreszcie głębiej zaczerpnąć powietrza.

– Tak, oczywiście, droga pani Karolinko, miałem na myśli swoją intuicję. To moja wina. Pozwoliłem pani uwierzyć, że Bednarz Anna została zamordowana. Tymczasem wszystkie, ale to wszystkie ślady, a w zasadzie ich brak, wskazują na nieszczęśliwy wypadek.

– Przecież wspólnie ustaliliśmy, że wydarzenia te są co najmniej podejrzane! – Furia ustępowała powoli. Morawiecka odsunęła się jeszcze bardziej, uwalniając policjanta z zabójczej pułapki, ale przesłuchanie dopiero miało się rozpocząć. Usiadła na krześle naprzeciwko biurka.

– Czyli co według pana i tego całego... prokuratora – pani Karolina wypowiedziała to słowo z taką pogardą, że po plecach Cegły spłynęła stróżka potu – stało się w nocy z czwartku na piątek ósmego września?

W tym momencie do drzwi zapukano i po chwili pojawiła się w nich głowa młodszego aspiranta. Na twarzy Rafała Batorego nawet niewprawne oko dostrzec mogło ciekawość zmieszaną z autentycznym przerażeniem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie podkomisarzu, ale przysłała do pana siostra Tomasza. Pomyślałem, że może...

– Niech siostrzyczka wchodzi – zawołała łaskawie pani Karolina. – Przynajmniej nie będę potem musiała wszystkiego powtarzać. Może z Bożą pomocą uda się nam namówić policję do walki z przestępczością – rzuciła kąśliwie.

– Szczęść Boże – przywitała się siostra Tomasza.

– Szczęść Boże. – Podkomisarz Cegła wreszcie wstał. Wyszedł za biurka, niby żeby przystawić zakonniczy krzesło, ale tak naprawdę chciał zająć mniej niedogodną pozycję. Najlepiej blisko drzwi...

Wdowa po aptekarzu przejrzała go jednak na wskroś.

– Panie Adasiu – zaćwierkała, ale w słodkim niby ulepek tonie

jej głosu mocno wybrzmiała groźba. – Nie wypada, naprawdę, żeby w czasie pracy osoba na pana stanowisku zajmowała miejsce dla petentów. Proszę wracać na swoje krzesło! – rozkazała. – Chyba się pan nie boi? Bogu ducha winnej wdowy, starszej od pana, bo choć tego nie widać i wiem, że teraz się pan mocno zdziwi – odruchowo dotknęła włosów – ale ja już na emeryturze jestem... i zakonniczki. No, panie Adasiu, pan siada i tłumaczy. A my słuchamy.

– Panie podkomisarzu. – Siostra Tomasza włączyła się do rozmowy. – To musi być jakaś pomyłka. Naprawdę zamknie pan sprawę tej biednej Anny Bednarz?

– Śledztwo już zostało zamknięte. – Cegła opuścił wzrok na odłączającą okleinę i przez chwilę studiował kolor i fakturę swoich paznokci. – Technicy zbadali dokładnie bramę i z całą pewnością orzekli, że na zamek w Pieskowej Skale nie było włamania. Najprawdopodobniej będący wtedy na stanowisku pracy strażnik Skalski Bartosz nie dopełnił obowiązków służbowych i nie zamknął bramy wejściowej. Z nieznanym nam niestety powodów denatka postanowiła przyjść nocą ponownie za zamek. Może orientowała się, że strażnicy będą zajęci oglądaniem meczu, może nie chciała im przeszkadzać albo potrzebowała chwili dla siebie. Usiadła na murku okalającym część dziedzińca i najprawdopodobniej spadła. W tym przypadku wykluczamy samobójstwo. Taka interpretacja niczego dobrego nikomu nie przyniesie... Może zbyt się przechyliła, może przestraszyła – na przykład huczącej sowy. Tego już się nie dowiemy. Spadła, zabiła się na miejscu. Bardzo mi przykro, ale to był wypadek. – Rozłożył ręce.

– Panie podkomisarzu. – Siostra Tomasza starała się mówić spokojnie. – Chyba przyzna pan, że w tej sprawie jest dużo, bardzo dużo kwestii, delikatnie rzecz biorąc...

– ...niejasnych! – Pani Karolina uderzyła ręką w blat biurka. –

Wymagających wyjaśnienia i ewidentnie wskazujących na zbrodnię!

– Drogie panie. – Cegła westchnął głęboko i obiecał Panu Bogu, że jeśli uda mu się uspokoić i przekonać te dwie furie, to przez tydzień nawet nie spojrzy na alkohol (choć przecież i tak prawie nie pił). – Tak naprawdę wszystko można logicznie wytłumaczyć.

– Proszę, proszę, niech pan spróbuje – zachęciła go wdowa po aptekarzu. Ironia w jej głosie była wręcz namacalna. – My tu z siostrą Tomaszą na nic innego nie czekamy.

– Gdyby ojciec ofiary nie przyznał się do rękoczynów, to i owszem – zaczął – mielibyśmy do czynienia ze zbrodnią. Ślady na szyi denatki w postaci zasinień jednoznacznie wskazywały na udział osób trzecich w tym jakże przykrym zdarzeniu. Scenariusz, który zakładaliśmy – ręką wykonał gest sugerujący pewną wspólnotę osób znajdujących się w pomieszczeniu – przewidywał, że Bednarz Anna przyszła nocą na zamkowy podworec na umówione z kimś spotkanie i tam, z niejasnych przyczyn, została przez sprawcę złapana za szyję, przyduszona, a następnie zepchnięta z muru do zamkowego ogrodu. Jednak, gdyby śladów na szyi nie było, od początku prowadzilibyśmy postępowanie pod kątem nieszczęśliwego wypadku. Dlatego też wyjawienie przez ojca zmarłej informacji o awanturze i rękoczynach wiele wyjaśniło. Można wręcz rzec: rzuciło nowe światło na zaciemniony dotąd obraz wydarzeń. To, co braliśmy za dowody na popełnienie przestępstwa, miało całkiem inny charakter. A skoro nie było sprawcy, śmierć musiała być wynikiem nieszczęśliwego wypadku! Oczywiście – podniósł ręce do góry, wskazując tym samym na swe czyste jak szpitalne prześcieradło intencje – dalej pozostaje to sprawą tajemniczą. Wciąż nie znamy powodów, które zaprowadziły dziewczynę tamtej nocy do Pieskowej Skały. I zapewne nigdy ich nie

poznamy. No ale, drogie panie, przecież zebrane dowody nie kłamią. A one nie mają znamion czynu zabronionego.

Mężczyzna popatrzył na słuchające go uważnie kobiety i leciutko się uśmiechnął. Ma się jednak tę wprawę, ma tę charyzmę. Żelazna logika męskiego wyводу zawsze wygra z emocjami. Nawet takimi (znów wzdłuż kręgosłupa spłynęła mu kropla potu), które początkowo wydają się nie do opanowania.

– Panie podkomisarzu. – Zakonnica ubiegła wdowę. – A co z samochodem? Rozumiem, że nie znaleźliście żadnych śladów włamania, a dziewczyna samodzielnie przyjechała nim na zamek. Ale gdzie w takim razie są kluczyki?

– No tak – zająknął się nieco policjant. – To jeden z tych nierozwiązanych elementów. Nie wiemy, gdzie są kluczyki... Zakładamy, że pod wpływem impulsu Bednarz zostawiła je w polonezie swojego ojca. Wiedzą panie, tu na wsi często nie zamykamy ani domów, ani furtek, ani samochodów. Co zresztą nie jest bezpieczne i jako policja próbujemy wyplenić ten nawyk. W każdym razie zmarła najpewniej zostawiła kluczyki na siedzeniu albo w tej nieszczęsnej torebce, nie bojąc się kradzieży tak starego samochodu.

– Albo zostawiła otwarty samochód, bo wiedziała, że już do niego nie wróci. – Ze smutkiem pokiwała głową zakonnica. – W ten sposób miała pewność, że ojciec znowu będzie nim jeździł...

– Niestety, ktoś te kluczyki ukradł.

– Co za bzdury! – Twarz pani Karoliny znowu nabrała odcienia fryzury. – I to siostra takie rzeczy wygaduje! Po co komuś kluczyki, jeśli nie kradnie samochodu! A gdzie list?

– Pani Karolinko, ja rozumiem, że pani jest bardzo, nad wyraz wręcz wrażliwa i zaangażowana emocjonalnie w tę sprawę – mówiący te słowa podkomisarz mimochodem dostrzegł pełne uznania spojrzenie siostry Tomaszy – ale proszę pamiętać,

że samobójcy nie zawsze zostawiają list. Nie zawsze. Zresztą przypominam, bo panie zdają się o tym nie pamiętać – westchnął – że tu o żadnym samobójstwie nie może być mowy. A kluczyki ktoś najprawdopodobniej ukradł razem z torebką pozostawioną w otwartym aucie. Ewentualnie schował je dla kawału i teraz nie chce się przyznać. Albo złodziej po prostu został przepłoszony w trakcie kradzieży. Albo planował wrócić po pojazd, ale ten był już wtedy zabezpieczony przez nas...

– Na samochodzie nie było żadnych śladów wskazujących na włamanie!

– To też można łatwo wytłumaczyć. – Podkomisarz przybrał głos rodzica pragnącego przekonać swe dziecko, że grysik na mleku jest bardzo, ale to bardzo dobry. Tak jak mleko z koźchem. – Wystarczy, że ktoś zorientował się, że samochód jest otwarty. W tych starych modelach to widać, po prostu. I otworzył drzwi tak, żeby nie zostawić odcisków – na przykład w rękawiczce albo przez tkaninę, choćby sweter czy koszulę.

– W takim razie – pani Karolina nie dawała za wygraną – co z torebką? Nie wierzę, że Bednarz tak po prostu zostawiła ją w samochodzie. My, kobiety, torebkę bierzemy ze sobą odruchowo. OD-RU-CHO-WO – przesylabizowała, żeby dotarło do tego upartego, zadowolonego z siebie policjanta. – A z tego, co wiem, jej torebka tania nie była. Dostała ją od narzeczonego, a ten nie skąpił na prezenty dla ukochanej. Takiej drogiej, markowej torebki nie zostawia się ot tak, na pastwę złodziei. Jeśli rzeczywiście chciała popełnić samobójstwo, to albo zostawiłaby ją w domu, albo wzięła ze sobą na zamek. Innej opcji nie ma!

– No cóż, na torebkach się nie znam i, jak zaznaczałem już niejednokrotnie, w tej sprawie jest kilka kwestii po prostu niezrozumiałych, może nawet i tajemniczych, ale nic nie wskazuje na czyn karalny. Trzeba też pamiętać, że to wyniki sekcji zwłok wykluczają samobójstwo. – Zmęczenie w głosie podkomisarza

Cegły stało się wyczuwalne. – Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale plamy opadowe i ułożenie ciała jednoznacznie wskazywały na upadek, nie skok. Jestem absolutnie pewien, droga pani Karolinko, droga siostró, że jak to sobie panie na chłodno przeanalizują, to dojdą do tych samych wniosków.

Podkomisarz Adam Cegła wstał i w przypływie odwagi wyszedł z biurka. Z kamienną miną ujął dłoń pani Karoliny i złożył na niej szarmancki pocałunek. Za cholerę nie wiedział, co zrobić z zakonnicą, ale na szczęście siostra Tomasza po prostu podała mu rękę i mocno ścisnęła na pożegnanie.

– Jeszcze tu wrócę, panie Adasiu, jeszcze tu wrócę – rzuciła Karolina Morawiecka, wychodząc z gabinetu.

Oby nie – pomyślał podkomisarz. I na wszelki wypadek dorzucił dobremu Bogu jeszcze jeden tydzień totalnej abstynencji.

Wciąż wzburzona jak Morze Czerwone pani Karolina zatrzymała się dopiero na przykościelnym parkingu. Tam, w cieniu wielkiego dębu rosnącego tuż przy ogrodzeniu, położyła dłoń na swym biuście i przybrała cierpiący wyraz twarzy.

– Co się dzieje, pani Karolino? – spytała uprzejmie zakonnica. Była przekonana, że szybkie tempo zrobiło swoje i wdowa dostała właśnie albo kolki, albo zadyszki, albo obu dolegliwości naraz. Jednak uprzejmość i miłosierdzie nakazują okazać zainteresowanie potrzebującym.

– Ach, siostró Tomaszó! – wysapała. – Ta cała sprawa wpędzi mnie chyba do grobu. Już czuję jakieś niezdrowe kołatanie w sercu! A ciśnienie to mi tak skoczyło, jak wtedy, kiedy Stanisław (świętej pamięci) nie odkładał butów na miejsce, tylko, czy siostró to sobie wyobraża?!, zamiast na półce w przedsionku stawiał je tuż przy wejściu do kuchni!

O, jakże niezbadana jest ludzka pamięć! Jak niezwykle wędruje ścieżkami! Czasami jedno wspomnienie wystarczy,

by wywołać lawinę. Żyłka na czole wdowy lekko nabrzmiała, a z jej ust potoczyły się kolejne przykłady:

– ...albo kiedy w czasie mojego serialu chciał oglądać mecz... albo jak robił mi herbatę w kubku, z którego pijam tylko kawę... albo gdy szafki po sobie nie zamykał! Żadnej! Albo kiedy skarpety na podłogę rzucał i nie wstyd mu było! Zmiłowanie Pańskie!

– No tak, rzeczywiście – wymamrotała ogłuszona tymi faktami zakonnica. Cóż innego bowiem mogła rzec?

– Dawno się na nikim tak srodze nie zawiodłam, jak na komisarzu Cegle. Czy on nie widzi, że te ich wytłumaczenia nie mają najmniejszego sensu? – gorączkowała się wdowa, w emocjach zapominając o swych dolegliwościach zdrowotnych. – Ten prokurator też nie lepszy! Tyle pytań bez odpowiedzi, a on każe zamknąć śledztwo!

– Wie pani, ja też nie mogę w to uwierzyć. Dlatego, gdy tylko wyszłam z kościoła, pomyślałam sobie, że skoro jestem tak blisko posterunku, grzechem byłoby nie wpaść. Chciałam porozmawiać z podkomisarzem.

– No to porozmawiałyśmy! – Jad w głosie Morawieckiej był wręcz namacalny. – Przekonał siostrę?

– Początkowo nawet tak, ale sprawa tej torebki i kluczyków w ogóle nie ma sensu. Myślę, że ma pani rację – ktoś zamordował Annę Bednarz, a torebkę wziął ze sobą. Jeśli ją znajdziemy, znajdziemy i mordercę. Ale jeśli zabił chłopak z Krakowa...

– ...jesteśmy bez szans. – Pani Karolina pokiwała głową ze smutkiem. – Mordercy ujdzie wszystko na sucho.

– W Panu Bogu nadzieja... W Panu Bogu... – westchnęła z pokorą zakonnica.

Teraz, znajdując się w swojej kuchni, czekając, aż zapiekane jajka będą gotowe, pani Karolina szeptała w kółko słowa siostry

Tomaszy:

– W Panu Bogu nadzieja, w Panu Bogu...

* * *

Pokrzepiona posiłkiem, pokładając nadzieję w Panu, wdowa po aptekarzu zasiadła z kubkiem porannej kawy do lektury. Odkryła bowiem ze zdumieniem, bo było to dla niej zjawisko całkiem nowe i wciąż nie do końca zrozumiałe, że bardziej nawet niż lampka koniaku wycisza ją książka.

Herkules Poirot był już bliski rozwikłania kolejnej zagadki, gdy Trufla postanowiła przypomnieć o sobie. Najpierw podeszła do wdowy i zaczęła dyszeć w jej stronę, a woń wydobywająca się z głębi jej trzewi zagłuszyła i aromat kawy niedawno gotowanej po turecku, i wciąż jeszcze obecne w pomieszczeniu nuty zapiekanej cebulki i bekonu. Gdy to nie pomogło, a pani Karolina po prostu odwróciła się plecami do czworonożnego źródła niepokojących zapachów, suka zaczęła machać ogonem. Uderzając nim z ogromną siłą, stała się nagle niczym zły kozak, chłoszczący nahajem po białych plecach Bogu ducha winną kniaziównę. I tym razem zaczytana wdowa po aptekarzu odniosła zwycięstwo nad swoim psem. Przeniosła się z kuchni do salonu i spoczęła na sofie, chroniąc swe wdzięki przed razami żywym pejczem. Trufla jednak nie dawała za wygraną. Potruchtowała za pańcią do gościnnego pokoju, usiadła blisko i zaczęła ją trącać łapą. A była to łapa niemal niedźwiedzia, zakończona pazurami, których nie powstydziliby się grizli.

Nie wiadomo, czy to przez strach przed ranami szarpanymi, czy raczej przez brak materiału na szarpie, którymi pani Karolina mogłaby zabezpieczyć przyszłe rany – w każdym razie działanie psicy przyniosło efekt i wdowa po aptekarzu zrezygnowana odłożyła książkę.

– Stanisławie, wstydz się! Jak mogłeś dać mi takiego psa! A ja postawiłam ci taki nagrobek... Naprawdę, nie ma sprawiedliwości na świecie. – Wyrzut w słowach pani Morawieckiej był tak wyraźny, tak dosadny, że gdyby pan Stanisław miał odrobinę wstydu, przewróciłby się teraz w grobie. I, kto wie, może tak właśnie było.

Z całą pewnością możemy jednak stwierdzić, że to wdowa się poruszyła. Sofa dramatycznie zatrzeszczała, gdy wspierając się o jej oparcie, pani Karolina przyjęła postawę wyprostowaną.

– Niech jeszcze i to, niech jeszcze i to. Dobrze, Trufelko, pójdziemy zaraz na spacer. Do lasu – poddała się w końcu.

Trochę ruchu dobrze jej robi. Odetchnie świeżym powietrzem (sezon grzewczy w okolicy wszak się jeszcze nie zaczął) i kto wie, kto wie, może z Bożą pomocą wpadnie na jakiś pomysł. Trzeba stymulować szare komórki – Herkules Poirot przecież się nie myli!

* * *

Kiedy pięć lat wcześniej Karolina Morawiecka informowała swoje krewne, przyjaciółki, koleżanki i znajome o planowanej przeprowadzce na wieś, spotkała się z niedowierzaniem i mocno umiarkowanym entuzjazmem.

– Większy ogródek, no dobrze, rozumiem, ale WIEŚ?

– Kwiatki możesz przecież hodować w doniczkach. Nie potrzebujesz się do tego przeprowadzać!

– Ale jak to, nie boicie się?

– Oczywiście, duża działka ma swoje zalety. Ale i wady. Trzeba kosić i pielnić, a ty młodsza nie będziesz...

– Jesteś pewna, że macie na to siłę?

Pani Karolina uśmiechała się wtedy ze zrozumieniem, kiwała głową i, po wysłuchaniu tych litanii, rzucała mimochodem

głosem słodkim jak ulepek, w którego gęstości i słodyczy ukrywała się śmiertelna dawka jadu:

– Och, oczywiście, pracy będzie wiele. Ale jestem w końcu młoda i w świetnej formie (lepszej od waszej – mówiło jej spojrzenie). A poza tym na wprost naszej działki rozciąga się Ojcowski Park Narodowy. I, no cóż, takie okazje się po prostu nie trafiają (nie trafiają się byle komu – przekaz był jasny i klarowny niczym bulion domowej roboty). Grzechem byłoby nie skorzystać – kończyła ze skromnie utkwionym w okolice stóp wzrokiem, jasno dając do zrozumienia wszystkim, że kto jak kto, ale ona nie grzeszy. Nigdy.

* * *

Osypany złotem i rudościami las zachwycał. Alejki wydeptane przez miejscowych, przecinające szlaki wyznaczone dla turystów, tonęły w liściach, które dopiero od niedawna zaczęły opadać. Od czasu do czasu unoszone wiatrem kręciły piruety, po czym opadały na ścieżki, by po chwili znów dać się unieść w powietrznym tańcu. Wiewiórki skakały od drzewa do drzewa, zające i sarny śmigały w oddali, a ciszę przerywało tylko kompulsywne stukanie dzięcioła. Na szczęście niezbyt natarczywe.

Wdowa po aptekarzu doszła do skrzyżowania mniej i bardziej uczęszczanych dróg i zdecydowała się skrócić w lewo, pod drewnianą chatkę, w której czasami nocowali leśnicy. Nie była to co prawda najpiękniejsza trasa, ale miała niewątpliwą zaletę w postaci drewnianych ławek wokół budynku.

– Spuszczę cię ze smyczy na chwilę, żebyś mogła w spokoju zrobić, co tam musisz. A ja sobie usiądę na ławeczce, bo choć nogi mnie nie bolą, muszę się przecież oszczędzać – mówiła do Trufli spokojna, że nikt poza psem jej nie usłyszy. – Tylko musisz

wrócić, jak cię zawołam, bo gonić cię na pewno nie będę.

I rzeczywiście. Pani Karolina usiadła i w spokoju kontemplowała przyrodę. Żałowała, że jej koleżanki ze Skały nie mogą teraz zobaczyć, jakie piękne tereny otaczają jej działkę. Sąsiadka, ta chuda pani Karolina, mówiła kiedyś coś o jakimś portalu, na którym można zamieszczać robione przez siebie zdjęcia. Och, już ona by im pokazała! Ale nic z tego, bo przecież ani ona sama, ani jej koleżanki z tego czegoś nie korzystają... A mogłaby robić zdjęcia nie tylko okolicy, ale i na przykład ogrodu. Albo nawet – myśl ta była genialna w swej prostocie i sprawiła, że serce wdowy zabiło szybciej – pięknie udekorowanego stołu, talerzy i posiłków! Ech, zzieleniałoby z zazdrości! Wszystkie, co do jednej!

Karolina Morawiecka puściła wodze fantazji. Wyobraziła sobie, że kupuje piękny tort, może nawet w znanej krakowskiej cukierni, a potem wyjmuje go z pudełka, umieszcza na talerzu, samodzielnie dekoruje owocami i podpisuje jakimś skromnym komentarzem. Na przykład: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. A może lepiej brzmiałoby: „Poranne wypieki”?

Pograżona w tych rozważaniach nie zauważyła, że Trufla oddaliła się niebezpiecznie i zniknęła w zaroślach.

Na drzewie obok chatki jakiś dzięcioł rozpaczliwie zastukał i pani Karolina wreszcie się ocknęła.

– Trufla, Trufla, do mnie! – zaczęła przywoływać sukę, której nigdzie nie było widać. – Trufelka, do nogi!

Co to za pies okropny, nieusłuchany jakiś. Już ja jej dam, już ja jej pokażę! – odgrażała się w myślach.

– Stanisławie, no naprawdę! – zwróciła się wreszcie do swego małżonka. – Takiego psa mi przyniosłeś, to zróbże z nim coś!

Stanisław najwyraźniej i po śmierci nie chciał irytować połowicy, bo po lewej stronie, w gąszczu krzewów i małych świerków, pani Karolina dostrzegła wreszcie jasnobrązowy ogon.

Wyciągnięty jak struna wskazywał, że pies bardzo się czymś zdenerwował. Równie napięta właścicielka podeszła do suki, żeby zapiąć jej smycz i już w spokoju móc czynić wyrzuty, kiedy nagle Trufla zjeżyła się cała; sierść wzdłuż grzbietu podniosła się, tworząc złowrogą pręgę, a z gardła wydobył się cichy, lecz przyprawiający o gęsią skórkę warkot.

Hrabia Roland nie zadał głośniejszego w róg w wąwozie Roncevaux, a dźwięk dzwonów cudownie bijących po śmierci Świętego Aleksego nie był tak donośny, jak okrzyk Karoliny Morawieckiej rozdzierający leśną ciszę.

– Jezus Maria, wszyscy święci, ludzie! Pomocy! Policja! Pogotowie! Ludzie! Ratunku!

* * *

Żona pana Jacka piła właśnie popołudniową kawę na swojej ławce przed domem, blisko rabaty z różowymi kwiatkami (a były to, o czym sama nie miała pojęcia, hortensje, lawendy, werbeny i róże). Ciepłe październikowe słońce subtelnie ją grzało. Sąsiadka jakieś dwadzieścia minut wcześniej wzięła na spacer swojego wiecznie dyszącego psa i teraz już nic, ale to nic nie przeszkadzało pani Karolinie w całkowitym zanurzeniu się w lekturze.

W momencie kiedy bohater miał podjąć najważniejszą życiową decyzję, tę błogą ciszę przerwał nagle rozpaczliwy ludzki krzyk. Ktoś wzywał jednocześnie pomocy, pogotowie, policję i Bożą Opatrzność. Karolina rzuciła książkę, zerwała się z ławki, chwyciła telefon i ruszyła z odsieczą.

Kiedy weszła w głąb lasu, krzyki nasiliły się, a ona rozpoznała głos wdowy.

– Pani Karolino, co się tam dzieje? Stało się pani coś? – wydyszała, biegnąc w kierunku sąsiadki. Przez złote i rude zarośla widziała tylko jej pochylone plecy. Pewnie upadła

i złamała nogę.

– Niech pani natychmiast wzywa pogotowie! Natychmiast! I najlepiej też policję ze Skały – usłyszała w odpowiedzi.

Trzęsącą się ręką wybrała numer alarmowy i rozmawiając z dyspozytorem przedzierała się przez młody zagajnik.

– Nie wiem, chyba noga skręcona, zaraz potwierdzę – sapała do słuchawki. – O matko! Nie, to ktoś inny miał wypadek. Jakaś młoda dziewczyna, wymiotowała chyba, jest bardzo blada, nie, nie wiem, czy jest puls... chyba jeszcze żyje. Proszę natychmiast przysłać pogotowie! Do lasu przy Podzamczu, w Wielmoży – rozdygotana krzyknęła do słuchawki i rozłączyła się.

Widok, który ukazał się jej oczom w całej okazałości, miał ją prześladować jeszcze długie tygodnie.

Nad ciałem młodej dziewczyny (choć trzeba przyznać, że sporych rozmiarów) w kałuży wymiocin klęczała spocona i czerwona wdowa po aptekarzu. Obok, jak gdyby nigdy nic, w kałuży własnej śliny siedziała zadowolona Trufla i równie mocno jak jej pani – dyszała. Dookoła walały się charakterystyczne foliowe opakowania po kokosowych słodyczach. Emerytka pochylała się nad nastolatką, poklepywała ją po twarzy, po czym nagle przewróciła na bok i wsadziła dziewczynce dłoń do gardła.

– Pani Karolino, co też pani robi? – wyszeptała zdumiona i przerażona sąsiadka.

– Wymioty trzeba wywołać! Już raz mi się udało, ale puls wciąż w zaniku.

* * *

Na Podzamczu wrzało. Karetka z wciąż nieprzytomną nastolatką pognęła na sygnale do Krakowa, a zebrany tłum

powoli się rozchodził.

– To chyba ta Pietrasówna, co to blisko pegeerów mieszka.

– Morawiecka ją uratowała. Ta, co się tu ze Skały przeprowadziła.

– E, nie, to chyba nie Pietrasówna. Musi być, że jakasi turystka.

– Może grzybów się najadła? Teraz, w sezonie, to się często zdarza.

– Wdowa po aptekarzu. Ta z psem.

– Młoda, głupia, mogła się na grzybie nie poznać.

– Tak do tych medyków pokrzykiwała, że aż się któryś zirytował na nią. A ona mu powiedziała, że nie po to tyle ją reanimowała, żeby jakiś niedouk wszystko zniszczył. I że tyle lat była z aptekarzem, że zna objawy przedawkowania di... diga... No, czegoś tam.

– Ani chybi muchomora zjadła. Albo szatana. Szatan najgorszy. Jak któregoś razu Heniek, ten, co pod lasem mieszkał...

* * *

Podkomisarz Cegła stał obok młodej pani Karoliny oraz wdowy po aptekarzu, wciąż kurczowo trzymającej smycz w ręce. Na końcu smyczy zaś znajdowała się Trufla, która zmęczona emocjami ułożyła się na asfaltowej nawierzchni i zasnęła głębokim snem.

– Pani Karolino, możliwe, że uratowała pani życie tej małej. – Posłał jej krzepiący uśmiech. – Ale naprawdę nie wiem, po co mnie pani tu wezwała. Zatrucie pokarmowe to nie jest zadanie dla policji.

– Panie Adasiu, pan to ma wyjątkowe poczucie humoru. Bo przecież nie ma mnie pan za jakąś wariatkę. To nie przypadek ani żadne grzyby. Musimy poważnie porozmawiać, ale najlepiej w domu. Na spokojnie, przy kawie. No i muszę się przebrać.

Zdecydowanie. Nie będę przecież w takim stanie chodzić po ulicy, żeby dać ludziom temat do gadania.

– Na dzisiaj już mają temat do plotek... – odezwała się szczupła sąsiadka. – I tak wszyscy będą mówili o pani. Przecież uratowała jej pani życie!

– Nie ma o czym mówić. – Skromność emanowała z każdego pora skóry, z każdego włókna i atomu i z każdego zdania Morawieckiej. – Bez Trufelki to naprawdę nie wiem, czy zdążyłabym dziewczynę uratować. W ostatniej chwili ją znalazłyśmy. Już jej drgawki przechodziły... W ostatniej chwili... Ale pani, pani Karolinko, też się przydała – pochwaliła sąsiadkę. – Może i pani zechce z nami kawę wypić? – spytała uprzejmie.

Wahanie w głosie wdowy było tak wyczuwalne, a jej mina tak czytelna, że sąsiadce nie pozostawało nic innego, jak tylko grzecznie podziękować.

– Bardzo pani dziękuję za zaproszenie. Chętnie, ale może innym razem. Teraz muszę ochłonać. No i psy uspokoić. Pewnie się bardzo zdenerwowały, bo wciąż szczekają.

– Och, jak pani uważa. – Pani Karolina posłała jej pełen wdzięczności uśmiech i spojrzała z prawdziwą życzliwością. – To może rzeczywiście innym razem. Z panem Jacusiem niech pani wpadnie. Może dzisiaj na kolację? O osiemnastej na przykład. Świetnie, postanowione – ucieszyła się. Skromność skromnością, ale hojność i miłosierdzie także leżały w charakterze wdowy.

* * *

– Panie Adasiu. – Gospodyni posadziła podkomisarza w salonie przed cappuccino i wytrawną tartą z wędzonym łososiem, cukinią i sosem z musztardy dijońskiej. – Ciasteczek do kawy niestety nie mam, skończyły się. W każdym razie sprawa jest poważna i zaraz musimy się naradzić, co zrobić, jak się zachować.

Pan je, panie Adasiu, choć może to się za bardzo nie komponuje, ja bardzo przepraszam, ale nie spodziewałam się, że morderca znowu uderzy. I na dodatek, że dzisiaj. Nic się panu nie stało? Poklepać pana? Nie? Na pewno wszystko w porządku? To proszę tak łapczywie nie jeść, bo mi się tu pan całkiem zakrztusi, a ja już dzisiaj się namęczyłam przy reanimacji. Panie Adasiu kochany, trzeba wezwać techników i to jak najszybciej, żeby śladów nie zatarli. Na wszelki wypadek wzięłam kilka opakowań, może zniszczyłam jakieś ślady, trudno, ale i tak widać, co najważniejsze. Pan popatrzy, złociutki, nie na mnie, na ten papierek, o tu! – Podsunęła zdumionemu policjantowi pustą folijkę po kokosowych pralinkach. – Widzi pan tę dziurkę? Tak, no właśnie – ucieszyła się wdowa. – Jestem absolutnie pewna, że morderca nafaszerował je glikozydami. Wie pan, jak się jest żoną aptekarza, to chcąc nie chcąc, słucha się o tych wszystkich lekach, o dawkowaniu i tak dalej. A ja byłam – pokraśniała z zadowolenia – bardzo dobrą żoną. Stanisław (świeć, Panie, nad jego duszą), zawsze powtarzał, że drugiej takiej nie ma... I nawet, przyznać muszę, teraz ta wiedza mi się przydała. Wszystkie objawy wskazują na otrucie digoksyną. Stosuje się ją w lekach nasercowych. Z naparstnicy wełnistej się ją izoluje... Z *Digitalis lanata*, to po łacinie jest. Ale to teraz nieistotne. Ważne jest, panie Adasieńku kochany, że teraz ma pan jasny dowód, że i Bednarzówna została zamordowana. Że to nie był żaden nieszczęśliwy wypadek! Pan je ostrożniej, no naprawdę, bo to się za chwilę źle skończy. Ja od początku czułam, że pan to łakomczuszek jest, no ale jednak trochę wolniej jeść trzeba. Pan kawką popije, choć to nie pasuje za bardzo, wiem, ale przełyk pan oczyści. No, ale do rzeczy. Kasia Pietrasówna nie popełniłaby samobójstwa w taki sposób. Po pierwsze, te leki są na receptę. A poza tym, nawet gdyby poszła do lasu się zabić, to przecież po prostu zjadłaby tabletki, a nie faszzerowałaby pralinek

roztworem do iniekcji. Czyli do zastrzyków, panie Adasiu, ja panu wszystko wytłumaczę, spokojniutko, kochany. To znaczy, że zrobił to ktoś obcy. Morderca! – Tryumfalnie podniosła palec w górę i natychmiast skromnie go opuściła. – Może ta cała Pietrasówna coś widziała, może znalazła torebkę... No, ale to już pana praca. Ja za pana wszystkiego przecież zrobić nie mogę. – Uśmiechnęła się. – I co pan na to?

Podkomisarz Cegła był jak ogłuszony. Patrzył na gospodynię i nie wierzył. Może wciąż jest w stanie szoku? Choć nie wygląda... No ale z taką tuszą to się zawsze wygląda... dorodnie.

– Pani Karolinko – zaczął ostrożnie. – Ja wiem, że to były silne emocje... Ale naprawdę nie wiem...

– O, Święta Katarzyno Szwedzka! – zaapelowała o pomoc w niepowodzeniu. – O Święty Judo! Pan to jest gorszy niedowiarek niż Święty Tomasz! Proszę, panie Adasiu, niech pan zadzwoni do szpitala. Jeśli to digoksyna, jak im mówiłam, a nie grzyby, to powinni już to potwierdzić. I wtedy pan zawoła techników. Ustalimy, co robić dalej. A jeśli się mylę, to daję panu uroczyste słowo, że więcej się do śledztwa mieszać nie będę.

Takiej okazji nie mógł nie wykorzystać. Wyciągnął telefon.

– Cegła mówi. Znajdź mi numer szpitala, do którego zawieźli tę nastolatkę z Wielmoży. Albo podaj lekarzowi mój numer, tak, na komórkę. Byle szybko, Batory, szybko. Sprawa życia i śmierci.

Kiedy podkomisarz czekał na telefon, pani Karolina przypomniała sobie coś jeszcze.

– Nie powiedziałam panu z tego wszystkiego, że przecież na samiutkim początku, jak ją Trufelka wywęszyła, to ta biedna dziewczyna coś mówiła.

– Pani Karolino! – Cegła nagle poczerwieniał na twarzy. – Co takiego mówiła? Wskazywała na kogoś? To przecież ważne!

– Och, panie Adasieńku złoteńki, tylko spokojnie! Przecież mówię panu wszystko, jak na spowiedzi albo przesłuchaniu

jakimś – zaśmiała się. – Ewidentnie chciała na kogoś wskazać. Mówiła ze dwa razy „To on, on”, a potem niezrozumiałe wyrazy. Ja mam dobry słuch, może mi pan wierzyć, ale ta reszta to sensu nie miała... Więc sam pan widzi, że to nie był wypadek ani, uchowaj Boże, próba samobójstwa. Nie! Ktoś chciał ją zabić! To biedne dziecko!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZPOCZYNAJĄCY SIĘ PRZYDŁUGĄ
RETROSPEKCJĄ, W KTÓRYM ZNAJOMOŚĆ
KUCHNI WEGAŃSKIEJ OKAZUJE SIĘ PRZYDATNA,
PODOBNIIE JAK POMOCNA OKAZUJE SIĘ
ZNAJOMOŚĆ TWÓRCZOŚCI BOLESŁAWA PRUSA

Wdowa podśpiewywała pod nosem o ostatniej niedzieli, a wraz z jej głosem po kuchni snuły się rozmaite nuty zapachowe z przewagą anyżu i prażonego sezamu. Na kolację postanowiła podać makaron gryczany z warzywami smażonymi z sosem sojowym – danie proste, w sam raz dla wegan, a dodatkowo jakże oryginalne. Przystawka w postaci muhammary i tradycyjnego humusu już czekała w lodówce. Pszeniczne bagietki, przed momentem wyciągnięte z piekarnika, stygły powoli, wzbogacając bukiet aromatycznych woni unoszący się w pomieszczeniu. Pan Jacuś będzie zachwycony! W sumie ta jego żona też się dzisiaj przydała...

Wrzuciła posiekane boczniki na rozgrzaną patelnię i uśmiechnęła się na wspomnienie pana Adasia. Tak jej nie dowierzał! Tak się wzbraniał! A jak tylko porozmawiał z lekarzem z pogotowia, od razu się okazało, że ona, Karolina Morawiecka, miała rację. Jak zwykle zresztą. Glikozydy w formie roztworu

do wstrzykiwań. Digoksyna w pralinkach! Na szczęście technicy szybko przyjechali i zdążyli zabezpieczyć teren, choć nie na wiele to się zdało. Owszem, wiatr nie rozwiązał wszystkich folijek (zresztą przezornie zebrała kilka, wiadomo, ma się tę głowę detektywa!), a nawet zabezpieczono kilka śladów butów. Ale, jak wyznał zmieszany i zawstydzony podkomisarz, na szlaku turystycznym nie ma to większej wartości dowodowej. A w samych zaroślach nic nie znaleźli – od kilku dni było przecież sucho, a i posycie lasu zrobiło swoje. Najważniejszą wiadomością było jednak to, że Kasia Pietras przeżyje. I to – co do tego nikt nie miał wątpliwości – dzięki jej skromnej osobie!

Kiedy pan Adaś przekazał jej tę nowinę i po raz kolejny pogratulował, pani Karolina od razu przeszła do działania.

– Mam nadzieję, panie podkomisarzu kochany, że teraz nie ma pan już żadnych złudzeń. Owszem, różne rzeczy się dzieją na tym świecie, ale nie uwierzę za żadne skarby, że w niespełna dwa miesiące w Wielmoży wydarzyły się dwa niepowiązane ze sobą śmiertelne wypadki! Bo przecież Kasia Pietras miała umrzeć! To porządna wieść jest, panie Adasiu. Byle gdzie to ja bym się przecież ze Skały nie wyprowadziła! Pan mnie już trochę zna, prawda?

– Pani Karolino – rzekł uroczyście Cegła. – Myślę, że ma pani rację. To, co przydarzyło się temu biednemu dziecku, to ewidentna próba zabójstwa. Najrozsądniej jednak będzie, jak poczekamy, aż dziewczynka dojdzie do siebie i złoży zeznania. Jeśli potwierdzi, że chciał ją zabić ktoś zamieszany w śmierć Bednarz Anny, wtedy bez problemu aresztujemy wskazanego.

– Panie Adasiu, czego was w tej szkole policyjnej uczą! No naprawdę, powinien pan się poduczyć od Herkulesa Poirota... – rzuciła mu pełne nagany spojrzenie intelektualistki. – Jeśli morderca dowie się, że jego ofiara przeżyła, będzie musiał ją zabić. Spróbuje raz jeszcze! A nie wiadomo, czy i tym razem

dobry Bóg postawi mnie na jego drodze! Nie, nikt się nie może dowiedzieć, że Kasia Pietras przeżyła! Trzeba udawać, że jest z nią bardzo źle i że nie ma żadnych szans na odzyskanie przytomności. Uszkodzenie mózgu!

– Ale jak pani to sobie wyobraża? Co z rodzicami?

– Panie podkomisarzu, gdybym nie była pewna, że pan wie, jaka jestem dobra i miła, to obawiałabym się, że ma mnie pan za osobę bez serca! Rodziców trzeba powiadomić, oczywiście. Ale i przestrzec, żeby nikomu nic nie powiedzieli. A o resztę proszę się nie martwić. Już moja w tym głowa, żeby wszyscy się dowiedzieli, jak źle jest z Kasią Pietras.

Jakże miło jest mieć rację! Jak przyjemnie jest być dobrym i miłym. Miłosierdzie i hojność potrzebują jednak obecności drugiej osoby, która w pełni doceni te przymioty ducha. Mając to na uwadze, wdowa ciągnęła:

– Przyda mi się do tego siostra Tomasza. Nie ma to jednak jak autorytet kościelny. Ja, oczywiście, jestem poważana i nikt nie może mieć jakichkolwiek zastrzeżeń co do mojej moralności, choć sam pan wie, jacy ludzie potrafią być okrutni, no ale jednak co zakonnica, to zakonnica.

Pani Morawiecka zachowała dla siebie największą obawę. Oto przecież znana była w okolicy jako źródło absolutnie pewnych i zawsze sprawdzonych informacji. I choć była gotowa poświęcić się dla dobrej sprawy, choć mogła nawet skłamać, byleby złapać mordercę, to jednak myśl o utracie reputacji nieco ją powstrzymywała. Bo przecież za jakiś czas okaże się, że z dziewczynką wcale nie było tak źle... Gdyby natomiast niesprawdzone wiadomości pochodziły od siostry zakonnej... Cóż, każdy w życiu może się pomylić. Zdarza się. Niektórym.

I pani Karolina zadzwoniła na plebanię. W niecały kwadrans później na Podzamczu ostrożnie zaparkował stary zielony fiat panda.

– Szczęść Boże! Ale się tu dzisiaj działo! Musi mi pani, pani Karolino, wszystko jeszcze raz opowiedzieć. Nie można tak po prostu rzucić do słuchawki: „Siostró, próba kolejnego morderstwa. Potrzebujemy siostry, ja i podkomisarz Cegła”. Chwała Najwyższemu, że ksiądz Szymon taki jest szczęśliwy z powodu rozejmu z panem Muraskiem, że z wdzięczności oddał mi swój samochód. Na wieczne użytkowanie! Już wczoraj miałam to pani powiedzieć, ale ten nieszczęsny pan Edward całkiem mnie wytrącił z równowagi... Szczęść Boże, panie podkomisarzu. W czym mogę pomóc?

Kiedy pani Karolina opowiedziała poranną historię ze starannym podkreśleniem swojej szczególnej roli zarówno w uratowaniu życia nastolatki, jak i w trafnym postawieniu diagnozy, a policjant potwierdził wszystko, ani razu nie wznosząc przy tym oczu ku górze, siostra Tomasza bez wahania zgodziła się zaangażować w zastawianie pułapki na mordercę.

– Ma pani rację, pani Karolino, że życie dziewczynki może być zagrożone. Pewnie coś widziała, może skojarzyła fakty, no i wpadła w tarapaty. Nie, nikt nie może się dowiedzieć, że Kasia będzie żyła. Nie możemy ryzykować. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Zgodzi się pan ze mną, panie podkomisarzu?

– Tak – potwierdził filozoficzne Cegła. Nie wiadomo, czy zgadzał się z prawdziwością sentencji, czy z zakonnica. Ale też kobiety nie potrzebowały tego wiedzieć.

– Zatem jaki jest plan? – Koniecznie chciała za to wiedzieć zakonnica.

– Myślę – gospodyni nie zamierzała nikomu oddać z takim trudem zajętej pozycji. Dzielić to ona się może posiłkami i dobrą radą – że musimy zacząć od wizyty u rodziców. Mieszkają daleko, bo za pegeerami, przy Wąwozowej, więc jest szansa, że nic do nich jeszcze nie dotarło. Zresztą ludzie zeszli się dopiero, jak pogotowie odjeżdżało, to do końca pewni nie są, o kogo chodzi.

A Pietrasy telefonu nie mają. Chyba tylko ta ich starsza, Mariolka, ma komórkę. – Zamyśliła się na moment. – Powiemy im, że dla dobra córki muszą chwilę poudawać. A potem wpadniemy z siostrą do kilku domów w odwiedzinach albo może lepiej zatelefonujemy? To się jeszcze zobaczy... Ważne, że dobrze wiem, gdzie największe plotkary mieszkają, zaraz cała Wielmoża będzie wiedzieć. Tylko już powinniśmy wyruszać. Pan się chyba nie obrazi, panie Adasiu, ale ja z panem nie pojedę. Ja uczciwa kobieta jestem, do policyjnego auta, choćby nie wiem co, nie wsiądę! Co sobie ludzie pomyślą! I siostrze też nie radzę, no ale to już siostry sprawa. Każdy musi dbać o swoją moralność... – rzuciła na koniec, modulując głos jak proboszcz Januszek w czasie sumy.

Siostra Tomasza zakrztusiła się co prawda i nieco poczerwieniała, ale zgodziła się towarzyszyć pani Karolinie. Zaproponowała nawet, że to ona poprowadzi, ale wdowa odrzuciła pomysł jazdy fiatem wikarego jako niedorzeczny.

– Co też siostra! Jeszcze kto pomyśli, że skąpię na paliwo! A w ogóle to przecież znam drogę!

Na szczęście dla siostry Tomaszki z Podzamcza na Wąwozową były tylko dwa zakręty. I to łagodne.

Zaparkowali na poboczu i podeszli do wielkiego, trzykondygnacyjnego klocka z pustaków. Widać, że dom wybudowano dla przyszłych pokoleń, co to dopiero przyjdą na świat, bo góra wydawała się niezamieszкана. Za to na parterze ktoś był, bo gdy tylko zatrzymali samochody, suto zdobiona firanka rozsunęła się na chwilę, a w oknie ukazała się pomarszczona twarz kobiety w chustce.

– Jezusie, Maryjo i wszyscy święci! Marylka, policja!

– Co tam mówisz, mamó?

– Policja przyjechała. I zakonnica. Musiał kto umrzeć albo co...

Wdowa po aptekarzu, słysząc ten dialog przez uchylone okno,

poczuła się mocno dotknięta. Nie utrzymywała co prawda głębszych relacji z Pietrasami, ale znała ich z kościoła i naprawdę nie rozumiała, skąd takie lekceważenie. Szok spowodowany obecnością radiowozu przed domem to jedno, ale uprzejmy człowiek zawsze powinien przywitać sąsiada. Zawsze! Dlatego też – jak ta miłosierna Samarytanka – pierwsza wyciągnęła rękę do zdyszanych kobiet, które w popłochu wybiegły przed dom.

– Dzień dobry sąsiadeczkom. Niech się panie nie martwią, wszystko dobrze, wszystko dobrze – uspokoiła.

Staruszka w chustce i fartuchu oraz młodsza, w roboczym dresie nie pierwszej świeżości, spojrzały nieufnie na panią Karolinę.

– Dzień dobry, to jest, szczęść Boże – przywitały się i wyciągnęły ręce do gości, wycierając je wcześniej w fartuch i w górę od dresu. – O co chodzi?

– Szczęść Boże – pozdrowiła je zakonnica. – Siostra Tomasza jestem, ze Skały, z parafii.

– Jezusie Nazareński, jakiego Tomasza? – Staruszka przeżegnała się z wrażenia. – Taż Tomasz nie żyje. Już ze trzydzieści lat będzie, jak w Zadrożu pochowany.

Podkomisarzowi wydało się, że usłyszał dziwny świst. Jakby ktoś szybko wypuścił powietrze.

– Nie, nie, to tylko takie imię. – Zakonnica trochę poczerwieniała.

– Aha. – Zawstydziała się nieco młodsza. – Maryla Pietras jestem. A to moja teściowa, Anna Pietras.

– Podkomisarz Cegła. – Policjant wreszcie przemówił. – Musimy porozmawiać. Czy możemy w domu? – zawahał się.

Zawahały się też Pietrasowe. Gościnnie pokój, wiadomo, zawsze czysty i świeży, bo nieużywany na co dzień. No ale w przedpokoju nieporządek, jeszcze ogarnąć nie zdążyły, od rana pracowały w polu, liście trzeba było zagrabić i część warzyw

okopcować, a teraz zajęte były przygotowaniem obiadu.

– Och, jest tak ciepło, może tu na ławeczce usiądziemy. – Wdowa po aptekarzu po raz kolejny okazała miłosierdzie strapionym. – Nie chcemy paniom przeszkadzać, pewnie teraz obiad panie szykują. Panie tu sobie siądą i posłuchają...

– Czy w domu jest ktoś jeszcze? – przezornie spytała zakonnica.
– Tata Kasi, rodzeństwo?

– E, nikogo ni ma. Stary, to jest mąż – wyjaśniała Maryla Pietras – w Olkuszu jest, w robocie. Starsza córka, Mariolka, we Wolbromiu się uczy. Kasia w szkole jeszcze, choć już zaraz wrócić powinna.

Podkomisarz Cegła wreszcie przemówił:

– Kasia miała dzisiaj wypadek. Struła się...

– W szkole?

– Nie, w lesie. Blisko Podzamcza...

– Co też ta dziewczyszyna wyprawia! – zdenerwowała się pani Maryla. – Już jej w domu mówimy, że choć to gimnazjum skończyć musi! Potem, to niech se robi, co chce. Zawsze się jakaś praca znajdzie, no a jak za mąż wyjdzie, to przecież domem się zajmie i dziećmi. Ale gimnazjum powinna skończyć.

– Rzeczywiście, powinna – zainteresowała się siostra Tomasza. – Tak źle jej nauka idzie?

– Siostro, co my tu z nią mamy, to nikt by nie uwierzył! Za rok egzamin, a ona ani z matematyki, ani z angielskiego nic nie umi. Zadań nie robi, uczyć jej się nie chce. O polskim to aż wstyd mówić... Żadnych lektur nie czyta, nic! Raz jeden nogę złamała i przez dwa miesiące musiała leżeć w domu. W zeszłym roku to było, zimą, to siostra sobie może wyobrazić, żadna tu z koleżanek przejść przez te zasy nie mogła. Tak nas zasypało! No to w końcu z nudów ją zmoгло i jedną książkę przeczytała, co to Mariolka w klasie przerabiała. Bo Mariolka, ta moja starsza, to się świetnie uczy! Nawet jej się, znaczy Kasi, ta książka podobała, no

ale to z licem lektura, nie z gimnazjum...

– No tak, to rzeczywiście przykre. – Podkomisarz chciał jak najszybciej mieć to za sobą. – W każdym razie Kasia leży w szpitalu Rydygiera, w Krakowie. Już jest z nią dobrze, spokojnie. Problemem jest to...

– Jak w lesie, to grzybami się pewnie struła. – Dotarło wreszcie do starszej. – Żeby ino nie muchomorem. Bo pamiętacie pewnie, jak Heniek, co to pod lasem mieszkał...

– Nie, nie grzybami. – Tym razem do rozmowy włączyła się pani Karolina. – Tylko lekami.

– Jezus, Maryja! – wyszeptały pobladłe Pietrasowe. – Ale jak to?

– Nie, nie – uspokoiła je siostra Tomasza głosem niosącym otuchę, aż Morawiecka jej pozazdrościła. – To nic grzesznego! To wypadek był. Przez pomyłkę te leki zjadła... Pan podkomisarz wszystko wyjaśnia i chce złapać tego, kto chciał Kasię skrzywdzić. Ale żeby mu się to udało, potrzebna jest pomoc pań...

– Muszą panie udawać, że z Kasią jest bardzo źle. – Wdowa nie zamierzała grać dłużej drugich skrzypiec. – W ten sposób bandyta w to uwierzy i da jej spokój, a policja go schwyta.

– Ale jak to tak kłamać? – zmartwiła się starsza.

– Kto by chciał Kasię nam skrzywdzić? – przeraziła się młodsza.

– To nie grzech, spokojnie. – Autorytet zakonniczy zadział natychmiast. – Nikomu, poza mężem i Mariolką oczywiście, nic powiedzieć nie można. Nikomu więcej! Nawet w największym zaufaniu! To bardzo ważne! I najlepiej jest mówić, że córka w Żeromskim leży. – Widać, że zakonnica pochodziła z Krakowa, bo świetnie odnalazła się w szpitalnej topografii. – Po co lichokusić? Zresztą, może ja panie, jeśli tylko zechcą, do miasta do Kasi zawiozę? I wszystko sobie na spokojnie omówimy raz jeszcze. Dobrze?

Karolina Morawiecka lekko poczerwieniała na twarzy na samo

wspomnienie. Zakonniczka znowu ją ubiegła! No trudno, niech się siostra Tomasza stara, ale i tak nikt nie odbierze jej tego, że Kasia Pietras żyje tylko dzięki jej interwencji...

Dorzuciła marchewkę i pora, zalała wszystko sosem sojowym i na chwilę zakryła patelnię pokrywką. Niech się warzywa pomacerują, a ona w tym czasie nakryje do stołu.

* * *

Punktualnie o osiemnastej rozległ się dzwonek i pani Karolina statecznym krokiem ruszyła do furtki. Pan Jacuś trzymał w dłoni bukiet, który natychmiast przeniósł gospodynię w czasy młodości. Czerwone goździki z asparagusem – czy może być w życiu coś piękniejszego? Chyba tylko jeszcze mała bombonierka wiśni w likierze, ale na to, niestety, sąsiedzi najwyraźniej nie wpadli.

– Dobry wieczór, sąsiadom – uśmiechnęła się smętnie, bo jednak te czekoladki pasowałyby do kubka wieczornej czekolady i ich brak zaczęła naraz boleśnie odczuwać. – Bardzo dziękuję, bardzo, nie trzeba było, naprawdę! Proszę dalej, śmiało! Trufelka w domu została, w kuchni siedzi przy stole i pilnuje, czy jedzenie nie spadnie, więc bez obaw. Podobają się pani moje cudeńka, pani Karolinko? Bo widzę, że nie może pani wzroku od sarenki oderwać... Chciałabym jeszcze takiego małego pastuszka do niej dokupić, najlepiej z fontanienką, ale jakoś nie mogę trafić... No nic, jak się ma naprawdę wyrafinowany gust, to często trzeba cierpliwości i czasu – westchnęła. – Pani Karolinko, co to za kaszelek? Żeby pani chora przypadkiem nie była! Jak się nie ma warstewki ochronnej z tłuszczu, to łatwiej o przeziębienia, a pani taka chudziutka, że aż strach. I pan Jacuś też chudziaczek. Tak, tu proszę butki zostawić, kapciuszki dla państwa przygotowałam, z wełenki, sama robiłam, i proszę o tu,

do salonu.

Widok zastawionego stołu, pomimo braku combrów i udźców, wywołałyby niewątpliwie wzruszenie samego Onufrego Zagłoby. Z chudych sąsiedzkich piersi wyrwało się mimowolnie ciche westchnienie, które wynagrodziłoby wdowie po aptekarzu brak czekoladek. Lecz, jak się właśnie miało okazać, nie musiało.

Niebiosa nad Podzamczem rozwarły się na moment i wypełniły dom Karoliny Morawieckiej szlachetną muzyką cherubinów i serafinów oraz radosnym alleluja wykonywanym przez chóry anielskie. W wyciągniętej przed siebie dłoni żona pana Jacusia trzymała najpiękniejszy z możliwych obrazków! Napis na bombonierce był co prawda nieco makabryczny, ale małe kotki, przytulone do siebie, tak słodko patrzyły na gospodynię, że ta aż zadrżała z radości.

– Pomyśleliśmy, że pralinki byłyby jednak nie na miejscu. – Usłyszała jak przez mgłę głos imienniczki. – Ale takie czekoladki nie powinny się pani kojarzyć z niczym nieprzyjemnym. Pomimo upiornej nazwy...

Pan Jacuś i jego małżonka patrzyli na siebie niepewnie. Pani Karolina bowiem przytuliła pudełko do obfitej piersi, a na jej obliczu pojawiły się łzy.

– Och – wyszeptała wzruszona gospodyni. – To moje ulubione. Stanisław (niech mu ziemia lekką będzie) czasem mi takie kupował. To ja je może teraz odłożę, potem państwa poczęstuję – rzuciła, unosząc skarb do kuchni.

Schowała czekoladki do kredensu, na sam spód. *Tacy chudzi, to deseru i tak pewnie nie wcisną* – pocieszyła się. I wróciła do gości.

Żadne słowa od dawna nie brzmiały tak pięknie. Żadne od dawna nie pieściły tak uszu, jak słowa pana Jacusia:

– Pani Karolinko – zaczął antykwariusz ściszoneg głosem. – My nie jadamy czekolady. Ta bombonierka nie jest wegańska. Jest tylko dla pani.

Dalej wypadki potoczyły się szybko. Przekąska przełamałaby pierwsze lody, ale już bombonierka i zapewnienie antykwariusza stopiły je zupełnie. Pani Karolina chciała swoim gościom nieba uchylić, a że, niestety, było to poza jej możliwościami, postanowiła uchylić rąbka tajemnicy.

– Mówię państwu, mamy tu w Wielmoży najprawdziwszego mordercę! To nie był wypadek. Biedna Kasia od Pietrasów została otruta. Na szczęście jako wdowa po aptekarzu (świeć, Panie, nad jego duszą) potrafiłam rozpoznać objawy przedawkowania glikozydów nasercowych. Tak między nami, pani Karolinko, dobra żona musi dzielić zainteresowania małżonka. To pozwoli jej mieć go na oku. Pan się tak nie uśmiecha, panie Jacusiu, wiem, co mówię! A wracając do morderstwa... Wszystko wskazuje na to, że śmierć Bednarzówny i otrucie mają ze sobą coś wspólnego. Najprawdopodobniej dziewczynka coś zauważyła, no i zabójca postanowił ją wykończyć. Oczywiście musi to zostać między nami, ponieważ właśnie pomagam panu Adasiowi, to jest podkomisarzowi Cegle, zastawić na niego pułapkę. Trzeba wszystkich przekonać, że dziewczynka jest w stanie krytycznym, bez szans na wyzdrowienie.

– A jak ona się ma?

– Och, całkiem nieźle. Już odzyskała przytomność i może nawet jutro będziemy ją przesłuchiwać. – Użyte liczby mnogiej przyszło jej całkiem naturalnie. – Jeśli lekarze się zgodzą.

– Trudno uwierzyć, że ktoś chciał ją otruć. – Młodsza pani Karolina z niedowierzaniem pokręciła głową. – To się po prostu w głowie nie mieści. Przecież to jeszcze dziecko.

– Och, złościuteńka, doskonale panią rozumiem. Ja też nie mogę się z tym pogodzić. No, ale Kasia Pietras wyraźnie dawała mi to do zrozumienia...

– Jak to? – zaciekawiał się pan Jacuś. – Mówiła coś?

– Mówiła – potwierdziła zaaferowana wdowa po aptekarzu. – Za rękę mnie wzięła, chociaż w drgawkach była i ją wykręcało, i powiedziała: „To on, to on”, a potem to już całkiem przytomność stracić musiała, bo bez sensu bredziła.

– A co dokładnie? – Młodsza pani Karolina bardzo, ale to bardzo chciała sprawić gospodyni przyjemność. Uczta była naprawdę wyśmienita!

– Nie, nie ma sensu nawet tego powtarzać. – Karolina Morawiecka machnęła ręką, ale zadowolona z zainteresowania podsunęła półmisek gościowi. – Pani sobie jeszcze trochę dołoży, pani Karolinko. Zresztą, sami swoi tu jesteśmy, to powiem. Bełkotała coś na kształt: „Fałelmisjza, fałelmisjza”. To musiało być dla niej ważne, bo, biedactwo, tak mnie trzymała za rękę, tak w oczy patrzyła. – Wzruszona wdowa sapnęła, aż ogień zapalanej świecy zafalował.

– Fałelmisjza, fałelmisjza. – Zafrapowany pan Jacuś zaczął powtarzać ostatnie słowa Kasi Pietras. – Dziwne, ale z czymś mi się to kojarzy...

– Och, tobie także – ucieszyła się jego żona. – Ja też jestem pewna, że skądś to znam. Coś mi chodzi po głowie, ale w tym momencie trudno mi sobie uświadomić, co to może być.

Wdowa po aptekarzu spojrzała na nich uważnie. Nie, na pewno nie próbowali z niej zakpić. Goście mieli poważne miny i widać naprawdę z czymś im się te słowa kojarzyły, bo każde z nich zanurzyło się w mikrokosmosie własnych skojarzeń i pamięci i próbowało rozszyfrować tę zagadkę. Poruszali ustami w dziwnym szepcie: „Fałelmisjza, fałelmisjza”.

– To może espresso? Czekolady pitnej nie proponuję, bo nie mam kokosowej śmietanki, tu, w Skale trudno kupić, niestety. Ale mała czarna dobrze zamyka posiłek, a i na szare komórki świetnie działa.

– Powiedziała to pani teraz jak Herkules Poirot – ucieszyła się młodsza pani Karolina.

– Och, myślę, że bliżej mi raczej do Jane Marple – rzuciła skromnie gospodyni, a potem uśmiechnęła się leciutko na widok autentycznego zdumienia wypisanego na twarzach gości. – Choć ona, nie wiedzieć czemu, nie pija espresso. Z kolei Herkules raczej wspomagał się ziółkami...

– ...albo likierem – ucieszył się pan Jacuś. – To ja z chęcią poproszę o espresso.

– Mam! – krzyknęła w tym momencie jego żona tak głośno, że wdowa po aptekarzu drgnęła, małżonek się wystraszył, a śpiąca przy stole Trufla poderwała się gwałtownie i zawyła. – Wiem, o co chodzi! Ta rozmowa o książkach mnie naprowadziła...

– Czekaj, czekaj – ucieszył się jej mąż. – Nic nie mów. Może i ja zgadnę.

– To ja idę zrobić kawę. – Gospodyni wycofała się na dobrze sobie znane i bezpieczne pozycje, to jest w okolicie kuchni. – A potem się państwo podzielią skojarzeniami. Ciekawe, czy mamy podobne...

Nalewając smolisty napar do podgrzanych filiżanek, modliła się o cud. Bo choć przeczytała już kilka kryminałów Agathy Christie, żadnych skojarzeń nie miała. Najmniejszych! Dotąd była absolutnie przekonana, że omdlewająca, bliska śmierci dziewczynka po prostu bełkotała. A jeśli nie? A jeśli próbowała wskazać sprawcę? Och, Stanisławie, westchnij za mną! Niech i mnie się coś skojarzy.

Niestety. Z pustego i Salomon nie należy. Dlatego kiedy Karolina napełniła kawą wszystkie trzy filiżanki i z tacą rozsiewającą krzepiącą woń udała się do salonu, w jej głowie nie było odpowiedzi, a jedynie rozpaczliwa ciemność.

Pan Jacuś poderwał się od stołu i pomógł gospodyni rozstawić filiżanki.

– Niestety, pani Karolinko, nie mam żadnych pomysłów. Prawdę powiedziawszy, tak się najadłem tymi dobrociami – to mówiąc, z najwyższą galanterią ukłonił się przed gospodynią – że w ogóle nie jestem w stanie myśleć. Tylko trawić.

– To dlatego podobno kolację należy oddać wrogowi. – Jego żona co prawda pochłonęła niezliczone ilości chleba, humusu, muhammary i makaronu, lecz wydawała się być w szczytowej formie. – Choć muszę przyznać, pani Karolino, że tak dobrej kolacji nie oddałabym nikomu.

To trochę pomogło. Tak jak wyznanie antykwariusza. Wdowa uśmiechnęła się, przyjęła należne jej hołdy i upiła łyk kawy. Może i sąsiadka rozgryzła tę tajemnicę, ale nie było najmniejszego powodu, by dać jej satysfakcję. Nie, Karolina Morawiecka знаła dobrze cnotę cierpliwości i mogła jeszcze trochę poczekać. Przynajmniej ze dwa łyki.

Na szczęście okazało się, że mężczyzna nie grzeszył cierpliwością.

– Dobra, żonka, mów, na co wpadłaś.

Wdowa po aptekarzu uśmiechnęła się zachęcająco, ale nie odezwała ani słowem. I tylko czerwone plamy na twarzy i szyi, tylko drgająca żyłka na czole wskazywały na to, że i ona, owszem, mogłaby poznać skojarzenia pani Karoliny.

– Myślę, że „fałtelmiszja” to nie jeden wyraz – zaczęła niby od niechcienia – ale trzy.

– Trzy słowa... – zamyślił się pan Jacuś. – No dobra, dalej nic nie przychodzi mi do głowy. A w zasadzie tylko jedno skojarzenie. Że jestem jak wąż boa trawiący słonia – zachichotał.

– Dobrze, że nie jak kapelusz – uśmiechnęła się jego żona.

Cóż za dziwaczne poczucie humoru – pomyślała Morawiecka, ale dalej nie odezwała się ani słowem. Z posągowym wyrazem twarzy zamierzała wytrwać do końca.

– No dobrze – kontynuowała młodsza z kobiet. – Trzy słowa,

z których dwa ostatnie to „miss Iza”.

– „Farewell, miss Iza, farewell!” – wykrzyknął zachwycony pan Jacuś. – Żonka, jesteś genialna! Tak, to musiało być to!

– Niestety, to wciąż nam nic nie wyjaśnia – uśmiechnęła się jego żona. – Chyba że morderca ma na imię Stanisław...

Tego już wdowa nie zniosła. Tego już była za wiele.

O, jakże łatwo jednym nieroztropnym zdaniem, jedną nieprzemyślaną uwagą wywołać zamęt! O, jak łatwo o wojnę, kiedy mowa nie jest źródłem porozumienia! Karolina Morawiecka zamarła na moment. JEJ Stanisław, od niemal pięciu lat spoczywający w grobie, miałby być mordercą?! Cóż to za niewybredny dowcip, coż za okrutny żart! Już szykowała się do walki na śmierć i życie, już brała oddech, by rozpocząć mowę, w której odsądzi od czci i wiary niegodnych jej sąsiedztwa prześmiewców, gdy anioł Pański przysłał ratunek w postaci niespodziewanego gościa i poprzedzającego jego pojawienie się głosu dzwonka.

– Oczywiście pamiętają państwo, że wszystko, o czym tu mówiliśmy, jest objęte tajemnicą. Całkowitą i absolutną – rzuciła w stronę gości i ruszyła do drzwi.

Wódka nigdy nie była tak zimna, jak zimny był głos gospodyni. Zdziwieni małżonkowie spojrzeli na siebie. Czyżby ją czymś urazili?

Pomimo mroku spowijającego Podzamcze wdowie po aptekarzu udało się dostrzec znajomą szczupłą sylwetkę. Przy furtce stała zakonnica.

– Szczęść Boże, pani Karolino. Przepraszam, że tak bez zapowiedzi, ale odwoziłam właśnie Pietrasów do domu i pomyślałam, że wpadnę i opowiem pani wszystko.

– Szczęść Boże, siostrzyczko. Dobrze, że siostra przysłała, bo właśnie z sąsiadami rozwiązujemy zagadkę ostatnich słów Kasi Pietras.

– Jak to? – Siostra Tomasza właśnie ściągnęła buty i zakładała wełnianego kapciuszka, ale zdumienie na moment zawładnęło nią kompletnie i oto stała teraz na jednej nodze niczym bocian wyglądający żaby. – Przecież nie wspominała pani o niczym... Oprócz „to on”.

– Siostra założy najpierw te pantofle, bo to się jeszcze złamaniem skończy. A ja na dzisiaj mam dosyć udzielania pierwszej pomocy i rozmowy z ratownikami medycznymi. – Obecność zakonnicy naprawdę dobrze wpływała na panią Karolinę. Złość już jej przeszła, gniew się oddalił, a ich miejsce zajęła stara dobra złośliwość. – Sąsiadów już siostra zna, proszę do nich dołączyć, w salonie siedzą oczywiście, a ja talerze przyniosę. Bo rozumiem, że przekąsi siostra jakiś mały posiłek.

I oddaliła się z godnością, zostawiając siostrę Tomaszę na środku przedpokoju sam na sam z Truflą. Ponieważ jednak gość nie pachniał jedzeniem, psica zamerdała tylko ogonem i podrobiła w stronę wciąż zastawionego stołu. Zakonnica poszła jej śladem^[15].

– Szczęść Boże, pani Karolino i panie Jacku – przywitała się. – Przepraszam, że przeszkodziłam, ale przejeżdżałam, no i chciałam z panią Morawiecką porozmawiać o...

– ...o dzisiejszych wypadkach? Oczywiście, rozumiemy. To naprawdę intrygujące. Pani Karolina ma niezwykłą teorię o podwójnym morderstwie, o ile wypadek tej biednej nastolatki można potraktować jako morderstwo.

– Och, na pewno można. – Zakonnica nie miała najmniejszych wątpliwości. – Obie z panią Karoliną jesteśmy co do tego pewne. Absolutnie pewne. Dziewczynkę ktoś próbował otruć. Pani Karolina wspominała, że ta biedna Kasia mówiła „to on”...

– Ach, już rozwiązaliśmy tę zagadkę! Pani Karolina mówiła...

– Co mówiłam, kochaniutka? – W głosie gospodyni (która właśnie stanęła w progu, dźwigając tak zastawioną tacę, jak

gdyby do kolacji dołączyć miała jedna, ale nie osoba tylko grupa – i to wygłodniałych szwoleżerów) pobrzmiwała jakby nutka jadu, ale to chyba niemożliwe. Bo dlaczego niby?

– Wyjaśniam właśnie siostrze Tomaszycy tajemnicę ostatnich słów Kasi Pietras. Bo widzi siostra, pani Karolina usłyszała coś na kształt „fałelmisjza” i uznała, że dziewczyna bełkoce...

– Święci Pańscy! – przerwała wywód zakonnica i z emocji aż klasnęła w ręce. – Toż to z *Lalki*! „Farewell, miss Iza, farewell!”

Wszyscy spojrzeli na nią zdumieni. Twarz siostry Tomaszycy rozjaśniła się, a nieliczne jeszcze zmarszczki wygładziły.

– Mamy dowód, alleluja! Pani Karolino, miałyśmy rację! Od samego początku! Anna Bednarz została zabita! Tamten morderca próbował zabić i Kasię Pietras.

– Nieźle. – Pierwsza odezwała się szczupła pani Karolina, a w jej głosie słychać było absolutny podziw.

– Niesamowite – dołączył się pan Jacek. – Nam to zajęło dłuższą chwilę, prawie całą kolację, a siostra skojarzyła tak od razu! Szybciej nawet niż moja żona... A to się rzadko zdarza.

I tylko Karolina Morawiecka nie mówiła nic. Ani się nie ruszyła. Z parującą tacą stała nieruchomo i przypominała posąg jakiegoś domowego bóstwa. Lub raczej bogini (i to sporych rozmiarów). Lecz choć ciało jej zamarło, znowu w głowie kłębiło się od pytań i emocji. Co się stało z tymi ludźmi? Co to ma być? Najpierw szydzą ze Stanisława, a teraz jeszcze to! Sama ZAKONNICA drwi z niej w żywe oczy! I na dodatek bredzi coś o jakiejś lalce!

– Pani Karolinko, może ja pomogę z tą tacą. – Siostra Tomaszycy zachowywała się jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby przed chwilą nie ubodła jej boleśnie złym słowem.

– A nie, dziękuję. Poradzę sobie. Sama. Jak zwykle – wycedziła gospodyni. Ale pytanie siostry Tomaszycy zrobiło swoje i Karolina Morawiecka wróciła do świata żywych.

Zakonnica wydawała się tego nie zauważać. Pogrążona we własnych myślach zaczęła monolog.

– Rzeczywiście, pani Maryla Pietras wspominała dzisiaj o książce, którą Kasia przeczytała, pamięta pani, pani Karolino? To miała być lektura tej starszej, licealistki. Tak... to musiała być *Lalka* Bolesława Prusa. Stanisław Wokulski wypowiada te słowa do swojej ukochanej Izabeli Łęckiej, kiedy już wie, że...

– ...że z nimi koniec – zakończyła małżonka antykwariusza.

Jakże szczęśliwie się złożyło, że w tamtej chwili każdy zajęty był sobą i własnymi myślami!

Młodsza pani Karolina uznała, że już dosyć, że już wystarczająco była uprzejma. To przecież ona jako pierwsza rozwiązała zagadkę i nie było powodu, dla którego to zakonnica miałaby wszystko wszystkim wyjaśniać.

Pan Jacuś myślał o tym, że ludzki żołądek ma niezwykle właściwości. Przed chwilą wydawał się taki pełny, ale zapach dobiegający z tacy zadał temu kłam i oto okazuje się, że i owszem, miejsca jest jeszcze trochę i można by coś jeszcze w nim zmieścić. Na przykład dokładkę makaronu.

Siostra Tomasza znajdowała się właśnie na dworcu kolejowym i wzrokiem odprowadzała zrozpaczonego mężczyznę do bufetu. Widziała, jak w pośpiechu, niezdarnie przedzierał się przez tłum, co w oczach współpasażerów kompromitowało go jeszcze bardziej. Jak rozedrganym głosem zamawiał wódkę, a potem schwycił swoimi czerwonymi rękami wypełniony po brzegi kieliszek i opróżnił go jednym haustem. I ze smutkiem pomyślała o chłodzie torów kolejowych, którego za chwilę miał doświadczyć.

A Karolina Morawiecka myślała o tym, że świat jednak jest piękny, a ludzie dobrzy. Że to nie z jej Stanisława (niech spoczywa w pokoju) kpiono, a zatem i nie z niej samej. Że nikt się nie zorientował, że nie wiedziała, o jaką lalkę chodzi. Że cnota

cierpliwości, tak przez nią praktykowana, okazała się przydatna. Że anioł stróż ma ją w swej opiece, bo widać ona sama podoba się Panu. I że, niestety, znowu będzie musiała coś przeczytać...

– Jedzenie stygnie – rzuciła prawie radośnie, wszak do obowiązku lektury zdążyła już niemal przywyknąć. – Siostra powinna najpierw zacząć od makaronu, wegańskie danie tym razem, no ale cóż, trudno, za to do humusów i muhammary będzie świeża bagietka. Już się piecze.

– Myślę, że zostawimy panie w spokoju. Na pewno chcą panie bez świadków omówić dzisiejsze wydarzenia, a przecież ostrzegała nas pani, pani Karolino, że to wszystko jest objęte najwyższą tajemnicą. Więc nie będziemy przeszkadzać w naradzie. – Imienniczka wykazała się taktem, a ociąganie, doskonale słyszalne w jej głosie, było dla Morawieckiej jak balsam na duszę, jak miód na serce. Tym bardziej że i pan Jacuś patrzył z żalem na stół.

– Panie Jacusiu, to może ja panu troszkę tego makaroniku dam do słoiczka? To znaczy... państwu? – dorzuciła gospodyni w ostatniej chwili.

– Och, bardzo pani uprzejma, pani Karolinko. – Antykwariusz pokraśniał z zadowolenia. – Jeśli to nie kłopot – uzupełnił z grzeczności.

– Jaki kłopot! Z radością panu zapakuję. I pani – poprawiła się Morawiecka.

– Bardzo dziękujemy! Jeśli pani zechce, Jacek zaraz może pani przynieść *Lalkę* Prusa. Mamy w domu ze dwa egzemplarze, a może się teraz przyda do śledztwa.

– Cudownie! – Wdowa po aptekarzu z radości aż klasnęła w ręce. – Rzeczywiście powinnam ją sobie chyba co nieco... odświeżyć.

Nie minęło nawet dziesięć minut, jak w dłoniach wdowy znalazły się dwa obszerne tomy.

Dużo tego – westchnęła w myślach. – No ale każdy ma swój krzyż...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W KTÓRYM ŚLEDZTWO NABIERA TEMPA

Ledwie za panem Jacusiem zamknęły się drzwi, zadzwonił telefon.

– Allo? – rzuciła Morawiecka do słuchawki na tyle głośno, że siedząca w salonie przy stole siostra Tomasza podskoczyła gwałtownie i zachłysnęła się makaronem z bocznikami. – Och, to pan, panie Adasiu. Jak dobrze, że pan dzwoni! Mam bardzo ważny trop! Udało mi się rozwiązać pewną tajemnicę! Tak, oczywiście, proszę przyjechać. Siedzimy właśnie z siostrą Tomaszą przy skromnej kolacyjce – rzuciła zachęcająco na koniec.

– Siostrzo Tomaszo. – Ruszyła na pokoje. – Za chwilę przyjedzie tutaj podkomisarz Cegła. Ma coś ważnego do powiedzenia. Ale się zdziwi nasz pan Adaś, jak tylko usłyszy o tej całej *Lalce*! Ja, niestety, muszę znowu na chwilę siostrę zostawić samą, bo makaronu więcej już nie ma. Pan Jacuś dostał wszystko. Może to i dobrze, on taki chudy, że aż strach. Ta jego żona to mu raczej za dużo nie gotuje. – Westchnęła niby to z ubolewaniem, ale zakonnica doskonale rozpoznała głębokie zadowolenie. – Zresztą, od takiego wegańskiego jedzenia to raczej trudno przytyć. A pan Adaś potrzebuje czegoś konkretnego...

– To może, jeśli to nie problem, pójdę z panią do kuchni? – Siostra Tomasza jak najszybciej chciała zebrać i omówić wszystkie fakty.

– Oczywiście, siostrzyczko, będzie mi bardzo miło. Czasu mamy niewiele, chyba frittatę na chorizo przygotuję... Zmieści siostra jeszcze troszkę?

– Och – skromnie wyznała zakonnica, a spod kornetu bił blask.
– Troszkę powinnam zmieścić.

* * *

Zgodnie z tradycją i obowiązującymi zasadami początkowo rozmowa toczyła się wolno, między jednym kęsem a drugim, wokół bezpiecznego tematu pogody. Tak było ładnie. Taka polska złota jesień. A tu nagle taki deszcz.

Wełniane kapciuszki na nogach podkomisarza Cegły przemokły już doszczętnie. Wilgoć szybko dotarła do mięsistego materiału skarpetki i zaczęła atakować palce. Dyskomfort był duży, wszak nikt nie lubi moknąć, a zwiększała go (i to znacznie) świadomość, że w suchej i ciepłej kuchni Karoliny Morawieckiej źródło kałuży, w której od ponad kwadransa znajdowały się nogi policjanta, siedzi nieopodal i nieustająco produkuje kolejne metry sześcienne śliny. I dyszy. Licząc na dokładkę, pan Adaś nie chciał burzyć dobrego nastroju gospodyni. A tym bardziej nie chciał wyjść na człowieka o słabych nerwach. Może jak skończą jeść, pies sobie pójdzie? Albo jemu uda się jakoś inaczej usiąść?

– Jakiś spięty się pan wydaje, panie Adasiu – zmartwiła się pani Karolina. – To przez tę Kasię Pietras? Chyba się pan nie boi, że rozwiążemy to śledztwo przed panem – rzuciła figlarnie, a Cegłę przeszył dreszcz grozy. Figlarny nastrój wdowy po aptekarzu mógł bowiem budzić grozę w najtwardszym nawet mężczyźnie.

– Nie – zdołał wybąkać. Nad wyraz nieśmiało.

Siostra Tomasza spojrzała na niego badawczo, zerknęła pod stół i ruszyła z pomocą. Oblężony Wiedeń nie cieszył się tak

na widok husarii, jak podkomisarz Cegła ucieszył się w tamtej chwili.

– Pani Karolinko, myślę, że jesteśmy już na takim etapie znajomości, że spokojnie możemy w trójkę przejść do kuchni i tam, przy kawie, odbyć naradę. Salon jest piękny, doprawdy (*Panie, odpuść*), ale w kuchni jest mniej... oficjalnie – zamotała się trochę, ale podkomisarz przejął pałeczkę.

– Tak, tak, to świetny pomysł. Jak panie zapewne zauważyły, mojemu gabinetowi daleko jest do elegancji tego pomieszczenia i trochę nieswojo się tu czuję. To jest, chciałem powiedzieć – urażone spojrzenie Morawieckiej sprawiło, że od razu zaczął się tłumaczyć – oczywiście wspaniale się tu czuję, źle się wyraziłem, człowiek taki zmęczony... Ale lepiej mi się myśli w kuchni. Taki nawyk samotnego mężczyzny.

Dobra gospodyni zawsze ma czysty salon, kilka składników w lodówce, z których jest w stanie w krótkim czasie wyczarować sałatkę, i uważnie słucha swoich gości. Dlatego, choć nie do końca czuła się z tym komfortowo, pani Karolina (z wyraźnie słyszalną rezerwą w głosie) wyraziła aprobatę dla tego pomysłu. W końcu gość w dom, Bóg w dom.

Usiadłszy przy kuchennym stole, pan Adaś nieco się odprężył i od razu przeszedł do rzeczy.

– Pani Karolino, rzeczywiście, miała pani rację. Technicy zbadali odciski na papierkach po pralinkach zabezpieczonych przez panią na miejscu zdarzenia i potwierdzili pani przypuszczenia. To nie mogła być próba samobójcza. Oprócz znaków po igle, wskazujących, że ta cała digo... – Musiał na chwilę otworzyć notes i sprawdzić notatki. – Digoksyna została wprowadzona do słodyczy...

– Bo digoksyna rozpuszcza się w tłuszczach. – Wdowa po aptekarzu przerwała mu, co nie było może nazbyt uprzejme, uznała to jednak za ważny szczegół. I cóż, nie miała wątpliwości,

że spośród zebranych tylko ona o tym wie. A wiedzę przecież należy się dzielić. – Poza tym inaczej pewnie trudno byłoby zmusić Kasię Pietras do spożycia trucizny. Lub zrobić jej zastrzyk.

– A zważywszy na to, że jak słyszałam – tym razem nie wytrzymała zakonnica – Kasia bardzo lubi słodkie, było to chyba najprostsze rozwiązanie.

– Otóż to. – Cegła znowu przejął prowadzenie i wrócił do swego wyводу. – Zakładaliśmy początkowo, że mogła to być próba samobójcza małoletniej. Niestety, to się zdarza. – Westchnął, a wraz z nim westchnęły i panie. – Ale w takim wypadku Kasia powinna wyrzucić papierki przed faszerowaniem pralinek trucizną. Albo zostawiłaby na nich swoje odciski...

– Ależ tak! – Siostra Tomasza w mig pojęła. – I to liczne, nakładające się na siebie!

– Zgadza się – rzucił Cegła z uznaniem. – Tymczasem technicy znaleźli tylko pojedyncze odciski dziewczynki, no i pani. – Tu posłał uśmiech w stronę pani Karoliny. Miał nadzieję, że to pomoże. Wciąż pamiętał, jak oburzona była, kiedy starał się jej wytłumaczyć, że musi pobrać od niej odciski palców, żeby można je było wykluczyć. Jak krzyczała, że takie poniżenie nigdy wcześniej jej nie spotkało. Że tylko bezbronne wdowy i sieroty (o starcach jakoś nie napomknęła) może spotykać takie okrucieństwo i znieczulica.

– Od początku to panu mówiłam! Gdyby mnie pan słuchał, panie Adasiu drogi, to nie straciłby pan tyle czasu. Sama nie wiem, naprawdę, kiedy pan się wreszcie nauczy, że ja zawsze mam rację.

– Tak... – rzucił nieopatrznie podkomisarz. Miał nadzieję, że zabrzmiało to niezobowiązująco. – Wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście miała pani rację. Jednak prokurator Jasienica na razie jest daleki od połączenia tych dwóch spraw. Śmierć Bednarz Anny została przecież potraktowana jako nieszczęśliwy

wypadek i jak dotąd nie ma żadnych przesłanek, że łączy się z próbą pozbawienia życia małoletniej Pietras Katarzyny.

– Jak to? – zdziwiła się siostra Tomasza. – Przecież to się musi ze sobą łączyć...

– Panie Adasiu – zagrzmiała Morawiecka, a jej głos, potęgowany przez ogromne pudło rezonansowe, mógłby w tamtym momencie obudzić zmarłych. – No coś pan?! Chyba pan nie wierzy jakiemuś prokuratorowi, kiedy ja panu mówię, że to się łączy!

– Tylko spokojnie, pani Karolinko. Tylko spokojnie. – Policjant próbował stonować rozemocjonowaną wdowę. Równie dobrze mógłby chcieć uspokoić sztorm lub burzę gradową. Albo trąbę powietrzną.

– No naprawdę! Czy wszyscy mężczyźni na tym świecie muszą być tacy uparci? Muszą wiedzieć lepiej? Przecież to nie wstyd się czasem przyznać do błędu! Posłuchać innych! – wykrzyczała Morawiecka i na moment zamilkła. Po części dlatego, że brakło jej tchu, po części ze strachu. Dotarło do niej, że chyba się jednak trochę zagalopowała. (Choć nawet przez myśl jej nie przeszło, że słuchający jej przemowy pan Adaś kochany reprezentuje państwo i te całe organy ścigania, a nie ród męski). Ulgę przyniosła jej refleksja, że jednak nie o sobie mówi. Że ta mądrość jej nie dotyczy. Jeśli przecież ktoś ma zawsze rację, to nie musi słuchać innych. No i nie ma się do czego przyznawać...

– Ale ja się z panią zgadzam. – Cegła z tych emocji aż podniósł głos.

Poskutkowało. Pani Karolina co prawda dalej sapała jak byk nad torreadorem, ale spojrzała na niego przyjaźniej.

– Naprawdę? – upewniła się siostra Tomasza.

– Oczywiście. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają jedna po drugiej. I to w takiej małej miejscowości. Te wypadki po prostu musi coś łączyć. Najprawdopodobniej rzeczywiście

pospieszyliśmy się z uznaniem śmierci Bednarz za nieszczęśliwy wypadek... – W tej chwili na twarzy gospodyni zagościł uśmiech, jej oddech wyrównał się, więc uspokojony policjant kontynuował: – Pewnie było tak, jak mówiła pani Karolina. Pietras Kasia musiała coś zobaczyć i okazała się zagrożeniem dla zabójcy. Lub zabójczyni.

– Mordercy – rzuciły jednocześnie kobiety, nie zważając na poprawność nazewnictwa.

– Mordercy! – Wdowa po aptekarzu nie dała sobie odebrać dowodzenia. – To mogę panu powiedzieć z całą pewnością. Przez chwilę co prawda podejrzewałyśmy z siostrzyczką tę kelnerkę z Herbovej, Zuzannę Sochę, co to przy Granicznej mieszka, ale już ją skreśliłyśmy z listy. Pan się tak nie dziwi, kochanieńki, znalazłyśmy motyw, a i jej alibi było do podważenia... No, ale to już pan jako policjant powinien rozpracować. Ważne, że Kasia Pietras, kiedy ją – tu zrobiła pauzę, aby ciąg dalszy dobrze i odpowiednio wybrzmiał – reanimowałam – teraz pauzie towarzyszyło skromne spuszczenie wzroku w dół, ale nie za długie, by jej nie umknęły reakcje słuchaczy – powiedziała wyraźnie: „To on”. Ale, panie Adasiu, w tych nerwach nie przekazałam panu, że to nie były jej ostatnie słowa. Spokojnie, proszę się nie unosić, sam pan zaraz zrozumie dlaczego.

I opowiedziała historię „fałzemisza”, z godną podziwu sprawiedliwością (choć towarzyszył temu męczeński wyraz twarzy) oddając część zasług chudej sąsiadce. I siedzącej obok zakonnicy.

– No dobrze, dobrze. – Podkomisarz aż zatarł ręce z emocji. – To bardzo ważne, bardzo. Tylko, niestety, nie do końca rozumiem, jak to możemy zinterpretować...

– To ja może kawę zrobię? – Pani Karolina przykryła zażenowanie w najlepiej sobie znany i sprawdzony sposób. – Albo herbatę?

– To ja poproszę o kawkę. Tym razem taką z mleczkiem, jak pani robi – zgodził się chętnie policjant. Pora była późna, ale nowe tropy i tak nie pozwolą mu zasnąć tej nocy.

– Dla mnie cappuccino, poproszę. – Siostra Tomasza pograżała się w coraz większym zamyśleniu. – Jeśli mamy rację i ostatnie słowa Kasi Pietras są cytatem z *Lalki* Prusa, to najważniejszą wskazówką będzie kontekst. „Farewell, miss Iza” to słowa mężczyzny, który wielbił swoją ukochaną, widział w niej anioła, idealizował ją – mówiła jakby do siebie, niemal nieświadoma obecności słuchaczy. Ani tego, że oto postawiono przed nią parującą filiżankę ze złotym brzeżkiem i sielankową sceną wymalowaną po obu stronach porcelany. – Do momentu, w którym zorientował się, że Izabela nie jest aniołem, a kobietą z krwi i kości. Z pragnieniami, o których on nie chciał wiedzieć...

– Czego w takim razie pragnęła Izabela? – Na policzkach wdowy zagościł rumieniec wskazujący na najwyższy stan pobudzenia. Lubiła takie historie. Zwłaszcza w formie serialu.

– Ach, ona sama chyba za bardzo 26nie wiedziała. – Pytanie sprowadziło zakonnicę na ziemię. Uśmiechnęła się do słuchaczy i napiła kawy. – Pyszna ta kawa, pani Karolinko, bardzo dziękuję. Myślę sobie, że tak często bywa. Że człowiek nie do końca wie, czego chce. Zwłaszcza jeśli mówimy o kobiecie dorastającej w patriarchalnym świecie – westchnęła.

– Że co? – zdziwił się podkomisarz. Trochę już zaczęło mu się od tego mieszać w głowie. – Jaki to ma związek ze śmiercią na zamku i próbą zabójstwa nastolatki?

Pani Karolina była mu wdzięczna za to pytanie. Sama myślała podobnie, choć jej nie wypadało o to zapytać. Cóż, gospodyni ma swoje obowiązki, w tym dbanie o dobre samopoczucie gości. Nawet takich, którzy trochę nieskładnie mówią.

– Jeśli założymy – siostra Tomasza odstawiła filiżankę na stół i znowu pograżyła się w myślach. Na szczęście dla zebranych

przy stole, myślała na głos – że na zamku w Pieskowej Skale doszło do morderstwa, żeby znaleźć sprawcę, musimy poznać motyw. Powód, dla którego ktoś postanowił zabić Annę Bednarz. Uciszyć ją... Początkowo wydawało się, że kelnerka to istny anioł, któremu trudno przypisać jakąkolwiek wadę...

– Jak Izabela – zaryzykowała w natchnieniu wdowa po aptekarzu.

– No właśnie. – Zadumana zakonnica nie zdziwiła się nawet. – Tymczasem wiemy z rozmów z dziewczynami z Herbovej, że w rzeczywistości było trochę inaczej. Dla ukochanego...

– Bienia Mateusza – dorzucił podkomisarz Cegła, który nie chciał być tylko słuchaczem.

– Dla Mateusza Bienia była jak anioł, czysta jak łąza, podczas gdy według koleżanek często flirtowała z chłopakami z Krakowa. Nie wiadomo, czy była mu wierna, czy nie, ale podobnie sprawa się ma w przypadku bohaterki powieści. Pogłoski, plotki – twarde dowodów nie ma...

Wdowa, gdy dotarł do niej sens słów, zarumieniła się wdzięcznie. Zakonnica była chyba zbyt zamyślona, bo nie poszła w jej ślady. A powinna przecież! A wypadałoby!

– Jeśli uznamy, że Anna Bednarz to nasza panna Łęcka, kto w takim razie będzie Stanisławem Wokulskim? Kim jest rozczarowany narzeczony wypowiadający te słowa?

– Jezusie, Maryjo i wszyscy święci! Ani chybi Mateusz Bień! – Dla pani Karoliny wszystko było teraz jasne. – Spotkał się z ukochaną na tajemną randkę, nocą na zamku, żeby było romantyczniej, ale dowiedział się czegoś i zrzucił ją z tego nieszczęsnego murku!

– Drogie panie. – Głos policjanta był twardy jak skała. – Ja rozumiem, że to się wszystko jakoś składa w całość, ale to jednak nie ma sensu. Przede wszystkim – brak śladów na ofierze. Jeśli Bień Mateusz przypadkiem doprowadziłby do upadku

narzeczonej z zamkowego muru, na jej zwłokach znaleźlibyśmy dowody. I to na pewno. A skoro ich nie było, to albo zaplanował morderstwo i zepchnął ją w, dajmy na to, rękawiczkach...

– Wówczas ofiara powinna zorientować się wcześniej, że coś jest nie tak. W końcu noce na początku września są jeszcze ciepłe. Ona sama była ubrana w króciutką spódniczkę, podkoszulek i dżinsową kurteczkę... Te rękawiczki ostrzegłyby ją. Wzbudziłyby podejrzenia. Powinna krzyżeć. Albo chociaż się bronić. – Siostra Tomasa pracowała na pełnych obrotach. – A żaden ze strażników niczego nie słyszał.

– Właśnie – zagrział głos rozsądku w postaci podkomisarza Cegły. – No i nie zapominajmy o najważniejszym. Bień Mateusz ma alibi. Sprawdzone, niepodważalne alibi. Nie, on nie mógł zamordować swojej narzeczonej.

– Panie podkomisarzu – nieśmiało zaczęła zakonnica. – Czy mógłby nam pan powiedzieć, co dokładnie ustaliła policja w sprawie Mateusza Bienia? Rozumiem, tajemnica śledztwa, ale może to alibi jest, powiedzmy, do podważenia? Albo są w nim jakieś, dajmy na to... nieścisłości, które jednak nie wykluczałyby go z listy osób podejrzanych?

– Cóż... – Podkomisarz nie musiał nawet sprawdzać w notatniku, tak dobrze to pamiętał. – Bień Mateusz od kilku miesięcy zajmował się księgowością firmy. Ojciec chciał, aby po ślubie syn przejął interes. To miał być prezent na nowe życie. Tak więc bodajże od kwietnia bieżącego roku – jednak przekartkował służbowy notes, żeby nie przeinaczyć żadnej informacji – ostatni dzień każdego miesiąca Bień Mateusz spędzał wraz z ojcem i specjalnie w tym celu zatrudnioną księgową, panią Wal Elżbietą, nad kasą fiskalną i księgą rachunkową.

– Ale przecież... – kobiety jednomyślnie wniosły zastrzeżenia.

Podkomisarz Cegła powstrzymał je jednym gestem. Był głosem zdrowego rozsądku. Był ręką Prawa.

– Nie, drogie panie – rzekł z mocą. – Tu nie ma mowy o żadnym „ale”. Spotkania te zwyczajowo odbywały się po godzinach pracy. Tym razem rozliczenia dokonał sam Bień Mateusz i, co księgowa odkryła bardzo szybko, bo już we wtorek piątego września, w jego obliczenia wkradł się błąd na niekorzyść firmy. Jeśli chcą panie wiedzieć dokładnie – tu ponownie zajrzał do służbowego notatnika – to według słów pani Wal: „Mateusz Bień nabił nieprawidłowo kwotę sprzedaży, zwiększając swój przychód, czego konsekwencją byłoby większy podatek”. Jednym słowem, drogie panie, narzeczony denatki pomylił się o kilka zer. Tego typu błędy dosyć trudno jest od razu zauważyć, ale wrześniowy przychód rzadko bywa wyższy o kilkanaście tysięcy – dodał tonem eksperta podkomisarz, mając świadomość, że słuchające go w napięciu kobiety niewiele wiedzą o księgowości. On sam zresztą także niewiele rozumiał, kiedy księgowa Bieniów zeznawała. Na szczęście pani Wal okazała się cierpliwą i zdolną nauczycielką i w trakcie przesłuchania w charakterze świadka umiejętnie mu wszystko wyjaśniła. – W każdym razie błąd pana Mateusza został szybko wykryty, a ojciec zażądał kolejnego spotkania w celu wyjaśnienia pomyłki. Pani Wal Elżbieta zgodziła się spotkać z panami w czwartek siódmego września. Jednak, ze względu na mecz, spotkanie zostało przeniesione na jeszcze późniejszą porę, to jest na dwudziestą drugą trzydzieści. I trwało do godziny trzeciej trzydzieści.

– Ile zarabia ta księgowa? – Pani Karolina nie wytrzymała. – Przecież za takie nadgodziny jej premia pewnie jest ogromna...

– Może nawet na tyle – siostra Tomasza spojrzała znacząco na zebranych – że mogłaby potwierdzić... wszystko?

– No cóż. – Pan Adam poczuł się nagle bardzo, ale to bardzo zakłopotany. – Nie mamy powodów wątpić w jej zapewnienia. Sprawdziliśmy zapiski na kasie cyfrowej, bo tam automatycznie

zapisuje się data i czas każdej operacji, i wszystko się zgadzało...

– Ale przecież potwierdza to tylko, że zamykano księgowość! Kasa fiskalna nie może być traktowana jako alibi! A jeśli Mateusz Bień na chwilę wyszedł? Jeśli pojechał na zamek na tajemnicze spotkanie z narzeczoną, zabił ją i wrócił? – Wdowa po aptekarzu ledwie panowała nad emocjami. – Panie podkomisarzu, panie Adasiu kochany, przecież to za mało!

– Pani Karolinko. – Śledczy dla zwiększenia efektu przytrzymał na chwilę dłoń rozemocjonowanej gospodyni i posłał jej głębokie spojrzenie (bardzo to zresztą było nieprzemyślane; pani Karolina zarumieniła się, zatrzepotała rękami i zrobiła kuszący dzióbek, a policjanta natychmiast oblały zimne poty; i tylko siostra Tomasza zakrztusiła się nieco, dziwnie niezakłopotana). – Sprawdziliśmy wszystko bardzo dokładnie. Pani Wal nie kłamie. Dowody nie kłamią. Proszę mi zaufać, to nie był Bień Mateusz.

– W takim razie kto? – wyrwało się wdowie. – Jaki sens ma to zdanie z *Lalki*? Jest bez związku? Dziewczynka majaczyła? Tak po prostu? – Rozpacz w jej głosie była wręcz namacalna.

– Obawiam się, pani Karolinko, że to możliwe. – Śledczy starał się być tak delikatny, jak tylko mógł. – Wciąż nie wiemy, w jaki sposób Pietras Kasia poznała rzekomego mordercę z Pieskowej Skały. Przecież nie była wtedy na zamku... Prawdę mówiąc, nawet nie mamy pewności, czy znała się z ofiarą. W końcu Bednarz Anna była ze Skały...

– No i była dużo starsza. Dla dwudziestotrzylatki czternastolatka to zupełne dziecko... – Początkowy entuzjazm siostry Tomaszy zniknął bezpowrotnie. Rozwiązał go rozsądek i suche fakty.

– Powinniśmy w takim razie wypytać o to Kasię Pietras – wtrąciła rzeczowo pani Karolina. – Pojedziemy jutro do szpitala, przepytamy dziewczynkę i będziemy wszystko wiedzieć.

Podkomisarzowi Cegle, kiedy usłyszał plany wdowy

po aptekarzu i uświadomił sobie, co kryje się za użytą przez gospodynię liczbą mnogą, zadrżała lekko powieka. Nie miał jednak siły na awantury, postanowił więc nie reagować. Wiadomo, dla dobra śledztwa można czasem porozmawiać z cywilem, na przykład przy niezobowiązującym posiłku, ale nie można go żadną miarą angażować w prowadzenie sprawy! W każdym razie on, Adam Cegła, nie miał na to najmniejszej ochoty. A już wspólne przepytywanie świadka...

Na szczęście pani Karolina nie umiała (jeszcze) czytać w myślach, ciągnęła więc niezrażona:

– A teraz proszę się nie martwić. Mam coś na osłodę – rzekła, choć głos jej zadrżał. Podobnie jak ręką, którą bohaterko sięgnęła do czeluści kredensu, by położyć na stole bombonierkę z kotkami. – Trochę cukru nie zaszkodzi.

Kiedy cała trójka zajęła się czekoladkami i podnoszeniem poziomu cukru w organizmie, zadzwonił telefon podkomisarza.

– Cegła – rzucił krótko. – Słucham?

Rozłączył się po chwili. Poblady wziął jeszcze jeden koci języczek i ogłosił straszną nowinę.

– Dzwonili ze szpitala. Z Pietrasówną jest gorzej. Doszło do zatrzymania akcji serca. Reanimowali ją, żyje, ale nie ma mowy o żadnym przesłuchaniu. Na pewno nie jutro – rzucił głucho.

– Matko Boska, miej ją w swojej opiece! – zaapelowała wdowa po aptekarzu.

– Chyba mam pomysł – odezwała się siostra Tomasza.

* * *

– Allo? – Głos Karoliny Morawieckiej wibrował dźwięcznie a donośnie. – Dobry wieczór, tu Karolina Morawiecka. Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze, ale z tych emocji to

człowiek ani spać nie może, ani jeść, ani nawet telewizji oglądać...
– Tu obniżyła głos i z radosnego szczebiotu płynnie przeszła w stan zadumy nad światem, losem, życiem i śmiercią. – Taka straszna tragedia... Jak to, nie wie pani, co się stało? Naprawdę? Och, to przepraszam, nie przyszło mi do głowy... Wydawało mi się – nastąpiła pauza, która mogła być potraktowana jako dowód najwyższego szacunku (ale równocześnie jako sygnał totalnej porażki) – że kto, jak kto, ale pani wiedziała jako pierwsza. Kasia od Pietrasów struła się przeokropnie. Reanimowałam ją wprawdzie, ale karetka przyjechała za późno... W Krakowie w szpitalu biedactwo leży, ale nieprzytomna jest całkiem, akcja serca się zatrzymała i, no cóż, śmierć mózgu. Teraz to już tylko wola Pana, kiedy zabierze ją do siebie...

* * *

– Halo! Co się na tym świecie wyprawia! Jak to, nie wie pani, co się stało? Ta biedna Kasia Pietrasówna w Krakowie w szpitalu właśnie umiera... Jezus, Maryja, jaka tragedia! W Krakowie, nie wiem dokładnie... Od grzybów chyba albo i od czegoś innego. Struła się na amen! No tak, to po nią karetka na Podzamcze przyjechała, ale za późno było. Taka tragedia, taka tragedia... Kończę, nie przeszkadzam.

* * *

– Hej, słyszałaś? Ta karetka, co dzisiaj na Podzamczu była, to nie po turystkę! To ta Kasia Pietras, taka gruba, co koło pegeerów mieszka, ta od tej fajnej Mariolki, struła się. Nie wiem, chyba samobójstwo, bo co innego?

* * *

„Gruba Kaśka nie żyje. Masakra jakaś λ. O pogrzebie jeszcze nic nie wiadomo. Dozo”.

* * *

[*][*][*] dla Kasi

śpij aniołku <3

słodkich snów, do zobaczenia
kiedyś na górze [*][*][*]

r.i.p. Kasia Pietras @-----

* * *

Od dawna w Wielmoży nie było takiego pobudzenia. Telefony dzwoniły, esemesy rozchodziły się z prędkością światła. Huczało na forach, huczało też przy stołach nad kolacją i w przerwach na reklamy oddzielających serwis informacyjny od sportu i pogody. A kiedy już wszystkie pytania padły, kiedy już wszystkie łyzy wyschły i nastał czas ulubionych seriali, emocje

zwolna opadły zastąpione zwyczajową refleksją, że takie jest życie. Światła pogasły i tylko łuny bijące od przeogromnych plazm rozświetlały wszechogarniającą ciemność niczym światła zniczy płonące nocą na cmentarzu.

I tylko na Podzamczu było inaczej.

Wdowa po aptekarzu z mimowolnym westchnieniem sięgnęła po grube tomiszcze. Wolała serial o mądrym księdzu, co to tak zgrabnie rozwiązuje wszystkie zagadki. Albo poczytać o tym przystojnym Herkulesie Poirot, który miał taki uroczy wąsik i, podobnie jak ona, wyrafinowany gust tudzież manieri.

Pani Karolina czuła jednak, że rozwiązanie zagadki śmierci Bednarzówny i próby zabójstwa Kasi Pietras znajdzie w tej starej powieści. Bo czy to możliwe, że w obliczu śmierci dziewczyna po prostu majaczyła? No cóż, pewnie tak. Ale czy to możliwe, żeby ona, Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu, bohatersko ratująca biedne dziewczę przed okrutnym mordercą, mogła się pomylić? Czy intuicja mogła ją zawieść? No cóż, oczywiście nie. Co prawda gorliwe zapewnienia podkomisarza Cegły odnośnie do alibi Mateusza Bienia nie do końca przekonały panią Karolinę, jeśli jednak policjant ma rację i zabójcą jest ktoś inny, wskazówki niezbędne do rozwikłania tej sprawy znajdują się właśnie tu.

Dlatego teraz z ciężkim sercem, ale w poczuciu obowiązku wdowa po aptekarzu otworzyła książkę na pierwszych stronach pamiętnika starego subiekta. Niech jeszcze i to, niech jeszcze i to...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W KTÓRYM SIOSTRA TOMASZA WYSNUWA
WNIOSKI Z ROZMÓW, PANI KAROLINA
– Z LEKTURY, A LISTA PODEJRZANYCH
SKRACA SIĘ DO MINIMUM

Siostra Tomasz skończyła odmawiać modlitwę brewiarzową i z niepokojem spojrzała na zegarek. Nasłuchiwała przez chwilę. Bezskutecznie. Dochodziła siódma i za chwilę ksiądz Szymon powinien udać się do szkoły, aby wraz z pierwszym dzwonkiem nauczać dziatwę religii. Tymczasem wikarego nie było słycać. Na wszelki wypadek postanowiła udać się do kuchni. Kto wie, może po śniadaniu wrócił tam jeszcze na chwilę i bez zobowiązującej obecności proboszcza-ascety posila się przed trudem nauczania?

Szła długim ciemnym korytarzem w stronę światła. Jeszcze zanim wkroczyła do kuchni, wiedziała, że się nie myliła. Jej nozdrza zaatakowała woń tak dalece niespotykana na skalskiej plebanii, tak oryginalna i rzadka, że jej źródłem i sprawcą mógł być tylko wikary, nie do końca jeszcze przyzwyczajony do tutejszych zwyczajów. I rzeczywiście. Ksiądz Szymon stał teraz przy kuchence i z kubkiem w ręku czekał, aż postawiona na gazie kafetiera przestanie bulgotać.

– Och, szczęście Boże, siostró – rzucił spłoszony. – Właśnie sobie

przygotowuję kawę. Ja rano bez kawy to nie bardzo. Może się siostra ze mną napije?

– Z przyjemnością – rzuciła krótko i podała kubek pospiesznie wyciągnięty z kredensu. – Ale skąd ksiądz ma ten sprzęt? I kawę? Od razu czuć, że to nie od księdza Walerego.

– Tak, no cóż. – Lekko poczerwieniał. – Muszę się przyznać, że choć w pełni pochwalam ducha ascezy i naprawdę podziwiam księdza proboszcza, to niestety jestem człowiekiem słabym. I chociaż do postnych posiłków już się przyzwyczaiłem, to jednak ten brak kawy... Jednym słowem, w zeszłym tygodniu nie wytrzymałem. Kupiłem sobie kafetierę i kawę. Za zgodą księdza Walerego oczywiście! Ale żeby nie siać zgorzenia, trzymam je w swoim pokoju.

– Spokojnie, proszę księdza. – Siostra Tomasza posłała zawstydzonemu wikaremu uśmiech pełen zrozumienia. – Tu o żadnym zgorzeniu mowy nie ma. I jeśli ksiądz nie będzie miał nic przeciwko, to z radością dorzucę się do zakupu i zostanę księdza współpracowniczką. Poranna kawa to przecież dar od Boga – dodała na koniec, kiedy wikary napełniał jej kubek czarnym płynem.

– Och, może po prostu następną kawę kupi siostra? I tak będziemy na zmianę uzupełniać zapasy. – Głos męczyzny był już całkiem rozluźniony. Najwidoczniej za sprawą tych kilku upitych już łyków i nieprzewidzianego obrotu sprawy. – Ja zresztą wiele nie piję, najwyżej dwie dziennie. Rano, bo jednak praca z dziećmi wymaga energii. No i po powrocie ze szkoły, żeby jakoś odreagować. – To zdanie rzucił ciszej, jakby zawstydzony własną słabością.

– Bo widzi ksiądz, ja właśnie w tej sprawie księdza szukam...

* * *

Zespół Szkół w Skale, czyli połączone w jednym wielkim zwalnym budynku o ognistych pomarańczowych ścianach podstawówka i gimnazjum, usytuowany został na obrzeżu miasteczka. I choć dzieci i młodzież czasami narzekały na odległości, to jednak pozostali mieszkańcy w skrytości ducha doceniali pomysł burmistrza. Bo hałas dobiegający z tej edukacyjnej placówki (tak przecież charakterystyczny dla tego rodzaju instytucji pożytku społecznego) cichł w promieniu pięćdziesięciu metrów – czyli w szczerym polu.

Teraz, o siódmej dwadzieścia pięć, prowadząca do szkoły asfaltowa droga tętniła życiem. Albo ogromny głód i pragnienie wiedzy, albo obawa przed spóźnieniem (dla tej historii nie ma to przecież większego znaczenia) pchała uczniów w stronę otwartych na oścież drzwi. A pomiędzy tą rzeką tornistrów, plecaków, toreb i worków, kurtek i płaszczy, głów odkrytych i zakrytych, twarzy jasnych i rumianych, zmęczonych, znudzonych i radosnych przedzierali się z wyraźną determinacją szczupły ksiądz Szymon i chuda zakonnica.

– Jeszcze na chwilę do pani dyrektor muszę podejść. Proboszcz Walery wczoraj nas umówił – rzuciła w drzwiach. – Gdzie gabinet?

– Na prawo, w tym wąskim korytarzyku. Ja biegnę do pokoju, bo zaraz dzwonek, a drugiej „a” nie można ani na chwilę spuszczać z oczu. Będziemy na siostrę czekali w sali na pierwszym piętrze. Podpisana jest – wyjaśnił wikary i z pośpiechem pognął schodami na górę.

– Siostra to do pani dyrektor pewnie? – zapytał uprzejmie wąsaty portier w lekko pobrudzonym chałacie, wskazującym, że jego właściciel pełni też funkcję złotej rączki. (Cięcia budżetowe – wiadomo). – Rano mi dyrektorka mówiła, że zakonnica jakaś ma przyjść.

– A tak, dziękuję. To tu, na prawo?

– Tam. – Wskazał ręką o paznokciach nie pierwszej świeżości, świadczących, że jeszcze przed lekcjami musiał wykonywać jakieś prace. – Drugie drzwi.

Dyrektor Zespołu Szkół w Skale, pani mgr Krystyna Dąb, musiała chyba podsłuchiwać, bo siostra Tomasza jeszcze nie zdążyła zapukać w pomalowane sinoniebieskim lakierem drzwi ze schludną wizytówką, kiedy te otworzyły się na oścież.

– Proszę, niech siostra wejdzie. Szczęść Boże. – Wbrew nazwisku wypowiadająca te słowa kobieta była filigranowa i niewysoka. – Za pół minuty zadzwoni dzwonek, więc nie mamy za wiele czasu na ustalenia. – Koścista ręka o krwistoczerwonych paznokciach objęła łokieć zakonnicy, a następnie posadziła siostrę Tomaszę w fotelu ustawionym naprzeciwko biurka. Nie tylko jednak autorytarny gest świadczył, że magister Dąb od dawna pełni funkcję dyrektorki placówki edukacyjnej. Sposób jej wypowiedzi, który, nie wiedzieć czemu, skojarzył się zakonnicy z pewną wdową po aptekarzu z Wielmoży, również potwierdzał, że pani dyrektor się nie odmawia.

– Szczęść Boże, siostra Tomasza jestem.

Dłoń podniosła się, dając tym samym do zrozumienia, że nie ma sensu tracić czasu na oczywistości. I że głos ma teraz pani dyrektor mgr Krystyna Dąb.

– Jestem bardzo wdzięczna proboszczowi Waleremu za okazaną nam serdeczność i chęć pomocy. Oczywiście nasza szkoła współpracuje z pedagogiem, no ale sama siostra rozumie... – Jedno spojrzenie wystarczyło, by obarczyć winą cięcia budżetowe oraz inne przeciwności nieokreślonej bliżej natury. – Poza tym, o ile wiem – podniesione łuki brwiowe zasugerowały natychmiast, że właścicielka tychże dysponuje wiedzą niczym nieograniczoną i absolutną – tak naprawdę jeszcze nie ma, ekhm – zakaszła dla złagodzenia wymowy swych słów – takiej potrzeby...

– Rzeczywiście. – Siostra Tomasza zrozumiała ją w lot. – Kasia Pietras nadal żyje. Nie mówiąc o tym, że jak dotąd nie ustalono przyczyny tego... wypadku. Proszę jednak pamiętać, że na razie sprawa ta musi być objęta całkowitą dyskrecją. Pomimo złowieszczych błysków w oku dyrektorki zakonnica ciągnęła jak gdyby nigdy nic. – Informacja o stanie zdrowia Kasi nie może wyjść poza ten gabinet. Moim zadaniem jest tylko porozmawianie z jej koleżankami i kolegami z klasy. By podnieść ich na duchu i pocieszyć. (Na wszelki wypadek nie dodała, że także dyskretnie wypytać. Ani że zamierza porozmawiać z nauczycielami dziewczynki).

– Naszą wielką troską jest dobro dzieci i młodzieży, przyszłości tego narodu i świata. Nie tylko edukacja, ale i wszechstronny rozwój są dla nas celem najwyższym – recytowała z pamięci mgr Dąb, która nagle poczuła się w obowiązku bronić autorytetu szkoły, a zatem i własnego. – Dbłość o rozwój wewnętrzny naszych uczniów, pomoc w trudnych chwilach to szalenie istotne działania, wpisane w plan wychowawczy naszej szkoły. I dlatego zgodziłam się na pomysł księdza Walerego, wielkiego przyjaciela tej placówki, żeby zaprosić siostrę tutaj.

– Oczywiście. – Na wszelki wypadek zakonnica nie próbowała oponować i przyjęła pozycję pokornej sługi Bożej. Chciała jak najprędzej spotkać się z uczniami z drugiej „a”, żeby móc spędzić przerwę w pokoju nauczycielskim.

Taktyka „błogosławieni cisi” przyniosła efekt. Z pani dyrektor uszło nieco powietrza, a skoro nie było mowy o żadnym uszczerbku na honorze tak zacnej placówki (nie wspominając już o jej przedstawicielce), mowa okazała się zbędna. Skinienie głowy i ruch ręki wystarczyły, by siostra Tomasza wstała z fotela.

– Bardzo dziękuję za poświęcony czas. I zaufanie. Bóg zapłać. – Na szczęście jeszcze z czasów nowicjatu wyniosła sztukę wychodzenia z pomieszczenia tyłem, aby matka przełożona lub

biskup nie poczuli się dotknięci. Widać anioł stróż musiał ją natchnąć, bo oto teraz zastosowała właśnie tę umiejętność. Rozpogodzone oblicze mgr Krystyny Dąb i łagodny uśmiech na jej twarzy dowiodły, że zakonniczy udało się zatrzeć nie najlepsze pierwsze wrażenie.

Już za drzwiami spojrzała na zegarek. Do końca lekcji zostało trzydzieści pięć minut, co przy odrobinie szczęścia powinno wystarczyć. Wbiegła na piętro.

Zza drzwi z tabliczką „2a” dobiegły ją jakieś piski. Zaciekawiona uchyliła je i zobaczyła czerwonego i lekko spoconego wikarego, który z nieszczęśliwą miną stał pod tablicą. W ławkach siedziały dzieci, które najwyraźniej miały nieco inne wyobrażenie lekcji niż ksiądz Szymon. Część była odwrócona tyłem, zajęta oglądaniem czegoś w telefonie komórkowym. Dziewczynki z ostatniej ławki grały chyba w statki, a chłopak pod oknem czytał „Przegląd Sportowy”. I tylko uczennice z pierwszych rzędów siedziały cichutko, wpatrzone w młodego nauczyciela jak w hollywoodzkiego amanta.

– Niesamowite – pomyślała. – Od czasów Gombrowicza niewiele się zmieniło.

– Klaso, mamy gościa. – Ksiądz Szymon wyraźnie się ucieszył. – Proszę, wszyscy wstają i witamy się: szczęść Boże.

– Szczęść Boo-żeeee. – Przybycie nowej osoby ewidentnie wystarczyło, by znacząco ożywić atmosferę. Na chwilę na twarzach uczniów pojawiło się autentyczne zaciekawienie. Jaka szkoda, że takiego efektu nie wywołały prawdy wiary – temat dzisiejszej katechezy.

– Szczęść Boże. Jestem siostra Tomasza – zaczęła.

– Kto?

– Jakiego Tomasza?

– Te, Tomek, nie mówiłeś, że masz siostrę w zakonie.

– Zatkaj się, idioto skończony!

– Proszę księdza, bo on się wyraża!

– To ja może was zostawię z naszym gościem... – Ksiądz Szymon żwawo ruszył w stronę drzwi i chyba tylko wyrzuty sumienia kazały mu dodać: – Gdyby mnie siostra potrzebowała, to będę na korytarzu. A wy – zwrócił się do młodzieży, która wciąż płonęła z ciekawości – bądźcie grzeczni. Pamiętajcie, że na korytarzu wszystko słychać. – I wyszedł.

Zostali sami. Dwadzieścia sześć par oczu wpatrywało się w napięciu w chudą zakonnice. Cisza, tak niespotykana na lekcjach, musiała wyrzeć na nich dodatkowe wrażenie. Siostra Tomaszka w myślach odmówiła akt strzelisty, zaapelowała o pomoc do patronów nauczycielek i – dla równowagi płci – nauczycieli, to jest do Świętej Urszuli oraz Świętego Benilda, po czym przemówiła:

– Witajcie. Może jeszcze raz się przedstawię – zaczęła. – Jak już wiecie, mam na imię siostra Tomaszka. Wiem, że brzmi dziwnie, ale jest to żeńska forma od imienia mojego patrona, czyli od Świętego Tomasza...

– Z Akwinu czy Tomasza Apostoła? – chciała natychmiast wiedzieć pyzata nastolatka z pierwszej ławki środkowego rzędu.

– Według Wikipedii jest aż piętnastu Świętych Tomaszów. – Chłopak, który ciągle bawił się telefonem, najwyraźniej musiał być niezły z matematyki, bo policzył ich niemal w sekundę.

– Myślę, że naturę mam po Świętym Tomaszku Apostole, choć to nie on jest moim patronem. Ale, podobnie jak on, potrzebuję dowodów. I dlatego tu dzisiaj do was przyszedłam.

Teraz dopiero byli zaciekawieni. Odłożyli wszystkie gazety, kredki, ołówki, telefony oraz misie i w milczeniu wpatrywali się w zakonnice. Napięcie rosło. Siostra Tomaszka przysiadła na skraju biurka, obniżyła nieco głos (*Niesamowite* – przeszło jej przez myśl. – *Sztuczki Karoliny Morawieckiej naprawdę się przydają*)

i zaczęła wyjaśnienia.

– Jak zapewne większość z was wie, Kasi Pietras z waszej klasy przydarzył się straszny wypadek. Zatręła się i teraz leży nieprzytomna w szpitalu w Krakowie. Stało się to wczoraj przed dwunastą, kiedy powinna być w szkole. Czy ktoś z was zna powody, dla których nie przysła na lekcje? Czy mówiła coś...

– Na Fejsie są komentarze, że nie żyje. – Chłopak od telefonu wciąż trzymał rękę na wirtualnym pulsie. – Ale to fejk. Dzwoniłem wczoraj do jej starszej siostry, do Mariolki, i od niej wiemy, że z tą śmiercią to ploty.

– A w ogóle to Kasia była wczoraj na lekcji – przerwała mu ta z pierwszej ławki. – Tylko się zwolniła po matematyce. Mówiła, że się źle czuje...

– Te, mówiła, bo inaczej by jej nie zwolnili. Ale na pewno nic jej nie było. – Chłopak siedzący pod samą ścianą nie mógł uwierzyć w naiwność koleżanki. A podobno dziewczyny są dojrzalsze...

– Wiesz co, Filip, teraz to ty przesadzasz. Jeśli jej nic nie było, to czemu teraz jest w szpitalu? – W obronie pyzatej odezwała się sąsiadka z ławki. Musiały to być najlepsze przyjaciółki, bo zakonnica dostrzegła, jak pod ławką chwytają się za ręce w dowód cichego wsparcia.

– Może potem się stręła – prychnął. – Sama mi mówiła, że ma coś ważnego do załatwienia w Wielmoży przed jedenastą i musi się wykręcić z lekcji.

– A nie wiesz może – zaczęła ostrożnie siostra Tomasza – co to było? Spotkanie z kimś? Jakaś ważna rozmowa? – Nie powinna podpowiadać, ale przecież to nie było prawdziwe śledztwo, a Filip i reszta nie byli podejrzanymi. Alibi mieli doskonałe – wszyscy byli obecni na lekcjach, które trwały aż do trzynastej czterdzieści. Zresztą nierozłączna triada LEKCJA – PYTANIE – PODPOWIEDŹ jakoś do siebie w tych okolicznościach pasowały.

– Ostatnio dziwnie się zachowywała – zaczęła nieśmiało chuda dziewczynka z długim warkoczem. – Ale ja się z Kasią niespecjalnie przyjaźnię. – Zaczerwieniła się i umilkła.

– Ach. – Zakonnica złapała dwie sroki za ogon i nie wiedziała, którym tropem pójść najpierw. – Co to znaczy dziwnie? I kto się z nią przyjaźni?

– No... – wybąkała ruda nastolatka z rzędu pod ścianą. – Najbardziej to chyba ja. Zazwyczaj razem siedzimy w ławce i wracamy tym samym bussem. Tylko ona wysiada w Wielmoży, a ja dalej, do Milonek jeżdżę.

– Jak masz na imię?

– Julka.

– Julka, proszę, zastanów się, czy Kasia mówiła ci coś ważnego? Czy miała jakiś problem? Czy wiesz, czemu się wczoraj zwolniła z lekcji?

Rudowłosa tylko poczerwieniła na twarzy i pokręciła przecząco głową. Ta z warkoczem postanowiła pocieszyć zakonnice, która przypominała jej ukochanego kota Puszka. Co prawda kobieta była znacząco chudsza, no i była zakonnice, ale za to miała taką minę jak Puszek, kiedy już-już łapie mysz, a ona mu w ostatniej chwili ucieka.

– Cały czas mówiła coś o jakimś Stanisławie – zaczęła lekko zawstydzona. – Ale on nie był prawdziwy.

– No raczej – zaśmiał się Filip, a chłopcy mu zawtórowali.

Solidarnie ignorowany przez koleżanki męski rechot nie trwał jednak długo. Zwłaszcza że siostra Tomasza złapała trop. Z wrażenia aż wstała, a gdyby nie ściśle dopasowany kornet, może nawet zastrzygłaby uszami.

– O Stanisławie? Co to znaczy, że nie był prawdziwy? – spytała, choć dobrze znała odpowiedź.

– A bo ona zeszłej zimy nogę złamała, musiała leżeć i z nudów przeczytała jedną taką książkę. – Rudowłosa przyjaciółka

odzyskała kolory i głos. – Ta książka jej się bardzo, ale to bardzo spodobała. O miłości była. No i tam był ten Stanisław.

– A od kiedy mówiła o Stanisławie? – dopytywała zakonnica, choć i teraz wydawało jej się, że zna odpowiedź. Nie myliła się.

– Najpierw po feriach zimowych, jeszcze w pierwszej klasie. Ale ostatnio to tak jakoś od pogrzebu tej dziewczyny, co to na zamku w Pieskowej Skale zginęła.

– Od śmierci Ani Bednarz, tej ładnej kelnerki.

– To była narzeczona mojego kuzyna – z dumą zachrypiał cichy dotąd chłopiec z ewidentną nadwagą. – Ale policja zamknęła śledztwo, bo to był nieszczęśliwy wypadek. – Dodał poważnie.

– Wypadek czy nie – rezolutnie odpowiedziała Julka – ale właśnie od tamtego momentu Kasia ciągle gadała o tym Wolskim.

– Wokulskim – automatycznie poprawiła ją zakonnica.

– Rzeczywiście – zdumiała się dziewczynka. – Siostra też o nim czytała? Naprawdę fajna ta książka?

– Tak – rzuciła enigmatycznie siostra Tomasza. – Co dokładnie mówiła? Pamiętasz? Ktoś słyszał?

– To nawet ja wiem – rzucił Filip. – Choć z Kaśką za bardzo nie trzymam. Mówiła, że usłyszała na pogrzebie, jak jakiś facet szeptał nad grobem tej Bednarz to samo, co ten Wokulski.

– „Farewell, miss Iza, farewell” – wyszeptała w natchnieniu zakonnica. W zasadzie nie wiadomo było, czy do uczniów, czy do samej siebie.

I właśnie w tym momencie, kiedy kolejny element układanki wskoczył na właściwe miejsce, a tajemnica śmierci na zamku w Pieskowej Skale była coraz bliższa wyjaśnienia – zadzwonił dzwonek.

O, siło ludzkiej natury! O, przyzwyczajenia! Nie masz chyba na tym świecie mocy, która powstrzymałaby uczniów przed jedyłą, odwieczną reakcją na kryjącą się za tym dźwiękiem ideę.

Ideę przerwy. A reakcja ta jest tylko jedna – ucieczka. Tyfon nie biegł tak szybko ścigany wściekłością Zeusa! Szybkonogi Achilles nie osiągał takiej prędkością, jak teraz uczniowie z drugiej „a”. I choć naprawdę byli zaciekawieni i rozmową, i siostrą o dziwnym imieniu, wykształcony przez wieki odruch wygrał z manierami. Jak zawsze zresztą. Dwadzieścia sześć ciał poderwało się nagle i gorączkowo zaczęło przeciskać się w stronę drzwi.

– Do widzenia – rzucali w stronę wciśniętej w tablicę zakonnicy, która za wszelką cenę usiłowała uniknąć stratowania.

– Szczęść Boże, niech się siostra od kredy nie pobrudzi.

Ewakuacja na przerwę trwała zaledwie mgnienie oka. (O, jakże dumni byliby z tych wyników specjaliści od bezpieczeństwa i higieny pracy!) W sali została tylko Julka, zaczerwieniona teraz po czubek głowy.

– Bo ja się wstydziałam przy całej klasie powiedzieć, no i obiecałam Kasi, że nikomu nie powiem, ale przecież siostrę obowiązuje tajemnica spowiedzi, to jakbym nikomu nie mówiła... – Dobrze, że nieśmiałość nie pozwalała jej spojrzeć ponad podłogę, bo wyraz twarzy zakonnicy mógłby ją nieco tej pewności pozbawić. Tymczasem niezrażona kontynuowała: – Kasia powiedziała mi, że ma spotkanie z tym całym Stanisławem. W lesie, przy jakiejś chatce. Że widziała go z jakąś torebką i on jej teraz coś musi wyjaśnić. Ale nic więcej nie wiem – rzuciła na koniec i wybiegła na korytarz wypełniony po brzegi rozwrzeszczanym tłumem.

* * *

W pokoju nauczycielskim było ciszej, przytulniej i pachniało tanią kawą. Siostra Tomasza z ciekawością rozejrzała się wokół. Stosunkowo duże pomieszczenie zagracały brzydkie biurowe

szafy, które równie dobrze mogłyby stać na posterunku policji w Skale, na poczcie, w archiwum czy w urzędzie skarbowym. Tania okleina dębopodobna gdzieniegdzie była już przetarta, a półki ugiwały się od segregatorów, podręczników, ryz z papierem ksero i innych niezbędnych materiałów naukowych. Większość z nich zresztą kojarzyła z czasów własnej edukacji – choćby wielkie drewniane linijki i olbrzymi cyrkiel z morderczo zaostrzoną końcówką. Lekko tylko wgnieciony globus, swoim kształtem zadający kłam twierdzeniu, że Ziemia jest okrągła. No i wypchany bażant, z perwersyjnie prześwitującym nagością ogonem, z którego dawno już wyrwano większość piór.

Stojący w grupkach wokół brzydkiego stołu i niewygodnych krzeseł, trzymający w rękach wyszczerbione kubki i szklanki wypełnione kawą, zaaferowani rozmową nauczyciele zdawali się powoli wracać do życia.

Wikarego wśród nich nie było.

– Szczęść Boże. Siostra kogoś szuka? Pomóc w czymś?

– Jeśli do księdza Szymona, to trzeba chwilkę poczekać.

Właśnie wyszedł.

– Szczęść Boże, w zasadzie to ja do państwa. To znaczy do nauczycieli Kasi Pietras.

– Och! – Wesołe pokrzykiwania w tle zamilkły i teraz wszyscy wpatrywali się w zakonnicę. – To straszne, co się stało. Nie wie siostra może, czy to przypadek? Czy może raczej...

– To na pewno nie była próba samobójcza – uspokoiła. – Ale mam pewne podejrzenia, że Kasia wplątała się w jakąś nieprzyjemną sprawę i stąd te kłopoty – wybrnęła.

– Myślę, że mogę pomóc – odezwała się młoda dziewczyna w kraciastej spódnicy do połowy łydki. – Jestem wychowawczynią drugiej „a”. Aniela Skarbek. Polonistka – dodała, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– To tak, jak ja – ucieszyła się zakonnica. – Siostra Tomasza

jestem.

– Spodziewam się, proszę wybaczyć szczerość, że dla siostry to imię może być nieco... kłopotliwe. – Nauczycielka uśmiechnęła się szeroko. Nie dało się jej nie lubić. – Proszę, może usiądziemy tutaj. – Wskazała na odległy kąt długiego stołu konferencyjnego.

– Tak, no cóż, mogło być gorzej. Pawła, Piotra, Adama – to imiona sióstr, które razem ze mną składały śluby – uśmiechnęła się zakonnica.

– Och, to rzeczywiście ma siostra szczęście. Czego raczej nie można powiedzieć o Kasi. – Zadumała się na moment Aniela Skarbek. – Co dokładnie chciałaby siostra wiedzieć? I czy naprawdę jest z nią aż tak źle?

– W gruncie rzeczy – ostrożnie zaczęła zakonnica – Kasia miała szczęście. Znalazła ją pewna pani i od razu przystąpiła do reanimacji. Wystarczyłoby kilkanaście minut zwłoki, żeby już nikt jej nie odratował. Proszę mi powiedzieć – zmieniła nagle temat i przeszła do meritum – czy według pani Kasia Pietras byłaby zdolna do szantażu?

Zdumienie na twarzy nauczycielki było tak czytelne, jak literki w elementarzu Falskiego pod rysunkami dziewczynki i psa.

– Kasia? Do szantażu? Absolutnie nie! Co prawda jestem jej wychowawczynią dopiero drugi rok, bo do podstawówki chodziła do Wielmoży, ale w tej kwestii nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Proszę mi wybaczyć – siostra Tomasza bardzo starała się nie urazić miłej rozmówczyni – ale skąd ta pewność? Z tego, co wiem, Kasia nie pochodzi z bogatego domu. Może pieniądze by ją skusiły?

– Pieniądze może i tak. Zresztą, trudno powiedzieć, bo to przecież uczciwa dziewczyna. Problem leży w naturze Kasi. Widzi siostra... – Polonistka zawahała się na moment, najwidoczniej szukając właściwych słów. Może ich nie znalazła, a może to

właśnie były te właściwe: – Ona nie jest zbyt lotna. To miła dziewczynka, owszem, pomocna i koleżeńska, ale szalenie naiwna i, no cóż, nie bójmy się tego określenia: mało rozbudowana. Wiem, nie brzmi to dobrze, ale Kasi Pietras po prostu nie chce się uczyć. A jak człowiek nie trenuje, to efektów nie ma. Albo są – ale inne od oczekiwanych.

– Czyli jeśli, damy na to, zobaczyła coś, co powinno ją wystraszyć...

– ...to by się nie wystraszyła – zakończyła za siostrę Tomaszę Aniela Skarbek. – Bo ona na to po prostu nie wpadnie. Nie dostrzeże niebezpieczeństwa, o ile nie jest to na przykład pędzący prosto na nią samochód, płonący dom czy coś równie oczywistego. Niestety, skojarzenia nie są jej mocną stroną.

– Gdyby więc ktoś jej groził nie wprost, mogłaby się nie zorientować. – Zakonnica bardziej stwierdziła niż spytała.

– Właśnie. Prawdę mówiąc, jedyne skojarzenia, jakie udało mi się zaobserwować u niej przez te lata, były związane z *Lalką* Prusa. Niesamowite, ale Kasi udało się przeczytać tę powieść! Mało tego! Była nią całkowicie zafascynowana! Wszystko się jej kojarzyło a to z Wokulskim, a to z Łęcką, a raz nawet porównała geografa – tu wskazała dyskretnie w stronę okna, przy którym stał między innymi niski siwawy mężczyzna w okrągłych okularach w zadumie kontemplujący widok – do Rzeckiego.

– Och – uśmiechnęła się porozumiewawczo siostra Tomasz. – Czyli w gruncie rzeczy była spostrzegawcza.

– No właśnie nie. – Pani Aniela pokiwała głową. – Geograf to ten obok. Trzydziestolatek. W skórzanej kurtce i glanach. Siostra popatrzyła na pana Adama, nauczyciela biologii.

– Czyli Kasia rzeczywiście nie była zbyt lotna – zrozumiała zakonnica.

Odpowiedzi nie usłyszała, bo właśnie kolejny raz ogłuszył ją dźwięk dzwonka. Nauczyciele niczym psy Pawłowa (choć obydwo

się bez ślinotoku, rzecz jasna) odłożyli kubki i jak na komendę ruszyli w stronę drzwi. Siostra Tomasza została sama w nagle opustoszałym pokoju.

Jakże nieprzewidywalne bywają ludzkie losy! Lub, jak kto woli, jakże nieprzewidywalna jest łaska Pańska! Niezbadane są wyroki Boskie! Oto ta, która niewiele wiedziała, ani chybi rozwiązała zagadkę morderstwa w Pieskowej Skale. Czy trafnie skojarzyła śmierć Anny Bednarz z jakimś wydarzeniem? A może strzelała jak kulą w płot i, o ironio losu!, trafiła celniej niż prowadzący śledztwo?

Cóż, te pytania wciąż pozostają bez odpowiedzi. Na razie.

Siostra Tomasza dostała to, po co przyszła. Pora więc wracać na plebanię i spotkać się z panią Karoliną. Może także z podkomisarzem Cegłą?

* * *

Choć minęła już godzina dziesiąta, w domu wdowy po aptekarzu nie unosiły się żadne nuty pobudzające kubki smakowe. I tylko włączony ekspres do kawy sygnalizował, że na Podzamczu wciąż toczyło się życie.

Karolina Morawiecka wyglądała jak obraz czystej rozpacz (ze względu na gabaryty, ewidentnie podsuwające myśl o dobrobycie, obfitych śniadaniach, dwudaniowych obiadach, deserach, podwieczorkach i wieczornych niezobowiązujących przekąskach, „nędza” nie wydaje się tu słowem odpowiednim). Różowa koszula nocna, pełna haftowanych falban i kokardek, prezentowała się może i niezgorzej (wiadomo, siła poliestru), ale nie można już tego powiedzieć o jej, zawsze tak starannie ułożonych, włosach. Buraczkowo-mahoniowy hełm odszedł do przeszłości. Miejsce loczków zajęły proste kosmyki, dramatycznie sterczące na różne strony, ewidentnie preferując tę

lewą. Znak, że Karolina Morawiecka zapomniała o wałkach! Niezdrowy rumieniec i sińce pod oczami wskazywały z kolei na nieprzespaną noc.

Powód leżał tuż obok pustego kubka po kawie i talerzyka po kanapkach, których okruszki (o zgrozo!) Trufla już dawno zlizwała. Na szczęście jej właścicielka nie zwróciła na to najmniejszej nawet uwagi, co zapewne uratowało życie i pańci, i suce.

Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu ze Skały, czytała *Lalkę*.

Mając świadomość przewagi tak chudej sąsiadki, jak i samej siostry Tomaszy, zaczęła jeszcze wczoraj, zaraz po wyjściu gości. Ze smutkiem zorientowała się, gdzieś w połowie pierwszego rozdziału, że to nie będzie kryminał, niestety. Że nie będzie to urocza historyjka rozgrywająca się na angielskiej wsi, która klimatem tak znowu bardzo od Wielmoży nie odbiega. Ale choć Prus to nie Rodziewiczówna – nie poddawała się. I nagle, sama nie wiedząc kiedy, przestała istnieć dla świata.

W Ignacym Rzeckim rozpoznawała swojego Stanisława. Wydawał się tak samo zagubiony w otaczającej go rzeczywistości. Tak samo bezbronny.

No ale Stanisław – pomyślała z dumą – *miał mnie*.

Przed wszystkim jednak w historii pięknej Izabeli zobaczyła samą siebie. Och, i ona – czuła to przecież zawsze i próbowała tłumaczyć Stanisławowi – była stworzona do innych, lepszych celów! Do podziwu! Do ubóstwiania! Może i nie dorównywała pannie Łęckiej urodą, a zresztą kto wie, kto wie... A jeśli chodzi o pochodzenie... Tak, pani Karolina co prawda nie pochodziła z arystokratycznej rodziny, ale – pomyślała skromnie, a myśl ta niosła w sobie i pociechę, i dumę, i niezachwianą niczym pewność – niewątpliwie obie należały do arystokracji ducha.

Czerwonoręki Wokulski irytował ją równie mocno jak Izabelę.

Ale, musiała to przyznać przed sobą jak na świętej spowiedzi, pociągał ją i zastanawiał. Tak, na pewno był interesującym mężczyzną. Silnym i władczy – z potężnej piersi wdowy po aptekarzu wyrwało się równie potężne westchnienie.

Kolejne powstrzymała melodia *Dla Elizy*, utrzymująca co prawda romantyczny nastrój, ale brutalnie przyzywająca do rzeczywistości. Dzwonił telefon.

– Allo? – zaszcebiotała. – Siostra Tomasza? Słucham cię, słucham, kochaniutka.

Panika rycerzy zakonu krzyżackiego, kiedy dotarło do nich, że pod Grunwaldem wojska polsko-litewskie gromią je w najlepsze, nie mogła być większa! Margrabia Hodo, kiedy rycerze Mieszka wycinali w pień jego wojsko pod Cedynią, mniej się musiał obawiać niż wdowa po aptekarzu krzycząca do słuchawki:

– Nie, nie sostro! Teraz to niemożliwe! Może tak po dwunastej? Proszę wcześniej nie przyjeżdżać!

* * *

Kiedy na *Anioł Pański* biły dzwony, pani Karolina, wzmocniona kilkoma espresso i sporą dawką adrenaliny, była już gotowa. W wielkim garnku gotowała się woda, by w odpowiedniej chwili można było wrzucić do niej spaghetti. Sos do makaronu alla Norma smakowicie bulgotał i tylko fryzura kucharki wskazywała na to, że wczorajszej nocy nie wszystkie procedury zostały wykonane według codziennego scenariusza. Jak bowiem wiadomo, nie da się uzyskać tego samego efektu, co po ośmiu godzinach w wałkach, na samej tylko szcrotce. Wdowa po aptekarzu liczyła jednak na to, że odpowiednia ilość lakieru zatrze wszelkie różnice.

I chyba nawet się to udało, bo przybyli kilka minut

po dwunastej pan Adaś i zakonniczka, choć jakoś tak dziwnie się jej przyglądali, to jednak nie skomentowali jej wyglądu ani słowem.

– Sprawa jest poważna – zaczęła siostra Tomasza, która po porannym śledztwie ewidentnie nabrała wiatru w habit i pełna energii postanowiła wreszcie rozwiązać tę sprawę. – Udało mi się dzisiaj zdobyć kilka wiadomości, które rzucają nowe światło zarówno na morderstwo Anny Bednarz, jak i na próbę zabójstwa Kasi Pietras. Nie mam bowiem żadnych wątpliwości, że *primo*: miałyśmy z panią Karoliną rację od samego początku i to nie były nieszczęśliwe wypadki, *secundo*: te sprawy się łączą.

– To może chodźmy do kuchni. – Gospodyni musiała co prawda zaakceptować chwilowe prowadzenie siostry Tomaszy, ale nie miała najmniejszego zamiaru dać o sobie zapomnieć. – Taka pora, że możemy zjeść jakiś niezobowiązujący posiłek, a zatem trzeba przypilnować makaronu, żeby na pewno był *al dente*.

Pan Adaś tylko skinął głową i pokornie nałożywszy kapciuszki po świętej pamięci panu domu, ruszył do kuchni. Bolała go głowa, był głodny i zrezygnowany. Prokurator Jasienica od rana go naciskał, burmistrz też już zatelefonował, a wczorajsze przeszukanie pokoju Kasi Pietras i rozmowy z jej rodzicami nie przyniosły żadnych, ale to żadnych tropów.

– Przede wszystkim – zaczęła siostra Tomasza, kiedy tylko usadowiła się przy stole, zupełnie przypadkowo na zwyczajowym miejscu gospodyni, która z kolei obwiązawszy się fartuszkami, zajęła z góry upatrzone pozycje przy kuchence gazowej – rozmawiałam z jej koleżankami i kolegami z klasy. Wszystko wskazuje na to, że jakimś cudem Kasia rozwiązała zagadkę morderstwa na zamku. Podobno na pogrzebie Ani Bednarz usłyszała, jak jakiś mężczyzna wypowiada nad trumną słowa z jej ukochanej *Lalki*.

– „Farewell, miss Iza, farewell” – powiedziała Karolina Morawiecka, która co prawda jeszcze do tego momentu nie doczytała, ale miała świetną pamięć i potrzebę dodania kilku słów od siebie. Ot tak, dla zachowania równowagi.

– Właśnie. To ją musiało zaintrygować... – Siostra Tomasza zamyśliła się nieco. – To oczywiście tylko przypuszczenia, ale zakładam, że tego swojego „Wokulskiego” musiała jakoś śledzić... Bo – tu zupełnie nieświadomie podniosła nieco głos, aż stojąca przy kuchence pani Karolina z wrażenia znieruchomiała – wiem od jej przyjaciółki, że widziała u niego damską torebkę.

– Torebka Bednarzówny (niech spoczywa w pokoju)! – krzyknęła wdowa. – Od początku wiedziałam, że to niezwykle istotny trop! A pan – w stronę wciąż milczącego pana Adasia oskarżycielsko skierowała drewnianą łyżkę umazaną krwistoczerwonym sosem i posłała mu zabójcze spojrzenie – nie chciał mi wierzyć! Wymyślał jakieś bzdurne scenariusze o złodzieju!

– Prokurator Jasienica... – zaczął nieśmiało śledczy.

– Pan mi się tu prokuratorem nie zaślaniaj, panie Adasiu kochany! – łyżka wciąż wskazywała wprost na jego pierś, ale jednak ton głosu sugerował, że trzymająca ją w dłoni gospodyni nie ma do niego większych pretensji. Cóż, w końcu miała rację... Jak zawsze zresztą.

– Wiem także – zakonnica nie miała zamiaru rezygnować ze swej z takim trudem zdobytej pozycji – że Kasia umówiła się z tym mężczyzną. Przedwczoraj. W lesie. W Wielmoży.

Wrażenie było piorunujące. Podkomisarz Cegła aż przygryzł wąsa, po czym nerwowo zaczął przeglądać służbowy notes. Wdowa po aptekarzu zamarła w dość nieoczekiwanej, a już na pewno niezbyt wygodnej pozycji, z tułowiem skierowanym w stronę parujących garnków i głową wykręconą niemal o sto osiemdziesiąt stopni, w kierunku siostry Tomaszy.

– Jeśli założymy, że zabójca poczęstował Kasię pralinkami na miejscu spotkania – myślała na głos pani Morawiecka, patrząc uważnie na zebranych przy stole gości – a najprawdopodobniej tak było, o ile chciał mieć pewność, że jego morderczy plan się powiedzie, to musiał naprawdę dobrze znać ten las. Chatka sama w sobie jest punktem bardzo charakterystycznym dla wszystkich miejscowych, ale Kasia leżała w młodym zagajniku za nią. A tam nikt się nie zapuszcza! Nikt, kochaniutcy! I gdyby nie moja Trufelka, to najprawdopodobniej nawet mnie nie udałooby się jej znaleźć. Na pewno nie od razu. I na pewno nie, kiedy jeszcze żyła.

Zakonnica jeszcze rano doszła do tego samego wniosku. Korzystając z okazji, że gospodyni, do tej pory z racji nienaturalnej pozycji głowy przypominająca sowę, zamilkła na moment, by odgiąć kark, w którym niebezpiecznie zaczęło ją postrzykiwać, znów przejęła dowodzenie.

– Możemy zatem śmiało wyciągnąć wniosek, że morderca Anny Bednarz pochodzi z...

– ...Wielmoży! – Tym razem dokończyli wszyscy jednocześnie.

– A najdalej ze Skały – dodała po chwili wahania siostra Tomasa.

Pozostali skinęli głowami na znak cichej aprobaty. W końcu Anna Bednarz była właśnie ze Skały. Napięcie jakby zelżało. Byli coraz bliżej wyjaśnienia. Byli coraz bliżej zdemaskowania zabójcy z Pieskowej Skały.

Cisza nie trwała jednak długo. Pani Karolina, napięta niczym przegłodzona charcica trzymana na smyczy na sekundę przed pogonią za zającem, odezwała się pierwsza. Grzechem byłoby zrezygnować z takiej okazji.

– Gdyby zabójcą tej całej Bednarzówny (niech jej ziemia...) był chłopak z Krakowa, to nie przyjechałby na pogrzeb. A jeśli nawet, to nie umówiłby się z Kasią Pietras w lesie w Wielmoży!

A już na pewno nie w zagajniku za chatką! Od początku mówiłam, że to ktoś miejscowy...

Siostra Tomasza spojrzała na wdowę uważnie, ale miłośernie nie skomentowała jej słów. Karolina Morawiecka natomiast starannie unikała jej wzroku. Najprawdopodobniej dlatego, że nadszedł już najwyższy czas na odcedzenie makaronu i nałożenie porcji na talerze. W takiej chwili nie należy się rozpraszać, pod żadnym pozorem.

Kiedy obie kobiety były zajęte, jedna rozdzielaniem spaghetti alla Norma, a druga obserwacją tej pierwszej, podkomisarz Cegła wykorzystał moment. Zaatakował.

– W zasadzie musimy zrobić tylko jedno. Wyłonić spośród podejrzanych mężczyzn z okolicy tych, którzy mieli sposobność do popełnienia obu zbrodni, dostęp do zamku w Pieskowej Skale i nie pracowali przedwczoraj około jedenastej.

– I jeszcze jedna niezwykle ważna rzecz. – Teraz Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu, zawiesiła głos i delektowała się przez ułamek sekundy nadchodzącym tryumfem. – Morderca musiał mieć dostęp do digoksyny. Ponieważ została ona wstrzyknięta, oczywiście jest, że morderca użył leku w zawieszynie. Najprawdopodobniej był to digoxin, choć należy pamiętać – zastrzegła na wszelki wypadek – iż od pięciu lat jestem wdową i nie śledzę już tak wnikliwie rynku leków. Teraz może nazywać się inaczej... Tak czy siak, proszę pamiętać – mówiąc to, pani Karolina czuła się niczym królowa, ba!, cesarzowa śledztwa – że dostęp do tego leku jest mocno ograniczony. To lek tylko na receptę.

Podkomisarz przekartkował notatnik.

– Lista rzeczywiście nie jest długa. Zostają nam strażnicy, Bartosz Skalski i Marian Furgalski, ojciec Anny Bednarz i... tyle.

– I Mateusz Bień – jednocześnie zaprotestowały z mocą obie kobiety, chuda i wysoka, obfita i niska.

Siostra Tomasza najwyraźniej była dzisiaj w szczytowej formie i nie zamierzała ustąpić nawet za cenę genialnego, jak się zdawało, posiłku.

– Jeśli potraktujemy ostatnie zdanie Kasi Pietras jako istotną wskazówkę, to możemy skreślić pana Bednarza. Bo przecież słowa „Farewell, miss Iza, farewell” wypowiada zdruzgotany kochanek, a nie ojciec do córki. Nie mówiąc o tym, że bardzo wątpię, by ten pan zaczytywał się w Prusie, a przecież wszystko wskazuje na to, że Kasia usłyszała, jak mężczyzna CYTUJE fragment *Lalki*.

– Och – ożywił się nieco podkomisarz. – Ma siostra rację. Ja na ten przykład nie tylko nie mógłbym zacytować ani jednego słowa, ale prawdę powiedziawszy, w ogóle nie pamiętam treści tej książki. Innych zresztą też nie – dodał trochę ciszej.

– Cóż, panie Adasiu, wstyd – rzuciła surowo wdowa po aptekarzu, która może i nie przeczytała jeszcze całej *Lalki*, ale przecież, i owszem, CZYTAŁA. – Ale to chyba rzeczywiście pozwoli nam zawęzić krąg podejrzanych. Znam pana Furgalskiego, niezbyt może dobrze, ale wystarczająco, żeby wiedzieć, że on nic Prusa nie przeczytał – rzuciła z naganą. A widząc isierki w oczach zakonnicy, zaczętnie dorzuciła na koniec: – I jestem pewna, że nie wiedziałby, kim jest mężczyzna o czerwonych dłoniach.

Wrażenie, jakie wywarła na zebranych, było piorunujące. Siostra Tomasza zawstydzona spuściła głowę i w duszy zaapelowała do wszystkich świętych o pomoc w praktykowaniu cnoty pokory.

– Cóż – rzekła. – Myślę, że trafiła pani w sedno, pani Karolino. Chociaż obaj, Bednarz i Furgalski, nie mają stuprocentowego alibi, nie mają też motywu, a wszystkie wskazówki zdają się ich wykluczać. Wszystko więc wskazuje na to, że naszym mordercą z Pieskowej Skały jest jeden z tych dwóch: albo Bartosz Skalski, albo Mateusz Bień.

Dokładnie w chwili, kiedy talerze z parującym spaghetti pojawiły się przed gośćmi, a gospodyni podawała właśnie talerzyk z ricottą (która wszak o wiele lepiej niż najwyśmienitszy nawet parmezan pasuje do sosu alla Norma), skojarzenia nabrały tempa, fakty ułożyły się w całość, a odległe i dotąd niesprecyzowane podejrzenia przeistoczyły się w pewność.

– Jezusie Nazareński! Wiem, kto zabił – krzyknęła pani Karolina.

– Wszyscy święci, trzymajcie mnie! – jednocześnie zaapelowała siostra Tomaszka. – Wiem, kto jest mordercą!

I tylko Trufla i podkomisarz milczeli, wpatrując się w niemym zachwycie w lśniące i chrupkie kawałki usmażonych bakłażanów, tak apetycznie połyskujące w sosie pomidorowym.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W KTÓRYM WDOVA PO APTEKARZU, SIOSTRA
TOMASZA I PODKOMISARZ CEGŁA ZASTAWIAJĄ
PUŁAPKĘ NA MORDERCĘ Z PIESKOWEJ
SKAŁY, TEN W NIĄ WPADA, A TRADYCYJNA
PRZEMOWA OKAZUJE SIĘ NIEZBĘDNA

Ułożony naprędce plan wydawał się w miarę prosty, choć dosyć mozolny i czasochłonny.

– Ja bym od razu zrezygnowała ze Skały – autorytatywnie zarządziła pani Karolina, nakładając komisarzowi kolejną porcję spaghetti. – Morderca nie jest głupi, nie ryzykowałby.

– To co pani proponuje, pani Karolinko droga? – Sos alla Norma tak przypadł podkomisarzowi do gustu, tak delikatnie pieścił jego kubki smakowe, że w tamtej chwili zgodziłby się niemal na wszystko.

O, niech schowają się pytie ze swoimi niejasnymi prorocत्वami! Z wizjami, które można tłumaczyć na wiele sposobów. Karolina Morawiecka (jak zawsze zresztą) WIEDZIAŁA, a przekaz był jasny i prosty, jak tor strzały wypuszczonej przez Robin Hooda.

– Kraków – orzekła wielmożańska wyrocznia. Tak po prostu.

– I może jeszcze Wolbrom? Tak na wszelki wypadek? –

dorzuciła siostra Tomasza. – W końcu strzeżonego Pan Bóg strzeże...

Był to argument koronny. Był to argument nie do przebicia, a jednak pani Karolinie udało się i to uczynić. Była jak Jane Marple, była jak Herkules Poirot (w żeńskim wydaniu oczywiście). Uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Można, i owszem, ale to potem. Według mnie trzeba zacząć od Krakowa i to od jego północnej strony. Morderca głupi nie jest, no ale to mężczyzna. Więc, bez urazy, panie Adasiu kochany – tu posłała policjantowi uśmiech, od którego kawałek bakłażana, choć delikatny i aksamitny w konsystencji, utkwiał w przełyku śledczego i na moment spowodował duszności i mocny rumieniec – ale można śmiało założyć, że z lenistwa dalej mu się jechać nie chciało. Proszę mi wierzyć, czterdzieści lat małżeńskiego stażu nauczyło mnie o mężczyznach niejednego – dodała na koniec, a jej głos wibrował na skali gdzieś między dumą a rozpaczą, między pokorą a pychą.

Wirtuozeria została doceniona. Zarówno siostra Tomasza, jak i pan Adam skinęli tylko głowami i z kawałkami bagietki pochylili się nad pustawymi już talerzami, na których wciąż jednak lśniły kropelki sosu i bieleły się wspomnienia po chmurkach ricotty.

A wdowa po aptekarzu, czując się w swej kuchni jak, nie przymierzając, boska panna Łęcka na sali balowej, z nie mniejszą gracją kontynuowała:

– Panie Adasiu kochany, tak sobie myślę, że najlepszy byłby do tego pan Rafałek Batory. Bo to jednak taki chudziaczek miły, całkiem nawet przystojny – tu zarumieniła się nieco, bo choć mogłaby być jego babcią, takie rzeczy uczciwa kobieta mówić może tylko z rumieńcem na twarzy – i panie się przed nim szybciej otworzą. Trzeba przyznać, że pan Rafałek – czerwień wciąż utrzymywała się na obfitych policzkach – potrafi wzbudzić

zaufanie.

– Ale samemu może mu to zająć za dużo czasu – spróbował zaprotestować podkomisarz. Protest ten jednak wypadł bardzo słabo, gdyż cała energia śledczego skierowana była teraz na procesy trawienne.

– Jeśli do wieczora niczego nie znajdzie, wtedy, bardzo proszę, niech ruszają mu inni do pomocy. I nawet można rozszerzyć zakres o Wolbrom i cały Kraków. Ba! Nawet i Olkusz można sprawdzić! Ale ja tam swoje wiem! Morderca to snob!

Pan Adaś tylko patrzył. Starał się zamrużyć na znak, że logiki tego ostatniego wniosku pani Karoliny nie dostrzega, ale i to okazało się za trudne. Na szczęście obok była siostra Tomasza, która nie zjadła dzisiaj dokładki, więc łatwiej jej było artykułować całe zdania.

– Pani Karolino, ale co pani ma na myśli? Dlaczego snob? – spytała automatycznie. Na szczęście anioł stróż pilnie jej strzegł, bo na to pytanie zdążyła sama sobie odpowiedzieć, nim wdowa po aptekarzu otworzyła usta. – Bo naszprycował wykwentne pralinki, a nie jakieś zwykłe czekoladki?

– Oczywiście! – zagrzmiała Morawiecka z mocą tym większą, że podkreconą nieco irytacją. Ta zakonnica jest, i owszem, pomocna, ale jednak powinna znać swoje miejsce. Królowa, co przecież zostało ustalone już dawno, jest tylko jedna. W serialu Watson nie nadał za Holmesem! Kapitan Hastings nigdy nie rozumiał Poirota! – Przecież Kasia zjadłaby cokolwiek! Według mnie wybór słodczy wiele nam może powiedzieć o tym mordercy. Na przykład, że ma pieniądze. – Z każdym słowem bardziej sapała i choć tłusta oliwa pojawiła się tylko na talerzach i zniknęła wraz z sosem, siostrze Tomaszowi trudno było pozbyć się skojarzeń z Tuwimowską lokomotywą. – Że nie jest skąpy.

– Albo... – przerwała zakonnica z niewinnym uśmiechem – ...że po prostu miał w domu pralinki, bo je od kogoś dostał.

Ciszę, która naraz zaległa, przerywał tylko świst dobiegający z falującego wzburzeniem biustu wdowy po aptekarzu. Niby zakonnica, a proszę, jaka złośliwa! I tak kasać rękę, która ją karmi! Jednak chudym nie należy ufać za bardzo.

– Pani Karolinko kochana. – Siostra Tomasza miała świadomość, że może lekko przeholowała, postanowiła więc jak najszybciej załagodzić sytuację. – Myślę, że na tym etapie śledztwa nie możemy wykluczyć żadnych możliwości. Jesteśmy zbyt blisko, a morderca jest zbyt niebezpieczny, zbyt bezwzględny, żebyśmy mogli sobie teraz pozwolić na jakikolwiek błąd. W końcu musimy pamiętać o Kasi Pietras. Jak długo wszyscy są przekonani, że jest z nią bardzo źle, tak długo będzie bezpieczna. Ale jeśli tylko morderca dowie się, że dziewczynka wraca do zdrowia...

– Jak to wraca do zdrowia? – zainteresowała się pani Karolina. Przecież wczoraj wieczorem dzwonili do pana Adasia, i to przy mnie, i przy siostrze przecież, że nie jest lepiej...

– Och, pani Karolinko. – Zakonnica apelowała w myślach do Świętego Judy Tadeusza, bo chyba tylko on mógłby teraz pomóc powstrzymać ewidentnie narastający w Karolinie Morawieckiej gniew. – Dzisiaj rano, kiedy wracałam ze szkoły, podeszłam na chwilę na posterunek. Chciałam poprosić pana podkomisarza o spotkanie u pani, żebyśmy mogli razem prześledzić nowe fakty. I wtedy właśnie dzwonili ze szpitala. Kasia odzyskała przytomność...

– Ale wciąż jeszcze jej stan nie jest na tyle stabilny, żeby można ją było przesłuchać – rzucił się na ratunek zakonnicy pan Adaś, który powoli odzyskiwał wigor. – Dopiero w szpitalu okazało się, że dziewczynka choruje na cukrzycę, i dlatego doszło do jakichś powikłań.

– Sama więc pani widzi, pani Karolinko – dalej łagodziła zakonnica – że pani plan jest najlepszym sposobem na złapanie

mordercy. Tylko musimy jak najszerzej zarzucić sieci, żeby się nam nie wymknął.

– Nie wymknie się! – Gospodyni aż uderzyła pięścią w stół. Ale już bez większych emocji. (Najwidoczniej interwencja patrona od spraw beznadziejnych i tym razem przyniosła skutek). – To ja może kawę zrobię? Bo to jednak warto w ten sposób dokończyć posiłek. A deseru, niestety, zrobić nie zdążyłam – dorzuciła nieco nerwowo.

Propozycję przyjęto z entuzjazmem. A kiedy pani Karolina włączyła ekspres i przygotowywała porcelanę, w siostrze Tomaszury uruchomił się ciąg skojarzeń.

– Tak sobie myślę, że dobrze byłoby wysłać pana Rafałka do Krakowa z jakąś pomocą.

– Przecież mówiłem – rzucił szybko Cegła, który od początku chciał zaangażować do pracy ludzi z zespołu – żeby w kilka osób i po całym Krakowie szukać.

– Ale ja nie o tym... – zaplątała się zakonnica.

Pani Karolina przyjrzała się jej uważnie, a potem z radości aż klasnęła w rękę.

– Świetny pomysł, siostrzyczko – pochwaliła. – Panu Rafałkowi przyda się cywil, który będzie sprawdzał mapę i wykreślał z listy kolejne punkty. Spokojnie, panie Adasiu kochany, wszystkie działania, jak to nazywacie? operacyjne?, prowadzić będzie pan Rafałek. Pomoc nawet z samochodu wysiadać nie musi...

A potem tak jakoś zachichotała, zaszcebiotała i w ogóle pokraśniała z zachwytu, że przeraziło to policjanta do szpiku kości. Nic z tego nie rozumiał, ale na wszelki wypadek postanowił się nie odzywać. Nie interweniować. Nie zwracać na siebie najmniejszej uwagi. Zaróżowiona z emocji, szczebiocząca wdowa po aptekarzu to było dla niego zbyt wiele.

– Zaraz do niej zadzwonię i może nawet – puściła oko do zakonnicy, a ta, ku najwyższemu zdumieniu podkomisarza

Cegły, odpowiedziała tym samym – przygotuję im jakieś kanapki na drogę? Niech go poczęstuje, bo wiadomo – świergotała pani Karolina – że do serca najkrótsza droga prowadzi przez żołądek! Panie Adasiu kochany, nic panu nie jest? Jakoś tak pan dziwnie zbladł... – przeraziła się nagle. – Może szklankę wody? Bo jeśli to ciśnienie, to espresso raczej odradzałabym. Oczywiście wcale nie sugeruję, że pan jest w złej formie, ale... Panie Adasiu!

Tylko siostra Tomasza nie przejęła się wcale atakiem podkomisarza Cegły. Prawdę mówiąc, choć tym samym okazywała brak miłosierdzia bliźniemu, bawiła się świetnie^[16].

* * *

– Pani Alinko kochana – mówiła pani Karolina niespełna godzinę później na środku swojej kuchni, wkładając w ręce dziewczyny wypchaną po brzegi reklamówkę. – Ma tu pani specjalne kanapeczki. Z pastrami, kiszoną kapustą i sosem musztardowo-chrzanowym. Myślę, że dwie powinny wystarczyć, no ale na wszelki wypadek zrobiłam ich osiem. A jeśli ma pani w domu termos, to proszę przygotować mocnej herbaty i bardzo porządnie posłodzić. Pani tego pić nie musi, a on lubi na słodko... To może wam zająć kilka godzin, choć zakładam, kochanieńka, że uwiniecie się z tym góra w dwie. No ale wiadomo, że to tylko przypuszczenia, a strzeżonego Pan Bóg strzeże. Tylko proszę pamiętać o telefonie do mnie! To będzie wystarczająca przysługa.

* * *

Choć przez całą noc nie spała i teraz, po czternastej, odczuwała już lekki dyskomfort, pani Karolina wiedziała, że nie zmruży oka. Oby pan Rafałek jej nie zawiódł! Oby nie myliło jej przecucie!

Czas oczekiwania na niepodważalne dowody, które pozwolą

postawić mordercę z Pieskowej Skały przed sądem, postanowiła spędzić z *Lalką* Prusa. Wciąż jeszcze nie doszła do sceny, w której padają tak ważne dla śledztwa słowa, a chciała mieć pełny ogląd sytuacji. Niby sąsiadka tę scenę streściła, ale gdyby coś pominęła? Nie, w tak ważnej sprawie wdowa po aptekarzu nie zamierzała ryzykować. A poza tym spodobała jej się ta historia. Tak po prostu.

Wreszcie panna Izabela udała się w podróż pociągiem wraz z ukochanym papą, drogim kuzynkiem i narzeczonym. Jakże srogo ją rozczarowała! Jakże niewdzięczna była ta cała Łęcka! Pani Karolina zrozumiała, co musiało się stać tamtego feralnego wieczoru na zamku w Pieskowej Skale. A nawet, choć wstydziła się tego sama przed sobą, zrozumiała, co zapewne poczuł morderca. Anna Bednarz pokazała swoją prawdziwą twarz. Przestała udawać anioła, może nawet przyznała się do zdrady...? Ale przeliczyła się. Tylko fikcyjny Wokulski mógł bronić w takiej sytuacji honoru ukochanej. Albo jakiś baśniowy królewicz, również fikcyjny zresztą. Kiedy – jak wyobrażała to sobie pani Karolina, popijając kolejne tego dnia cappuccino – ta cała Bednarzówna wyznawała ukochanemu to i owo, ten nie wytrzymał i z wściekłości po prostu ją popchnął. Może przedtem uderzył w twarz? Złapał za szyję? A po wszystkim nie wezwał pomocy. Nie próbował się przyznać. Po prostu liczył na to, że będzie miał szczęście i nikt go nie złapie. I prawie mu się to udało, gdyby nie...

Powieść zsunęła się jej na kolana, a pani Karolina przymknęła na chwilę oczy. No właśnie, w którym momencie zaczyna się ta historia? Czy zeszłej zimy, kiedy Kasia Pietras przeczytała przypadkowo *Lalkę*? Czy raczej w chwili, w której nastolatka złamała sobie nogę? Czy jeszcze wcześniej? A może, gdyby dziewczyna posłuchała napomnień mamy i babci, gdyby nie próbowała ślizgać się po oblodzonych drogach, morderca nigdy

nie zostałyby złapany? Nawet gdyby wypowiedział na pogrzebie Bednarz słowa Wokulskiego, Kasia Pietras za nic by ich nie skojarzyła? Jedno było pewne – pani Karolina mimo wszystko nie usnęła i teraz dumnie wyprostowała się w fotelu. Gdyby nie ona, gdyby nie wdowa po aptekarzu z Wielmoży, cała ta historia potoczyłaby się inaczej.

No cóż, tak to bywa w życiu.

* * *

Tuż przed osiemnastą z drzemki wyrwała panią Karolinę mechaniczna melodia *Dla Elizy*.

– Allooo? – rzuciła z wdziękiem i arystokratyczną manierą godną prezesowej Zasławskiej (ach, te lektury jednak kształcą!). – Och, dobry wieczór, pani Alinko złociutka. Naprawdę, udało się?! Właśnie dzwoni do podkomisarza? I kanapeczki mu smakowały? To trzymam kciuki i dziękuję, że dotzymała pani słowa z tym telefonem. A teraz proszę pamiętać, tajemnica śledztwa, nic nikomu pani nie może powiedzieć aż do aresztowania. Pan Rafałek już to tłumaczył? No to świetnie. Tylko proszę pamiętać, nikomu ani słowa, a dam ci, skarbeńku, przepis na te kanapki. To do widzenia, papa.

Wiedziona przecuciem pani Karolina odłożyła słuchawkę, ale nie odeszła od aparatu ustawionego na gustownym komplecie przedpokojowym w stylu Ludwika, obejmującym wieszak na ubrania, lustro, stoliczek i siedzisko z aksamitną poduszczką. Ledwie zdążyła poprawić fryzurę i obciągnąć kremowy sweterek, kiedy telefon rozdzwonił się po raz drugi.

– To pan, panie Adasiu! Wiem, wiem! Miałam rację, prawda? Pan się musi przyzwyczaić, panie Adasiu kochany, że ja to się nie mylę. Nigdy. Jak to, skąd wiem?! Ja wszystko wiem, panie Adasiu. Wszystko! Ale – tu dodała łaskawie – może mi pan

powiedzieć, jakie ma pan teraz plany. Kiedy chce pan dokonać aresztowania? Zaraz? Nie, nie, skąd, tak tylko pytam. Do widzenia i dziękuję, że pan zadzwonił. O siostrę Tomaszę proszę się nie martwić. Dam jej znać. Do widzenia.

Pani Karolina szybko założyła buty i ubrała się w ciepłą kurtkę. Sprawdziła kieszeń – była przygotowana. Już ubrana zadzwoniła na plebanię. Na szczęście siostra Tomasza odebrała od razu. Widać czuwała przy telefonie podobnie jak wdowa.

– Szczęść Boże, sostro! Mają dowody! Podkomisarz Cegła zaraz będzie dokonywał aresztowania! Ale ze szczegółami zadzwonię potem, bo teraz pilnie muszę się z Trufelką wybrać na spacer.

Po czym odłożyła słuchawkę, założyła ciepły wełniany berecik i wzięła smycz do ręki.

– Rusz się, Trufla. Musimy zdążyć przed policją! Jak pójdziesz ze mną szybciotko, to ci potem pańcia da małego kabanoska – rzuciła na zachętę.

I może przekonała ją wizja przekąski, a może sprawiły to niezwykle emocje w głosie pani Karoliny, w każdym razie suka spokojnie dała się zapiąć i potruchtała dzielnie za swoją panią w stronę Herianówki.

* * *

Zdążyły jeszcze przed radiowozem. Karolina Morawiecka stanęła na wprost wejścia do domu, żeby niczego nie przegapić (wiadomo, w takiej sytuacji każdy szczegół jest na wagę złota), ale jednak po drugiej stronie ulicy. W ten sposób nikt nie mógł zarzucić jej wścibstwa. Po prostu stała przy brzózkach, jak to z psem na spacerze, kiedy pojawił się radiowóz. Jechał cicho, nawet bez tego migającego światła, pewnie żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. I ewidentnie się to udało, bo choć w paru oknach firanki zafalowały, nikt nie wyszedł przed dom.

Podkomisarz Cegła spojrział na nią, ale nic nie powiedział. W słabym świetle ulicznej latarni wdowie wydało się tylko, że policjant jakoś tak dziwnie poruszył szczęką. No ale może po prostu z tych emocji rozboleły go zęby? Razem z panem Rafałkiem zapukali do drzwi i nie czekając, weszli do środka. Sięgnęła do kieszeni. Wszystko musiało rozegrać się jeszcze w sieni, bo – mimo największych wysiłków i małej lornetki w dłoni – pani Karolina nie zobaczyła nawet cieni.

Wychodzili w chwili, kiedy Trufla przysiadła na chodniku znużona czekaniem. Pan Bartosz wyglądał na zrezygnowanego. Nie próbował zasłaniać twarzy, nie ukrywał skutych rąk. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Przemowa, którą pani Karolina miała od dawna przygotowaną, nagle wyleciała jej z pamięci.

Szkoda chłopaka – pomyślała tylko. *Szkoda tej całej Bednarzówny. Szkoda życia i szkoda miłości.* Na szczęście Kasia Pietras będzie żyć. I – myśl ta pojawiła się z szybkością błyskawicy, tłumiąc dotychczasowe refleksje i smutki, wypychając i tak sterczący biust do przodu i lekko unosząc oba podbródki – to właśnie dzięki niej.

* * *

Radiowóz odjechał tak, jak się pojawił – po cichu, bez dźwięku koguta i błyskających świateł. Wieść, która zelektryzuje całą Wielmożę, całą Skałę – ba! – całą okolicę, z Ojcowem, Sułoszową i Jerzmanowicami włącznie, jeszcze się nie rozeszła. Niczego nieświadomi sąsiedzi siedzieli przed telewizorami, spożywali kolację i narzekali na trudy dnia.

Karolina Morawiecka patrzyła na ciemne okna domu Bartosza Skalskiego. Wiedziała, że wystarczy moment, wystarczy zapukać do sąsiednich drzwi, a wkrótce w okolicznych budynkach zapalą się światła. Na Herianówce zrobi się tłumnie jak na krakowskich

Błoniach w czasie papieskiej wizyty. Po niespełna kwadransie nadciągną sąsiedzi z Podzamcza i z okolicznych kolonii. A wszyscy będą podchodzić do pani Karoliny, która niestrudzenie ciągnęłaby swoją opowieść, podczas gdy Trufla w najlepsze będzie spała u jej stóp...

Ale nawet ta myśl nie przegoniła smutku. Zło już się stało. Euforia towarzysząca śledztwu, nadzieja na chwałę – to wszystko nagle gdzieś się ulotniło, przestało mieć znaczenie. Karolina Morawiecka podjęła decyzję. Cmoknęła na przysypiającą Truflę i powoli ruszyły w stronę Podzamcza. Jeszcze tylko zadzwoni do siostry Tomaszy i pójdzie spać. Może przed snem odrobinę poczyta, bo – co stwierdziła z bezbrzeżnym zdumieniem – choć zagadka morderstwa w Pieskowej Skale została rozwikłana, dalsze losy bohaterów *Lalki* autentycznie ją zainteresowały. Może Wokulski będzie z tą całą Wąsowską? A może ze Stawską? Tak, zdecydowanie potrzebne jest jej szczęśliwe zakończenie.

* * *

Przesłuchanie Bartosza Skalskiego nie trwało długo. Przyznał się od razu, szybko spisał zeznania (w końcu studiował filologię polską, więc sprawnie mu poszło) i tym samym pozwolił podkomisarzowi Adamowi Cegle rozwiązać sprawę zabójstwa Anny Bednarz i usiłowania zabójstwa nieletniej Katarzyny Pietras jeszcze przed północą.

Oczywiście śledczy zadzwonił do siostry, a ta, nie zważając na późną porę, zatelefonowała do Ady Rażny, budząc przyjaciółkę i niespożytego w niej ducha. I tak, nim o siódmej trzydzieści otwarto urząd pocztowy przy ulicy Kościelnej w Skale, informacja o aresztowaniu Bartosza Skalskiego obiegła już większość domów, sklepów i innych instytucji pożytku publicznego, a na porannej mszy wikary modlił się za duszę

zmarłej i za zbłąkaną duszę sprawcy.

A kiedy lotem błyskawicy wieść obiegła całą Skałę, dotarła i do Wielmoży. Szturm na Herianówkę rozpoczął się jeszcze przed ósmą. Ci, którzy nie pracowali na etacie, podchodzili pod dom Skalskiego, żeby na własne oczy przekonać się, że właściciela nie ma w domu. Zaaferowany pan Stachlak, w końcu jeden z sąsiadów i niemal współpracownik aresztowanego, tkwił na środku ulicy niczym słup soli i, plując raz po raz, ciągnął swój monolog.

– Mówięjawi, grzych, grzych się tu rozpanoszył! Toż to był mój sąsiad, kolega mój z pracy, a tak zabił bez serca! Ja tam od zawsze wiedziałem, że on nie jest prawdziwym Polakiem, mówięjawi. Z takim nosem! A i do kościoła nie chodził.. Ale ten cały grzych, to całe morderstwo to dlatego, że on za tą piekielną Łunią był!

Ludzie pojawiali się, postali, posłuchali i wracali do domów, gdzie w cieple mogli od początku przetrwać tę wiadomość. Jakoś ją wyjaśnić. Ubogacić.

I tylko w domu wdowy po aptekarzu nic się nie działo. To znaczy, owszem, telefon dzwonił raz po raz, ale już z samego rana pani Karolina, tuż po długiej rozmowie z siostrą Tomaszą, wyciszyła melodyjkę i *Dla Elizy* ani razu nie rozdarło panującej wokół ciszy.

Gospodyni leżała w salonie przy szczelnie zasłoniętych zasłonach z okładem na oczach. Niemiłosiernie bolała ją głowa. A kto wie, czy nie bardziej jeszcze bolała ją serce.

Wczorajszego wieczoru było jej żal pana Bartoszką. Dzisiaj użalała się nad sobą. Tak okrutny los może być tylko dla wdów i sierot! A już o bezdzietną wdowę któż się upomni? Któż zawalczy?

Mogła być w centrum zainteresowania. Mogła sypać informacjami jak z rękawa, a były to przecież –

w przeciwieństwie do przekazywanych właśnie – informacje z pierwszej ręki. Absolutne fakty. Szczera prawda.

Ale zasłużyła na więcej. W końcu to ona rozwiązała tę zagadkę! Oczywiście, siostra Tomasza starała się jej pomóc. Owszem, czasami udało się jej podsunąć jakąś wskazówkę... Ale to ona, Karolina Morawiecka, połączyła fakty! To ona zrozumiała, że były student polonistyki musiał znać powieść Prusa, a dodatkowo miał dostęp do digoksyny i wiedzę o leku, który kiedyś zażywała jego matka. To wreszcie ona wpadła na pomysł, żeby wysłać młodszego aspiranta Rafałka Batorego do krakowskich aptek ze zdjęciem pana Bartosza. Wiedziała, jako wdowa po aptekarzu, że czasami lek na receptę wydaje się na dobre oczy i obietnicę, że się druczek niebawem doniesie...

Niby nic nie stało na przeszkodzie, żeby podzielić się tą wiedzą z innymi. Niby nic, a jednak pani Karolina wiedziała, czego chce. Żadnych półśrodków. Ustępstwa jej nie interesowały.

* * *

– Szczęść Boże, panie podkomisarzu. – Zdenerwowana siostra Tomasza weszła do gabinetu Adama Cegły. – Musimy porozmawiać. Ja wiem, że to jest dalekie od jakichkolwiek procedur... Ale może by tak... nieoficjalnie? Mógłby pan przybyć po cywilnemu? Z siostrą i szwagrem na przykład? Ksiądz Walery wyraził już zgodę. Będę ja i wikary, może jeszcze kilka sąsiadek? Pan Jacuś z żoną. Drugi strażnik, ten pan Marian Furgalski. I pewnie kelnerki z Herbovej? Panie Adamie, myślę że jesteśmy jej to winni...

* * *

Salka parafialna przy kościele w Skale pękała w szwach.

Na krzesłach w pierwszym rzędzie, obok zaaferowanej Ady Rażny, siedzieli pan Jacuś z żoną, siostra Tomasza z księdzem Szymonem i panią Małgorzatą z plebanii, Maria Kowalikowa z mężem Józefem i bratem Adamem w cywilu oraz państwo Batory. Za nimi usadowiły się trzy kelnerki – Patrycja Rosiak z siostrą, Zuzanna Soha z mężem (dzieci zostały z teściami) i przeszczęśliwa Alina Stachowiak. Obok uśmiechniętej dziewczyny, z miną kota, który zeżarł całe pęto kiełbasy, prężył się rozpromieniony młodszy aspirant Rafał Batory. Przyszły trzy panie Pietras. I pani Halinka z wielmożańskiej biblioteki. Kilkoro nauczycieli z Zespołu Szkół w Skale. Dwie fryzjerki. Mateusz Bień. I wiele, wiele innych osób, których twarze znane były pani Karolinie tylko z widzenia. Albo i nie.

Podeksycytowana wdowa po aptekarzu raz po raz poprawiała lśniąca garsonkę i nerwowo wygładzała haftowany kołnierzyk od białej bluzki. Odczuwała treść, z wrażenia miała sucho w ustach. W końcu jednak wzięła głęboki wdech, przeżegnała się i z gracją cesarzowej weszła do środka.

Sala zamarła. Przez chwilę panowała gęsta, wymowna cisza. Przerwała ją nagle burza oklasków (zapoczątkowana przez miłosierną zakonnice i wierną Marysię Kowalikową), którą to zebrana widownia powitała wyraźnie spiętą panią Karolinę.

Siostra Tomasza natychmiast poderwała się z krzesła, podeszła do wdowy, a następnie zwróciła się do zgromadzonych na krzesłach ludzi:

– Szczęść Boże wszystkim. Jak państwo wiedzą, spotykamy się tutaj, w naszej skromnej salce parafialnej, z niecodziennego powodu. Dzięki uprzejmości księdza proboszcza Walerego możemy wspólnie, bo przecież od lat tworzymy tu w Skale jedną wspólnotę, wysłuchać o śledztwie, które nasza policja – tu posłała uśmiech w stronę wyraźnie spiętego podkomisarza Cegły – prowadziła w sprawie śmierci Anny Bednarz. I którym przecież

my wszyscy, jak tu jesteśmy, żyliśmy przez ostatnie kilka tygodni. Dzisiaj jednak o wszystkim opowie nam nie pan podkomisarz, ale nasza była parafianka i była sąsiadka, pani Karolina Morawiecka, która – tu musiała jednak zrobić pauzę, bo ćwiczenie w pokorze wcale nie jest takie proste, nawet dla osób konsekrowanych – prowadziła w tej sprawie własne, niezależne dochodzenie.

Zebrani wpatrywali się jak zaczarowani na zmianę to w szczupłą siostrę Tomaszę, to w zażywną panią Karolinę. Przemawiająca zakonnica wzięła głęboki oddech, zmówiła w duszy króciutki akt strzelisty i zakończyła:

– I odniosła wielki sukces! Siostry i bracia, przed wami pani Karolina Morawiecka.

Przedstawiona w ten sposób, Karolina Morawiecka zarumieniła się jeszcze bardziej, do tego stopnia, że buraczkowo-mahoniowy hełm wydał się teraz jasnorożowy. Nie skorzystała z przygotowanego dla niej krzesła. Stała na środku i przyjęła pozę, tak dobrze rozpoznawalną przez przyjaciół. Stópki obute w lakierowane trzewiczki razem, kolanka złączone (co, zważywszy na obfitość nóg, nie było trudne nawet w rozkroku), dłonie złożone na obfitym biuście, spoczywającym jak zwykle na stabilnej podporze brzucha. Wzrok skromnie spuszczonej (to jest utkwiony w palce rąk) i tylko od czasu do czasu, żeby nasycić się widokiem, pani Karolina spoglądała na zebranych. Lekko chrząknęła. Dygnęła. I rozpoczęła.

– Bardzo dziękuję państwu za przybycie. – Uprzejmemu uśmiechowi towarzyszyło lekkie skinienie głową. – Dobry wieczór i szczęście Boże. – To ostatnie pozdrowienie dodała nie tylko ze względu na obecność siostry Tomaszę, ale i na wyjątkowość miejsca. W końcu salka parafialna zobowiązuje. – Jak państwo już wiedzą, zebraliśmy się tutaj, aby nakreślić wydarzenia ostatnich kilku miesięcy. Oczywiście będą mogli

państwo śledzić informacje w prasie, ale dobrze wiemy, że warto jest zawsze czerpać z samego źródła. – Tu pani Karolina nie wytrzymała i spojrzała na Adę Rażny. Na szczęście w porę się opanowała i tryumfalny uśmiech zdążyła zamienić w przyjacielski. – A tak się jakoś z woli Bożej złożyło – teraz nastąpiła pauza pozwalająca zebrany w pełni zrozumieć i docenić tę myśl – że dysponuję wszystkimi faktami.

Po tych słowach wdowa po aptekarzu postanowiła jednak usiąść. Lakierki niemiłosiernie piły ją w stopy, a ona nie zamierzała zepsuć sobie tej chwili. Przyjęła pozycję znanej dziennikarki telewizyjnej, wdzięcznie wyciągając nogi po skosie i przechylając się z gracją dla podkreślenia talii. Ewidentnie musiała zrobić wrażenie, bo kątem oka dostrzegła, że pan Jacuś aż się zakrztusił, a na twarzy pana Adasia zagościł znajomy rumieniec. Zresztą chuda sąsiadka też nieco pokraśniała. Zazdrośnica jedna...

– Kiedy w pamiętny piątek ósmego września na zamku w Pieskowej Skale znaleziono zwłoki Anny Bednarz (niech spoczywa w pokoju), zostałam wezwana na pomoc przez jednego ze strażników, obecnego tu pana Marianka Furgalskiego. – Ręką zachęciła go do powstania, a zebranych do nagrodzenia go brawami. Krótkimi, żeby nie przedłużać. – Dzięki wrodzonym cechom charakteru udało mi się zaprowadzić porządek na zamku, który właśnie zwiedzała wycieczka szkolna. – Tu na jej twarzy zagościł męczyński wyraz, mający świadczyć o tym, że właściwie nie była to grupa młodzieży, a diabłów z piekła rodem. – W każdym razie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam zwłoki świętej pamięci Anny Bednarz – tym słowom z kolei towarzyszył starannie nakreślony znak krzyża – zrozumiałam, że doszło do morderstwa! Morderstwa na zamku w Pieskowej Skale! Od razu też zwróciłam uwagę na jednego ze strażników, pana Bartosza Skalskiego – na nazwisko mordercy niektórzy aż się

wzdrygnęli – który był wówczas w opłakanym stanie. Już w pierwszej chwili zrozumiałam, że tak silne emocje może przeżywać albo morderca, albo... kochanek. – Spokojnie wyczekała, aż szmer ucichnie, i dodała drżącym głosem, który aż wibrował od cierpienia i bólu: – W końcu jestem wdową...

Po chwili znów kontynuowała, tym razem uderzając w oskarżycielskie tony.

– Jednak zmyliły mnie informacje, które wówczas zdobyłam. Utrzymywałyście, moje drogie – tu wskazała na kelnerki z Herbovej, które także wstały i ukłoniły się publiczności – że Anny Bednarz nic nie łączyło z Bartoszem Skalskim. A jeśli nie ma motywu, trudno jest szukać sprawcy... – westchnęła i ze zrozumieniem spojrzała w stronę policjantów w cywilu. – Dlatego nawet śledczy nie trafili na właściwy ślad. Nie ukrywam, że początkowo podejrzewałam pana Mateusza Bienia oraz jedną z kelnerek. A w zasadzie nawet dwie – panią Patrycję i panią Zuzannę. Spokojnie, złotka, tylko przez chwilę. Wszyscy wiemy, że to nie państwo, kochaniutcy... Jednak prawdą jest, że mieliście i motyw, i sposobność. Pan Mateuszek na ten przykład mógł się poczuć nieco... rozczarowany charakterem swojej narzeczonej. Alibi dawane przez księgową może i było potraktowane przez policję jako pewne, ale z perspektywy lat mogę śmiało powiedzieć, że na tym świecie nie ma nic pewnego... Spotkanie z ukochanym nocą na zamkowym podwórku jest zresztą całkiem przekonywające. Z kolei z rozmów z kelnerkami wynikało jasno, że między nimi a zmarłą Anną Bednarz były... – tu pani Karolina zamarła na chwilę, nawet nie po to, by zwiększyć efekt, ale by przypomnieć sobie trudne słówko przeczytane wczoraj w książce, które zdawało się tak dobrze pasować do sytuacji i tak wyszukanie brzmień – ...animozje. Na dobrą sprawę także w waszym przypadku, drogie panie, alibi można było podważyć, a nocne spotkanie z koleżanką z pracy nawet dawało się jakoś

sensownie uzasadnić. Jednak, po dokładnym zbadaniu sprawy, musiałam uznać waszą niewinność.

Pani Karolina badawczo przyjrzała się widowni. Rumieńce na twarzach poniektórych, przede wszystkim wspomnianej trójki, wskazywały na wielkie emocjonalne zaangażowanie. Siostra Tomasza uśmiechała się zachęcająco, podobnie jak wielmożańscy sąsiedzi. Słuchali jej! Ba! Spijali słowa z jej ust! Odetchnęła z ulgą. Mogła śmiało kontynuować.

– Pomimo mocnych dowodów na nieszczęśliwy wypadek intuicyjnie czułam, że mamy do czynienia z morderstwem. I kiedy policja zamknęła dochodzenie w tej sprawie, ja wciąż nie przestawałam drążyć. Nie dawała mi spokoju torebka zmarłej, a dokładniej jej brak. Bo widzicie, kochani, przy Annie Bednarz nie znaleziono żadnej torebki! A przecież my, kobiety, wiemy, że torebka musi być! Owszem – uspokoiła zebranych i lekko poprawiła się na krześle. Ta pozycja, tak nienaturalna, mocno dawała się jej we znaki, zwłaszcza kręgosłup zaczął ją niebezpiecznie pobolewać – istniało prawdopodobieństwo, że ktoś ją ukradł. Niektórzy nawet – w miłosierdziu swym nie spojrzeli na podkomisarza Cegłę – próbowali mnie o tym przekonywać... Ale ja wiedziałam swoje! Brak torebki na miejscu zdarzenia wskazywał jednoznacznie na fakt, że Anna Bednarz zginęła z czyjejś ręki – Morawiecka zagrzmiała jak, nie przymierzając, proboszcz Januszek z wielmożańskiego kościoła.

Nikt się nie wiercił. Wszyscy słuchali w skupieniu. Wdowa po aptekarzu, zachwycona własną rolą w tej scenie, zaczęła stopniować napięcie. Teraz, dla odmiany, obniżyła głos i przeszła niemal do szeptu. Niemal, bo przecież na widowni byli i starsi, którzy mogli mieć problemy ze słuchem, a żaden szczegół umknąć im nie powinien.

– A kiedy przydarzyła się ta straszna historia z Kasią Pietras – w tym momencie zarówno wdowa, jak i wszyscy słuchacze

posłali pełne współczucia spojrzenia paniom Annie, Maryli i Marioli, ale by nie trwało to zbyt długo, Karolina Morawiecka odchrząknęła i już po chwili kontynuowała historię: – miałam absolutną pewność, że na zamku w Pieskowej Skale doszło do morderstwa. I że zabójca Anny Bednarz chciał pozbyć się świadka. Nawet jeśli tym świadkiem była nastolatka! Z Bożą pomocą udało mi się uratować dziewczynkę. – Gestem dłoni powstrzymała wzbierającą falę zachwytyw. – Muszę jednak państwu wyznać, że miewałam pomocników.

Pozwoliła, by szmer niedowierzania i zdziwienia w pełni wybrzmiał. Posłała słuchaczom pełne wdzięczności spojrzenie i kontynuowała:

– Byli to: podkomisarz Adam Cegła, który niejako równoległe do mnie prowadził oficjalne śledztwo, siostra Tomasza z tutejszej plebanii oraz moi sąsiedzi z Podzamcza – pan Jacuś i pani Karolina. Bez ich pomocy rozwiązanie tej zagadki trwałoby pewnie o wiele dłużej. Kasia Pietras powiedziała bowiem coś, co usłyszała na pogrzebie Anny Bednarz. To był cytat z *Lalki* Bolesława Prusa. I muszę z ręką na sercu powiedzieć – tu wdowa wykonała powyższy gest, zsuwając nieco lewą dłonią z obfitego biustu – że nie od razu ten cytat rozpoznałam. W końcu nie wszystkie książki się pamięta, prawda... Ale kiedy zrozumiałam kontekst, motyw stał się dla mnie jasny.

Nadchodził wielki finał. Tak się musiał czuć Herkules Poirot! Tak się musiała czuć panna Jane Marple! A teraz i ona, skromna wdowa po aptekarzu, pani Karolina Morawiecka z Wielmoży, miała dołączyć do grona wybitnych detektywów. Powstała. Rozglądnęła się dookoła. Spojrzała w napięte z ciekawości znajome twarze i z głosem godnym księdza Piotra Skargi (niech spoczywa w pokoju) przeszła do pointy:

– Dlaczego doszło do zbrodni? Czy może raczej – do nieszczęśliwego wypadku, bo przecież zabić jej nie chciał?

Dlatego, że pan Bartosz Skalski kochał Annę Bednarz! Kochał ją nad życie! Kochał ją od dawna! Rzucił studia, żeby mieć pieniądze na jej utrzymanie. Niestety ona wolała pana Mateuszka...

* * *

Rozanielona wdowa po aptekarzu, roztaczając wokół siebie intensywną woń różanych perfum, dołała siostrze Tomaszy kawę i podsunęła ślubną paterę w stronę Marysi Kowalikowej i jej męża. Pan Adaś kochany został dzisiaj obsłużony jako pierwszy, a na jego talerzyku wciąż jeszcze połyskiwał czekoladą sernik wiedeński kupiony w delikatesach w Cianowicach. Taki sukces należało godnie uczcić! W gronie zaufanych przyjaciół domu.

– Muszę stwierdzić – po chwalebny zamknięciu obu spraw, przyjaznej rozmowie telefonicznej z samym burmistrzem, o pogawędce z prokuratorem Jasienicą nie wspominając, śledczy był wyraźnie rozluźniony, a co za tym idzie, i bardziej rozmowny – że miałyście panie niezłego nosa. Zwłaszcza sprawa tej nieszczęsnej torebki okazała się istotna w przebiegu wydarzeń. Rozmawiałem dzisiaj z Pietras Kasią, która ma się już dobrze i jutro powinna wrócić do domu. Dziewczynka potwierdziła, że do spotkania w lesie ze Skalskim Bartoszem doprowadziła właśnie torebka.

– Czyli dobrze zakładaliśmy, że dziewczynka musiała coś zobaczyć? – spytała podekscytowana siostra Tomasza.

– Czyli miałam rację, że Pietrasówna zobaczyła gdzieś torebkę! – jednocześnie wykrzyknęła pani Karolina.

– Cóż, tak właśnie było. Od kiedy usłyszała na pogrzebie ten cytat z...

– ...*Lalki* – równocześnie podsunęły mu gospodyni i zakonnica.

– Tak, z *Lalki*, Pietras Kasia zaczęła śledzić pana Skalskiego. No

i przez przypadek zobaczyła, jak ten próbował spalić damską torebkę wraz z jesiennymi liśćmi.

– I dodała dwa do dwóch. – Pani Marysia pokiwała głową ze zrozumieniem.

– A nie, niestety – smętnie uśmiechnął się podkomisarz. – Z rozmowy z dziewczynką jasno wynikało, że dalej nie rozumiała, że to Skalski Bartosz zabił Bednarz Annę. Nie skojarzyła tych faktów. Ale Skalski na to nie wpadł. Poprosił Kasię o spotkanie pod pretekstem, że ma jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. No a jak się potoczyło spotkanie, to już wszyscy wiemy...

– Niesamowite – wyszeptała siostra Tomasza. – Czyli jednak jej wychowawczyni miała rację...

Pozostali nie skomentowali słów zakonnicy, nie tylko dlatego, że ich nie rozumieli. W milczeniu zastanawiali się nad sensem świata i nadzwyczajną puszystością sernika, którym właśnie się delektowali.

– A skąd pani wiedziała – zapytał Adam Cegła gospodynię, kiedy już przełknął ostatni kęs wyśmienitego ciasta – że Skalskiego łączyło coś z Bednarz? Przecież nic, ale to nic na to nie wskazywało.

– Och. – Morawiecka zatrzepotała rzęsami i odruchowo poprawiła fryzurę. – Zupełnie przypadkiem u fryzjera na to wpadłam. Pani Krysia powiedziała: „Kto się lubi, ten się czubi”, i jakoś tak nie dawało mi to spokoju. Wszyscy jednogłośnie twierdzili, że Bednarzówna ze Skalskim się nie lubili, ale jednocześnie z powodu jakiejś tajemniczej kobiety pan Bartosz rzucił studia. Z kolei w dniu swojej śmierci świętej pamięci Anna prawie nie miała makijażu... A na spotkanie ze swoim panem Mateuszkiem to się podobno malowała i stroiła. No więc dodałam dwa do dwóch...

– Naprawdę kawał dobrej roboty – pochwaliła wdowę siostra

Tomasza, która od rana ćwiczyła się w cnotach pokory i miłości bliźniego. – A już sprawa tej digoksyny to naprawdę mistrzostwo.

– Nie mówiąc o dzisiejszym spotkaniu – dodał uprzejmie policjant, nakładając sobie kolejny kawałek serniczka.

– Bardzo państwu dziękuję, naprawdę – rzekła wzruszona wdowa po aptekarzu, patrząc w stronę podkomisarza Cegły. – To był wspaniały pomysł... Taki książkowy... No i nie będę przed przyjaciółmi ukrywać, że to było także moje... spełnienie marzeń.

Biust pani Karoliny falował, oczy wilgotniały, a wdzięczny rumieniec nie schodził z policzków.

Pan Adam nie wytrzymał presji.

– Cóż – rzekł, odsuwając na chwilę talerzyk. – To nie był mój pomysł. Gdyby nie siostra Tomasza, jej interwencja u księdza Walerego...

– Och – zdziwiła się wdowa, a w jej głosie wyczuwalna była nutka lekkiego żalu. – Naprawdę to siostra? Bardzo jestem wdzięczna, dziękuję!

– Najważniejsze – uśmiechnęła się porozumiewawczo zakonniczka – że cała ta historia ma dobre zakończenie. Chwała Panu!

Ale, jak to w życiu bywa, ten dzień miał trochę inne zakończenie. W każdym razie dla pani Karoliny.

Zadzwonił dzwonek do drzwi. Gospodyni nie spodziewała się wprawdzie żadnych gości, no ale wiadomo, że po takim tryumfie wszystko się może zdarzyć.

Za drzwiami, z wielkim pudełkiem w ręku, stali sąsiedzi.

– Dzień dobry, pani Karolino, czy raczej dobry wieczór. – Pan Jacuś był ewidentnie stremowany. – Przepraszamy za najście. Nie będziemy nawet wchodzić...

– Chcieliśmy tylko pani pogratulować i dać mały prezent w dowód uznania – wyjaśniła szczupła pani Karolina.

– Och, dziękuję bardzo, nie trzeba było. – Wdowa po aptekarzu

z gracją przejęła od antykwariusza pudełko i z ciekawością zajrzała pod pokrywkę.

Tektura skrywała w sobie absolutny skarb. Ideał. Cudo w postaci dwóch krążków bezy złączonych połyskującym beżowym kremem, obsypanych posiekanymi orzechami i kawałkami daktyli.

Karolina Morawiecka rozpoznała go od razu.

– Tort dacquoise! – wyszeptała wniebowzięta. – Ależ nie trzeba było! Po co pieniądze wydawać...

– Należy się pani, pani Karolinko – uśmiechnęła się jej imienniczka, po czym, zupełnie nieświadomie, wypuściła zabójczą strzałę. – No a poza tym sama go upiekłam. To w końcu nic trudnego.

– To my już pójdziemy. Gratulacje dla pani, no i dla naszej siostry Pelagii – dorzucił z szelmowskim uśmiechem pan Jacuś.

Ale wdowa po aptekarzu już go nie usłyszała. Stała jak skamieniała z pudełkiem w dłoni, w którym królował tort dacquoise. Samodzielnie zrobiony... Przez sąsiadkę...

**Zeznanie Bartosza Skalskiego,
syna Jerzego i Anny,
zamieszkałego w Wielmoży,
ul. Herianówka 106
złożone 30 października 2017 roku**

Kochałem Annę Bednarz. Była całym moim światem, całym moim życiem.

Poznaliśmy się dawno, jeszcze w czasach liceum. Byłem wtedy w maturalnej klasie, ona właśnie zaczynała naukę w tym samym liceum. To była miłość od pierwszego wejrzenia, ale wiedziałem od początku, że nie mam u niej szans. Anna od zawsze mówiła, że chce uciec do dużego miasta, że chce osiągnąć sukces i wyrwać się ze Skały – ja byłem dla niej tylko chłopakiem ze wsi.

Zacząłem studia na uniwersytecie w Krakowie i właśnie wtedy po raz pierwszy zwróciła na mnie uwagę. Pozwoliła się czasem zabrać do kina, do kawiarni – oczywiście w Krakowie. Zostaliśmy parą, kiedy byłem na drugim roku. Ale już na początku naszej znajomości zastrzegła, że nasz związek musi być objęty absolutną tajemnicą. Że nikt się o nas nie może dowiedzieć. Nie chciała plotek. I choć nie czułem się z tym dobrze, zgadzałem się na wszystko. Na jej prośbę udawałem nawet, że mam jakąś dziewczynę z Krakowa... Nie wiem, czy się mnie wstydziła, czy nie była pewna, co do mnie czuje. Nigdy jej o to nie spytałem. Zresztą to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Zrobiłbym wszystko, byle móc z nią być.

Anna od początku mówiła, że ma jasne oczekiwania finansowe. Nie kryła się z tym, że pragnie luksusu, a w moich oczach w pełni na to zasługiwała. Najpierw pozbyłem się ojcowizny. To był pierwszy wymóg. Chłopak

z gospodarstwem nie dałby jej tego, o czym marzyła. Żeby móc kupować jej prezenty, zapraszać do kawiarni czy do kina, pracowałem dorywczo w mleczarni w Skale. Na trzecim roku studiów już wiedziałem, że nie będę w stanie pogodzić nauki i pracy, więc zdecydowałem się w końcu rzucić studia. Początkowo myślałem, żeby po prostu przenieść się na zaoczne, ale według Anny to było tylko marnowanie pieniędzy. Polonistyka nie zapewniłaby mi żadnej drogi kariery, co najwyżej mógłbym pracować jako nauczyciel. „Do prowadzenia własnego biznesu nie jest przecież potrzebne wyższe wykształcenie. A już na pewno nie filologia polska” – mówiła mi. Dla Anny to, że studiuje, nie miało najmniejszego znaczenia. Może dlatego, że ona sama zaraz po szkole średniej zaczęła pracę w restauracji? Nie wiem, nie rozmawialiśmy o tym.

Na pracę strażnika w zamku w Pieskowej Skale zdecydowałem się, żeby być bliżej mojej ukochanej. Na jej wyraźne życzenie udawałem, że za Anną nie przepadam.

Po trzech latach usłyszałem od kogoś, że w życiu Anny pojawił się inny mężczyzna, Mateusz Bień. Ale ona powiedziała mi, że to tylko plotki. Gra pozorów. Rozumiałem to i wierzyłem jej. Oficjalnie ja przecież miałem dziewczynę z Krakowa... A ona – chłopaka ze Skały.

Po jakimś czasie wyznała mi, że owszem, zna Mateusza Bienia, lubi go, czasami się z nim spotyka i do końca nie wie, z którym z nas chce być. Czekałem cierpliwie. Przez cały ten czas starałem się nieba jej przychylić. Wydawało mi się, że jestem na dobrej drodze. Spotykaliśmy się niemal codziennie, oczywiście w tajemnicy przed wszystkimi. Najczęściej Anna przychodziła do mnie wieczorami na zamek. Spędzaliśmy razem długie godziny. Zazwyczaj siedzieliśmy na zamkowym podwórku, na murku, pod drzewem. To było

nasze miejsce. Patrzyliśmy w niebo, a ja opowiadałem jej, jak będzie wyglądało nasze życie w Krakowie, gdy tylko zdecyduje się za mnie wyjść.

Tamtego dnia, to jest siódmego września 2017 roku, powiedziała, że wieczorem przyjdzie do mnie na zamek porozmawiać o czymś ważnym. Byłem przekonany, że wreszcie podjęła decyzję. Że wybrała mnie. Umówiliśmy się, że przyjdzie w trakcie meczu – miała własny klucz do bramy wejściowej, który dorobiłem dla niej na samym początku mojej pracy w Pieskowej Skale – i poczeka na mnie w pomieszczeniu obok socjalnego. Nie wiem dokładnie, o której przyszła, ale kiedy o dwudziestej trzeciej skończyliśmy oglądać mecz i studio kibica, Anna już czekała. Poszliśmy na dziedziniec, bo mieliśmy pewność, że Marian Furgalski do rana nie wyjdzie ze swojego pokoju służbowego. Zazwyczaj przysypia przy monitoringu...

Był piękny ciepły wieczór. Usiadła na murku, po turecku, jak lubiła. I nagle zaczęła śmiać mi się prosto w twarz. Powiedziała, że jej planowany ślub z Bieniem to prawda, że tylko totalny głupek i naiwniak mógł wierzyć, że to plotki. Że ja nie mogę jej niczego dać.

Była okropna. Nie tę kobietę kochałem, nie tę znałem – w emocjach złapałem ją za szyję. Nie chciałem jej skrzywdzić. Nie zamierzałem jej dusić, chciałem nią tylko potrząsnąć. Sprawić, żeby przestała mówić te niezrozumiałe, okrutne rzeczy. Może zrobiłem to zbyt gwałtownie, może chwyciłem zbyt mocno. Pamiętam tylko, że przeraziła się. Odchyliła się, jakby nie chciała, żebym ją więcej dotykał. Jakby się mnie brzydziła... Przechyliła się za mocno, zbyt gwałtownie. Spadła. Nawet nie krzyknęła.

Pobiegłem na dół, ale Anna nie dawała znaku życia. Nie wiedziałem, co robić, wpadłem w panikę. Wróciłem

na dziedziniec. Wziąłem jej torebkę, która leżała na bruku zaraz przy miejscu, z którego spadła. Wsiadłem na rower i pojechałem prosto do domu. Wiedziałem, że nikt się nie zorientuje. Zostawiłem torebkę w szafie w swojej sypialni i wróciłem do pracy. Czekałem do rana.

Czekałem, aż ktoś wreszcie znajdzie ciało Anny. Moim obowiązkiem jest pilnowanie wejścia, więc w czasie służby nie powinienem chodzić po tamtej części dziedzińca. Nie chciałem na siebie zwracać uwagi, wzbudzać podejrzeń. Wreszcie przysłała ta wycieczka i zaraz, tak pięć po dziesiątej, dzieciaki zaczęły krzyczeć. Udawałem, że o niczym nie wiem. Zbiegłem na dół. Próbowałem udzielić Annie pierwszej pomocy, ale tak naprawdę chciałem ją jeszcze raz dotknąć, przytulić po raz ostatni. Była zimna i obca. Piękna.

Potem niewiele pamiętam. Chciałem się przyznać, ale coś mnie powstrzymywało. I tak co dzień walczyłem ze sobą. Na przesłuchaniu wszyscy zdawali się mi wierzyć. Nikt po mnie nie przychodził... Zresztą, tak naprawdę to był wypadek. Ja przecież nie chciałem jej zabić...

Dopiero na pogrzebie Anny Bednarz zrozumiałem, że ona rzeczywiście żyła w związku z Mateuszem Bieniem. To on, rozpaczony, szedł pierwszy za trumną. To w jego stronę patrzyli ze współczuciem. Ja byłem zaledwie kolegą z pracy... Tym, który ją znalazł. I który za nią nawet specjalnie nie przepadał. Tymczasem Anna była całym moim życiem. Wszystko dla niej oddałem... Na tym pogrzebie poczułem się jak Wokulski, bohater powieści Prusa, kiedy odkrył, jaka była naprawdę jego ukochana. I pewnie szepnąłem jak on „Farewell, miss Iza”, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. W ogóle z pogrzebu Anny niewiele pamiętam.

Kilka dni po ceremonii pogrzebowej przysłała do mnie na zamek nastolatka, Kasia Pietras. Powiedziała mi,

że słyszała, co mówiłem na pogrzebie, i że już wszystko wie. Wpadłem w panikę. Chciałem ją jakoś przekupić, ale też pocieszałem się, że dziecku nikt nie uwierzy. Nie bez dowodów. Na wszelki wypadek postanowiłem więc spalić torebkę Anny, która przez cały ten czas leżała u mnie w szafie. Nie zniszczyłem jej wcześniej, bo chciałem mieć po ukochanej jakąś pamiątkę. A ta torebka wciąż pachniała Anną... W środku były kluczyki do samochodu jej ojca, portfel i dokumenty. Nie wiem, ile było pieniędzy, nie interesowało mnie to. Postanowiłem wszystko spalić. Zebrałem liście z ogrodu, zrobiłem ognisko. Ale kiedy wrzucałem torebkę do ognia, zobaczyłem, że za płotem stoi Kasia Pietras i wszystko obserwuje. Wpadłem w panikę. Poprosiłem ją o spotkanie w lesie, koło chatki.

Zgodziła się. Umówiliśmy się na czwartek, po mojej służbie, to jest około godziny jedenastej.

Choć początkowo tego nie planowałem, doszedłem do wniosku, że Kasia musi umrzeć. Myślałem o trutce na szczury, bo jest łatwo dostępna, ale nie chciałem, żeby cierpiała... Moja mama, zanim zmarła, brała digoksynę w zastrzykach. Wiedziałem, jaka dawka jest śmiertelna. Pojechałem do Krakowa do apteki, w której nikt mnie nie znał. Przekonałem sprzedawczynię, że wkrótce doniosę receptę. Kupiłem pralinki i naszprycowałem je lekiem. Myślałem, że Kasia zje je w drodze do domu albo dopiero w domu. Nie przyszło mi do głowy, że nie wytrzyma i skosztuje czekoladki od razu w lesie.

Na spotkaniu spytałem, co wie. Powiedziała, że wie wszystko, a ja pomyślałem, że pewnie chce mnie szantażować. Wtedy dałem jej pralinki. Przyjęła je. Pożegnałem się i obiecałem ponowne szybkie spotkanie. Wróciłem do domu i czekałem. Jeszcze tego samego dnia

dowiedziałem się z esemesa, że Kasia Pietras ma uszkodzenie mózgu i jest w stanie śpiączki. Nie ucieszyłem się. Żałowałem z całego serca. Prawdę mówiąc, kiedy okazało się, że to nieprawda, poczułem ulgę...

Anna Bednarz nie żyje, a bez niej moje życie nie ma sensu. Przepraszam, że chciałem zabić dziecko.

Bartosz Skalski

Ziarno Pana

Gazetka parafii Świętego Jonasza
w Wielmoży
Listopad 2017

Z ŻYCIA NASZEJ PARAFII

- Siostra Tomaszka z parafii w Skale zaprasza wszystkich chętnych do udziału w konkursie na najlepsze ciasto w gminie. Wypieki należy zgłaszać do ww. zakonnicy, księdza Szymona lub do pani Małgorzaty na plebanię kościoła w Skale. Wyniki ogłosimy jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia. Dla zwycięzcy/zwyciężczyni przewidziana jest nagroda.
- Członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej oraz panie z Koła Gospodyń Wiejskich zapraszają wszystkich chętnych w ostatnią niedzielę listopada do sali w remizie na prelekcję dotyczącą bezpiecznych przygotowań do świąt Bożego Narodzenia. Spotkanie odbędzie się po ostatniej mszy świętej.

WYWIAD MIESIĄCA

Nasza parafianka, Karolina Morawiecka z Podzamcza (Wielmoża), pomogła w śledztwie prowadzonym od września bieżącego roku przez skalską policję. Dzięki jej interwencji i zaangażowaniu w sprawę udało się zatrzymać sprawcę zabójstwa śp. Anny Bednarz (l. 23) ze Skały. Oskarżony

Bartosz Skalski (l. 26) z Wielmoży przyznał się do zarzucanego mu czynu. Razem z naszą parafianką policji pomagała siostra Tomasz ze Skały.

Poniżej zamieszczamy wywiad z przedstawicielką naszej parafii.

Ziarno Pana: Szczęść Boże. Gratulujemy sukcesu.

Karolina Morawiecka: Szczęść Boże. Bardzo dziękuję, ale tak naprawdę to nie mnie należą się słowa podziękowania. Gdyby nie wola Pana, niczego bym nie dokonała... Ja starałam się tylko wypełnić mój obywatelski i chrześcijański obowiązek, to jest pomagać innym. Jak zawsze zresztą. Nie można zamykać oczu na zło. Koniecznie trzeba z nim walczyć.

ZP: To bardzo szlachetna postawa. Myślę, że niejedyn mieszkańiec naszej parafii powinien potraktować te słowa jako życiowe motto.

KM: Tak, no cóż, bardzo mi miło to słyszeć. Zawsze starałam się być przykładem dla innych. Nie ukrywam, że mój charakter to efekt długoletniej, to jest, chciałam powiedzieć: żmudnej walki ze słabościami. Już od maleńkiego starałam się postępować jak święci Boży.

ZP: Czy mogłaby Pani na koniec podzielić się z naszymi Czytelnikami jakimś swoim na to przepisem?

KM: Och, co prawda z przepisami jest tak, że moim skromnym zdaniem każdy powinien próbować je tworzyć według siebie, ale mam jeden absolutnie pewny i sprawdzony.

PRZEPIS NA KAWĘ GOTOWANĄ Z KARDAMONEM

6 łyżeczek bardzo drobno zmielonej kawy zalewamy 1,5 szklanki wody. Dodajemy kilka ziaren kardamonu (2-5), cynamon do smaku (w lasce lub zmielony), cienki plasterek świeżego imbiru, doprowadzamy do wrzenia i gotujemy przez około 3 minuty. Odstawiamy pod przykryciem na około 2 minuty. Podajemy słodzoną miodem faceliowym lub syropem z agawy.

Szczęść Boże!

A NA ZAKOŃCZENIE ŚLEDZTWA

KILKA SŁÓW WYJAŚNIEŃ I PODZIĘKOWAŃ
OD ZGINAJĄCEJ SIĘ W PAS AUTORKI

Kiedy pewnego wrześniowego dnia 2017 roku spoglądałam z tarasu kawiarni Herbova na przyzamkowy ogród, z perfekcyjnych grządek nie wystawała żadna ręka ani tym bardziej noga. I chociaż przemiła kelnerka, która przyniosła mi wtedy cappuccino, miała na imię Ania, to z Anną Bednarz nie ma nic wspólnego – ponieważ cała ta historia została przeze mnie zmyślona. Podobnie jak postaci – z niewielkim wyjątkiem.

Wielmoża jest jak najbardziej rzeczywista, ale nie znajdziecie w niej kościoła pod wezwaniem św. Jonasza. Z kolei zamek w Pieskowej Skale ma świetny monitoring i czujnych strażników (pozdrawiam serdecznie!), więc cała ta historia na pewno by się tam wydarzyć nie mogła. Nie próbujcie sprawdzać!

Ja natomiast spróbuję teraz podziękować tym wszystkim, którzy pomogli mi przy pisaniu tej książki. I, proszę, nie miejcie do nich żalu, jeśli dostrzeżecie jakieś niedociągnięcia. Za wszelkie pomyłki odpowiadam ja i tylko ja.

Przede wszystkim dziękuję mojej Mamie, którą zmusiłam do kilkukrotnej lektury *Śledztwa* (męczennica!) w poszukiwaniu błędów. I która wysłuchiwała moich niekończących się niepokojów.

Poza tym (w kolejności chronologicznej) dziękuję:

Ani Magierze za nieustające wsparcie;

Justynie Dębowskiej za wyjaśnienia dotyczące czynu karalnego i zabronionego oraz za rozmowę o jajecznicę;

Monice Piaskowskiej-Zastawniak za uważną lekturę. Gdyby nie ona, nie byłoby wiadomo, czemu Karolina Morawiecka nie lubi tradycyjnej kuchni;

Karolinie Kwak za drobiazgowo wyszukiwanie usterek i wiarę we mnie;

Kasi Kostrz za wsparcie;

Ani Kłósek za to, że kiedy zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że chcę otruć kogoś trutką na szczury, od razu doradziła mi digoksynę;

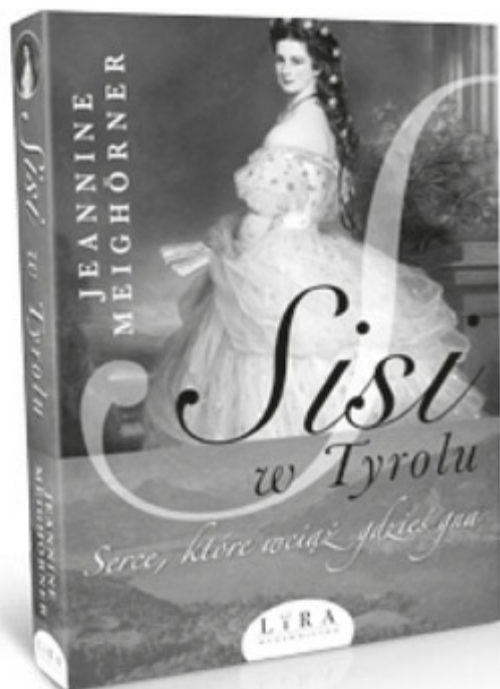
Jurkowi Eliasiewiczowi za alibi dla Mateusza Bienia i żargon księgowego;

młodszeemu aspirantowi Michałowi Frużyńskiemu za wyjaśnienie zasad dotyczących awansu w policji.

Last but not least dziękuję mojemu mężowi, Jackowi Poroszewskiemu, za rok wolności, wsparcie i miłość. Bez niego nawet nie zaczęłabym pisać.

Ogromne podziękowania należą się też Wam – droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku! Mam nadzieję, że skoro czytacie te słowa, przeczytaliście i historię tajemniczej śmierci na zamku w Pieskowej Skale. I, kto wie, może nie uznaliście tego czasu za stracony. Oby!

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Najpiękniejsza monarchini Europy z trudem znosiła rolę cesarzowej. Gdy tylko mogła opuszczała Wiedeń, jakby przed czymś uciekała. Kilka razy udawała się właśnie do Tyrolu. Czy tylko tam mogła być naprawdę sobą?

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Która Polka handlowała niewolnikami,
a która samotnie opłynęła kulę ziemską?
Jarosław Molenda, znany pisarz, publicysta i podróżnik,
zabierze Cię na wspólną wędrówkę
z dziewczynami, które nie znały granic.

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Książki Iwony Kienzler – znanej popularyzatorki historii i autorki bestsellerów biograficznych.

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Jeśli losy Bridget Jones i pasje wielbicielki smaków Julii Child są Ci bliskie, na pewno polubisz tytułową bohaterkę. Lira poleca książki o perypetiach Lukrecji: „Przebudzenie Lukrecji”, „Owoce Lukrecji” i „Żywioty Lukrecji”.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO



Przypisy

[1] Awantura ta, jak się zapewne domyślasz, droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku!, miała charakter profilaktyczny, a jej celem było przypomnienie małżonkowi (tyleż delikatnych, co istotnych) kwestii równości i partnerstwa w związku.

[2] Drogi Czytelniku! Droga Czytelniczko! W tym miejscu warto docenić mądrość i życiowe doświadczenie naszej bohaterki. Pani Karolina była kobietą rozsądną i doskonale wiedziała, że przed mężczyzną (zwłaszcza wzburzonym) nie należy stawiać zbyt trudnych wyborów. Ani, tym bardziej, stawiać sprawy na ostrzu noża. Gdyby bowiem małżonek miał zdecydować, czy wybrać psa, czy żonę, w przyпіływie emocji mógłby opowiedzieć się za Truflą. A wtedy ta historia nigdy by się nie wydarzyła. Albo potoczyłaby się całkiem inaczej...

[3] Drogi Czytelniku! Droga Czytelniczko! Może zadziwił Cię kierunek dedukcji Karoliny Morawieckiej, ale jego wyjaśnienie jest bardzo proste: nasza bohaterka nie wyobrażała sobie, żeby prawdziwa kobieta mogła obyć się bez torebki w jakichkolwiek, nawet ostatecznych, okolicznościach.

[4] Na szczęście, droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku!, nasza bohaterka nigdy się o tym nie dowiedziała. Jak możesz sobie bowiem wyobrazić, utratę takiej szansy na światowy (czy choćby i lokalny) rozgłos niewątpliwie przypłaciłaby co najmniej kilkudniowymi atakami globusa.

[5] Droga Czytelniczko! Drogi Czytelniku! Choć wdowa po aptekarzu rzeczywiście jeszcze ani razu nie została zaproszona do krakusów, wnętrza ich domu znała równie

dobrze jak własne – sąsiedzi po prostu nie mieli firanek. I to w żadnym oknie...

[6] Cieciorkę (namoczoną przez noc i ugotowaną do miękkości, nigdy z puszek!) obtoczyć w przyprawach – soli morskiej, zmielonym kuminie i płatkach chilli – i uprażyć na suchej patelni. Przed podaniem posypać drobno skrojoną natką pietruszki i skropić oliwą.

[7] Uważny Czytelnik (i Czytelniczka!) może się teraz zaniepokoić, czy wdowa po aptekarzu będzie w stanie rozwikłać tajemnicę śmierci Anny Bednarz, skoro nie radzi sobie z najprostszymi rachunkami. Już sama tylko obecność prowadzącego śledztwo zapewni wymaganą w przysłowiu liczbę głów, a z siostrą Tomaszą będzie ich nie dwie, a trzy. Spieszę więc z informacją, że pani Karolina potrafi liczyć: po prostu na wszelki wypadek nie uwzględniła w rachunkach podkomisarza Cegły. Bo czy policjant ma głowę na karku?

[8] Droga Czytelniczko! Drogi Czytelniku! Choć liczba zjadanych przez bohaterkę czekolad może wzbudzać w Tobie niepokój o stan jej zdrowia (nawet jeśli nie jesteś dietetykiem), pochylmy się z szacunkiem nad waleczną postawą pani Karoliny. Tabliczki mlecznej, gorzkiej, ciemnej, z orzechami, bakaliami i bez dodatków konsumowała ona z pełnym poświęceniem dla dobra sprawy, wierząc w wyraźny wpływ czekolady na poziom dedukcji.

[9] Zemsta ta jest w istocie zemstą totalną. Jeśli do rosołu doda się tylko cienki plasterzek imbiru, jego smak w ogóle nie będzie wyczuwalny. Większy kawałek będzie z kolei zbyt intensywny i zdominuje wszystkie pozostałe aromaty. Pani Karolina, dla zachowania równowagi, stara się dodawać plaster grubości kciuka. Mniej więcej.

[10] Nie lękaj się, o droga Czytelniczko!, o drogi Czytelniku!,

siostra Tomasza nie zwariowała. Cytowała powieść, którą Boris Akunin wydał pod pseudonimem Anna Borisowa. (*Pory roku*, tłum. Katarzyna Maria Janowska, Kraków 2013, s. 139).

[11] I tym razem była to prawda, droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku! Zdolności zdolnościami, ale wdowa po aptekarzu była zbyt zmęczona, by podejmować jakiegokolwiek działania w sferze cukiernictwa.

[12] Zapewne dziwisz się, droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku!, jak to możliwe, że w przeciągu dziewięciu godzin Karolina Morawiecka przeczytała dwa kryminały. Może nawet podejrzewasz naszą bohaterkę o niechlujną lekturę. Pragnę wyjaśnić, że nic bardziej mylnego! Cóż, tak naprawdę tego drugiego nie skończyła. Zasnęła na stronie osiemdziesiątej...

[13] Były to, droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku!, strony od 267 do 268 w książce Agathy Christie *Morderstwo na plebanii*, wydanej w Warszawie w 1960 roku, i zawierały informacje, dzięki którym pannie Jane Marple udało się złapać mordercę.

[14] Odkrycie to, droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku!, nastąpi dopiero za niemal dwa miesiące, w trakcie porządków przedświątecznych, a towarzyszące mu pokrzykiwania będą tak głośne, tak pełne bólu i rozpacz, że aż obudzą Truflę z jej codziennej popołudniowej drzemki.

[15] Tym razem, droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku!, nie ma mowy o żadnej metaforze. Pobudzona wszechobecnymi zapachami pożywienia oraz obecnością obcych ludzi w domu, Trufla dostała takiego ślinotoku, że co stąpnienie zostawiała po sobie ślad w postaci kałuży śliny. (Właściciele molosów, łączcie się!)

[16] Droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku! Nie miej, proszę, za złe siostrze Tomaszy tego braku miłosierdzia. Zapewne

bardziej pożałowałaaby ona podkomisarza Cegły, gdyby uznała zaloty pani Karoliny za prawdziwe. Że naprawdę próbuje ona dotrzeć do serca policjanta przez żołądek. Ponieważ jednak zakonnica zdążyła dobrze poznać wdowę po aptekarzu, wiedziała, że do niczego zdrożnego dojść nie może. A przerażenie w oczach pana Adama było tak wielkie, że i Ty na jej miejscu najprawdopodobniej zachował (a) byś się podobnie.

Karolina Morawiecka (autorka) zaprasza do rozwikłania zagadki kryminalnej wspólnie z Karoliną Morawiecką (bohaterką).



Na zamku w Pieskowej Skale znaleziono ciało młodej kobiety. Czy to morderstwo? Kto zabił?
Odpowiedź nie będzie łatwa...

Gdy policyjne dochodzenie nie przynosi efektów, na scenę wkracza Herkules Poirot w spódnicy, panna Marple Ojcowskiego Parku Narodowego – wdowa po aptekarzu ze Skały, Karolina Morawiecka we własnej osobie!

W „Śledztwie od kuchni” pomogą sztuka kulinarna, zakonnica i pies, a także znajomość pewnej powieści.



www.wydawnictwolira.pl Patronat medialny:

LIRA
WYDAWNICTWO

PORTAL
KRYMINALNY

ZBRODNIARNA
W BIBLIOTECE



[lubimy czytać.pl](http://lubimyczytac.pl)



KAROLINA MORAWIECKA (autorka) – absolwentka filologii polskiej UJ, doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. „Śledztwo od kuchni” jest jej debiutem literackim. Z pochodzenia krakowianka, od czterech lat mieszka w podkrakowskiej Wielmoży razem z mężem antykwariuszem i trzema psami: Truflą, Watson i Liskiem.



cena: 29,99 zł
(w tym 5% VAT)